



SUSAN HOWATCH



Szepczące źródła

Tytuł oryginału THE SHROUDED WALLS

Rozdział 1

Mieliśmy wtedy z Alexandrem po siedemnaście lat. Nie było nas w domu, gdy nasi rodzice umarli: Alexander przebywał w szkole w Harrow, ja właśnie rozpoczęłam ostatni semestr nauki na pensji dla dobrze urodzonych panien, prowadzonej przez pannę Shearing w Cheltenham. Ojciec grał tego dnia dość rozrzutnie na wyścigach, popijając przy tym spore ilości whisky i w drodze powrotnej zmusił stangreta, by oddał mu wodze. Pędząc na oślep Epsom Downs nie zauważył w porę zakrętu, za którym zaczyna się Tattenham Corner. Matka poniosła śmierć na miejscu. Ojciec przeżył ją ledwie o parę godzin. Ich tragedia stała się tematem salonowych rozmów, jako że papa był wpływowym członkiem Parlamentu, znanym szeroko dżentelmenem, właścicielem dóbr w Lancashire i posiadaczem znacznej fortuny ulokowanej w fabrykach jedwabiu w Manchesterze, mama zaś emigrantką, zbiegłą z obawy przed krwawą Rewolucją Francuską córką arystokraty, którego Robespierre posłał na gilotynę.

Ani Alexander, ani ja nie zdawaliśmy sobie sprawy, że zostajemy bez środków do życia. Uświadomił nam to dopiero sir Charles Stowell, przyjaciel ojca. Powiadomił nas, że wszystkie zasoby i posiadłości mojego ojca, włączając w to dom w Londynie, w którym mieszkaliśmy do tej pory wraz z matką, przechodzą na własność jego zamieszkałej w Manchesterze żony. *Mon cher pere* był zbyt pusty i niedbały, by przejmować się czymś takim jak testament na rzecz kochanki i bliźniąt, które mu urodziła. Zupełnie jakbym go słyszała mówiącego: „Testament? Wyjątkowy niesmaczny temat do konwersacji. A zresztą, któż by rozmyślał o śmierci?” Tak więc żył po swojemu, nie zastanawiając się ani przez chwilę, że choć on nie dba o to, co się zdarzy, gdy jego nie stanie, są jednak inni, których to może obchodzić.

Co do mnie, obchodziło mnie bardzo. Rozmyślałam o tym przez całą podróż z Cheltenham do Londynu, we wszystkich gospodach, w których zatrzymywaliśmy się, by zmienić konie i spożyć posiłki, na wszystkich wyboistych, zabłoconych drogach, siekanych deszczami angielskiej jesieni. I nie przestałam, kiedy wreszcie dotarliśmy do naszego domu, eleganckiego budynku w Soho, który ojciec kupił dla wygody i przyjemności matki, ale którego nigdy jej oficjalnie nie podarował; ani wtedy gdy zobaczyłam służbę, zatrudnioną przez niego na nasze usługi; ani te tysiące drobiazgów z wyposażenia, należących teraz do wdowy w średnim wieku, tak przecież bezpiecznej w posiadłości w Lancashire. Ale najmocniej zaczęło mnie to obchodzić w chwili, kiedy usiadłam w kancelarii adwokackiej sir Charlesa Stowella o ścianach wypełnionych półkami mieszczącymi prawnicze księgi i z widokiem na trawniki New Square pokryte liśćmi w barwach jesieni.

— Kto wobec tego opłaci moje czesne w Harrow? — zapytał Alexander sir Charlesa z rozpaczą w głosie. — Został mi jeszcze cały rok nauki.

— Obawiam się, proszę pana — powiedział sir Charles, jak zawsze niezwykle grzeczny, wręcz czarujący, i jak zawsze twardo stąpający po ziemi — że raczej nie wróci pan już do Harrow.

Kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł, niemal pozbawiło tchu mego brata.

— Ależ ja chciałem studiować w Oksfordzie — oświadczył gwałtownie. W jego głosie pobrzmiwały dobrze mi znane krnąbrne nuty. Oznaczały, że Alexander jest przestraszony. — Co teraz będzie z moimi studiami?

— Rozumiem pana uczucia — oświadczył sir Charles uprzejmym tonem — ale czy mogę, skoro już rozmawiamy tak szczerze, być na tyle

nieuprzejmy, by przypomnieć panu, że miał pan wiele szczęścia otrzymując w ogóle jakiegokolwiek wykształcenie...? Z pewnością mógłby się pan znaleźć w tej chwili w dużo gorszym położeniu... Pańska siostra, równie szczęśliwie, ma za sobą pięcioletni pobyt w niewątpliwie świetnej szkole dla młodych dam w Cheltenham, dzięki czemu zdobyła odpowiednie kwalifikacje, by ubiegać się o posadę guwernantki. Jako długoletni przyjaciel waszego ojca z pewnością dołożę starań i wykorzystam wszelkie moje wpływy, by pomóc wyszukać stosowne dla niej miejsce, ale ufam, że ma pani, panno Fleury — zwrócił się teraz już wprost do mnie — świadomość swojej pozycji i tego, że niełatwo przyjdzie ją zaakceptować rodzinie z towarzystwa. Jest jednak wystarczająco wiele kupieckich rodzin, pragnących zatrudnić młodą dystygowaną damę, bym mógł z całym przekonaniem stwierdzić, że znajdziemy dla pani coś odpowiedniego. Co do pana, mogę tylko radzić, by zaciągnął się pan do armii, jest bowiem stanowczo zbyt młody na czyjegokolwiek opiekuna ani też nie zdobył pan stosownych kwalifikacji do uprawiania jakiegokolwiek zawodu.

— Nie chcę się zaciągnąć do armii — oznajmił Alexander. Był naprawdę przestraszony, twarz mu pobladła. — Nie chcę być żołnierzem.

Sir Charles miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Żebracy nie mają prawa wyboru”, ale na szczęście się rozmyślił. Ograniczył swój komentarz do leciutkiego współczującego uśmiešku i do niedbałego wzniesienia ręki w geście sympatii.

— Czy mogłabym zadać panu pytanie, sir Charles? — zwróciłam się do niego.

— Ależ oczywiście. — Natychmiast skierował wzrok w moją stronę. Dobrze zauważyłam, jak jego ciemne błyszczące źrenice niemal przywarły

do moich ust, oceniły linię nosa, zanim spojrzął mi prosto w oczy. I niemal usłyszałam matkę, mówiącą z pogardą: „Mężczyzn interesuje tylko jedna jedyna rzecz, kiedy myślą o kobietach z naszą pozycją. A już zwłaszcza tych świetnie wychowanych i cnotliwych. Nie daj się im zwieść”. — Ile właściwie mamy pieniędzy? — zapytałam uprzejmym tonem. — To znaczy, w tej chwili.

— Znaleziono dwadzieścia pięć funtów wśród rzeczy będących własnością pani matki, panno Fleury, poza tym dziedziczycie po równo biżuterię, wszelkie ubiory i przedmioty, które można uznać za prezenty ofiarowane jej przez waszego ojca. Dom należy do pani Cavendish, na niej też spoczywa obowiązek zwolnienia i opłacenia służby w razie, gdyby chciała go sprzedać.

— A zatem mamy jednak pewną sumę do dyspozycji.

— Wystarczającą, panno Fleury — zgodził się sir Charles — byście zdołali przeżyć do czasu, nim ustabilizujecie swoje sprawy.

— Dziękuję panu. Kiedy musimy się wyprowadzić z domu? — zapytałam.

— Pani Cavendish prosi, by stało się to najszybciej, jak można. Jej najstarszy syn, pan Michael Cavendish, który dziedziczy po waszym ojcu, właśnie wyruszył z Manchesteru do Londynu, aby uporządkować tutaj wszelkie sprawy majątkowe. Jak sądzę, właśnie on ma się zająć sprzedażą domu pani matki, panno Fleury.

— Ach tak.

Ojciec opowiadał nam kiedyś o Michaelu. „Nudny zupełnie jak jego matka. I dwakroć bardziej nadęty”. Tak powiedział. Jego ulubieńcem był Richard, średni syn. Poza tym miał jeszcze cztery córki, wszystkie starsze od

nas, jako że urodziły się, zanim nasi rodzice się poznali. Czułam się dziwnie, rozmyślając o swoim przyrodnym rodzeństwie, a jeszcze bardziej dziwna była dla mnie myśl, że ojciec miał gdzieś inny dom niż ten w Soho. Sprawiał wrażenie człowieka związanego z nami bez reszty i kiedy uświadomiłam sobie, że dzieliliśmy go z innymi, wydało mi się to absurdem, czymś całkowicie nierealnym. W dzieciństwie raz tylko zetknęłam się z rzeczywistością, której moja matka była stale boleśnie świadoma. Zdarzyło się to wtedy, gdy jako mała dziewczynka wysliznęłam się z sypialni na paluszkach, by popatrzeć na rodziców udających się wieczorem do Vauxhall. Kłócili się w holu w obecności lokaja. Do dziś pamiętam, jak stał sztywno przy frontowych drzwiach, czerwony po uszy, udając, że nie słyszy krzyków mojej matki. „Nigdy ci nie przyszło do głowy, że mogę mieć dosyć wieczorów w Vauxhall i wszystkich arystokratycznych plotkarzy z wyższych sfer Londynu?! O, przyszedł Mark Cavendish z tą swoją francuską kochanicą pełnej krwi! Nigdy ci nie przyszło do głowy, jak przykry może być ostracyzm dla kogoś, kto był przedtem akceptowany i kogo nie unikano? Ty... z tą swoją głęboką znajomością londyńskiego towarzystwa... Nie jesteś w stanie nawet pojąć, jaka to różnica być kobietą o określonej pozycji, uwikłaną jawnie w romans, a utrzymanką z dwojgiem dzieci z nieprawego łoża!”

Moja matka często bywała przykra. Zbyt dobrze pamiętała życie, jakie wiodła tuż przed Rewolucją Francuską w ogromnym zamku nad Loarą, i olśniewający mariaż, jaki zawarła z hrabią de Fleury. Jakże różnił się Londyn u schyłku wieku, miasto, w którym znalazła się owdowiała, bez grosza, od jej poprzedniego świata — świata *ancien regime*. „Emigranci w ogóle się nie liczą — powiedziała nam kiedyś — a Anglików nie obchodzi

to, czy ktoś jest spadkobiercą fortuny, tylko czy ma na czynsz. Tytuły zupełnie nic nie znaczą, ważne są wyłącznie pieniądze, a my wszyscy, emigranci, zostaliśmy bez grosza. Ale dzieci wzrastające w takich warunkach jak wy nie mogą tego zrozumieć! Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z pieniędzmi. Przyzwyczajona do życia bez troski, w bogactwie i luksusie, nagle znalazłam się na mansardzie w Bloomsbury, zmuszona dźwigać dzbany z wodą przez sześć kondygnacji i targować się z rzeźnikiem o kawałek kiepskiej wołowiny".

Zacząła szyć, żeby zarobić choć trochę pieniędzy. Poznała Marka Cavendisha, kiedy przyjęła do przeróbki wieczorową suknię jego żony. Wystarczyły dwa tygodnie, by porzuciła poddasze w Bloomsbury, przestała dźwigać dzbany z wodą, wyklócać się o kiepską wołowinę. A jednak przez całe dwadzieścia lat spędzone z moim ojcem nękało ją poczucie niepewności losu, nigdy nie pozbyła się zatrwajającego lęku, że znowu straci wszystko, znowu pochłonie ją wszechogarniająca ohyda ubóstwa. „Wszystko lepsze od biedy — powtarzała nam bez przerwy — wszystko".

Nawet miano kochanicy Marka Cavendisha.

„Znam waszego ojca — mawiała — i nie mam co do niego złudzeń, jak i zresztą co do żadnego mężczyzny. Komfortowy dom z odpowiednią liczbą służby, stosowne ubrania, dzieci starannie wychowywane, doprawdy trudno znaleźć powody, by się uskarżać czy ubolewać. Mark jest szczodry, wesoły, dobroduszny i przystojny. Czegóż jeszcze mogłaby kobieta oczekiwać po mężczyźnie?"

Dobroci, mogłabym powiedzieć. Współczucia. Zrozumienia. Ale nic nie mówiłam. Byłoby mi raczej trudno wypowiedzieć opinię, że mój ojciec jest twardy jak głaz. Silny mężczyzna, dużo pijący, z upodobaniem grający

na wyścigach, ostro prowadzący konie i ciężko pracujący. Silni ludzie bardzo rzadko myślą o innych, nie dlatego by byli rozmyślnie egoistyczni, ale dlatego że są zdolni rozpoznać wyłącznie swoje własne uczucia, nigdy innych. Moja matka wolała się oszukiwać, niż spojrzeć prawdzie w oczy, ale ja widziałam to jasno: był z nią wyłącznie z przyzwyczajenia, dla rozrywki, gdy czuł się zmęczony politycznymi intrygami w Westminsterze, wyścigami w Epson, hazardem w Mayfair.

Nigdy go nie lubiłam.

Co dziwniejsze, właśnie do mnie czuł największe przywiązanie. Powiedział mi kiedyś: „Ze wszystkich moich dzieci ty jesteś do mnie najbardziej podobna”. Zważywszy moją opinię o nim, trudno mi to było uznać za komplement.

— A zatem, panno Fleury — odezwał się sir Charles, sprowadzając mnie z powrotem do wypełnionej książkami kancelarii adwokackiej z widokiem na zielone trawniki za oknem — proszę być tak łaskawą i dać mi znać, gdybym mógł w jakikolwiek sposób przyjść pani z pomocą. Jeśli życzyłaby sobie pani uzyskać referencje starając się o posadę guwernantki...

— Dziękuję, sir Charlesie, ale nie pragnę zostać guwernantką. — Wstałam i obaj mężczyźni również podnieśli się z miejsc. Alexander odsunął krzesło, uważając, by nie zawadziło o moją suknię, a potem pomógł mi włożyć okrycie. — Jestem panu niezwykle zobowiązana za wszelkie starania, jakie pan poczynił, sir Charles — zwróciłam się do adwokata z czarującym uśmiechem. — Okazał nam pan doprawdy wiele uprzejmości.

— To dla mnie przyjemność, panno Fleury..Proszę pamiętać, że zawsze jestem do pani dyspozycji, gdyby pani tego potrzebowała. —

Uśmiechnął się patrząc mi prosto w oczy, tak bym nie miała wątpliwości co do znaczenia jego słów.

— Dziękuję panu — odpowiedziałam. — Do widzenia.

— Dziękuję panu, sir Charlesie — wymamrotał Alexander i pośpiesznie otworzył przede mną drzwi.

Patrząc prosto przed siebie poszłam przez pomieszczenia biurowe w kierunku wyjścia. Na mój widok zerwał się ze swojego miejsca praktykant, by przytrzymać drzwi wychodzące na plac przed kancelarią.

Dzień był piękny. Błękitne bezchmurne niebo i lekki wietrzyk igrający w koronach drzew. Matka, która tak nienawidziła angielskiej pogody, mogłaby zauważyć, że przywodzi jej to na pamięć Francję i ogrody jej zamku nad Loarą.

— O Boże! — powiedział Alexander naprawdę stroskany.

— Bądź cicho! — fuknęłam, czując, że sama jestem zbyt bliska wybuchnięcia płaczem, bym zdołała znieść jakiegokolwiek jego nonsensowne zachowania.

Czekała na nas wynajęta bryczka i wkrótce jechaliśmy z Lincoln's Inn do Soho.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — nie wytrzymał Alexander.

— Nie wiem. — Spojrzałam przez okno na zatłoczone, brudne londyńskie ulice i ogarnęłam wzrokiem żebraka potrząsającego miseczką na datki i nagabujące przechodniów prostytutki.

— Nie chcę iść do wojska — powtórzył Alexander.

Nie odezwałam się.

— Może Michael będzie chciał nam pomóc. Jest przecież naszym przyrodnim bratem.

Spojrzałam na niego tak, że poczerwieniał.

— Po prostu... taka myśl mi przyszła...

— Niezbyt szczęśliwa. — Wciąż wyglądałam przez okno. — I zupełnie nie mająca związku z rzeczywistością.

— Ty nie musisz się martwić — oświadczył w końcu. — Wyjdiesz niedługo za mąż i skończą się twoje wszystkie problemy. Ale co ze mną? Jak mam zarobić na utrzymanie? Zupełnie nie wiem, co począć.

— Chciałabym wiedzieć, któż to miałby poślubić córkę angielskiego dżentelmena i francuskiej emigrantki, zrodzoną z nieprawego łoża, bez posagu, nie posiadającą majątku ani żadnej towarzyskiej pozycji — powiedziałam z goryczą. — Proszę cię, Alexandrze, mów rozsądnie albo nie odzywaj się wcale.

Resztę drogi do domu odbyliśmy nie wypowiadając ani słowa. Przyjechaliśmy w porze obiadu i zasiedliśmy w milczeniu w ozdobionej panelami z drewna jadalni nad półmiskami ryb, drobiu, baraniny i wołowiny. Z portretu wiszącego nad kominkiem uśmiechał się do nas ojciec; ironiczne skrzywienie kącików ust wydawało mi się dzisiaj nieco bardziej znaczące niż zazwyczaj.

— Michael może przyjechać nawet jutro — stwierdził Alexander.

Milczałam.

— Może okaże się, że jest całkiem przyjemnym człowiekiem.

Zegar wydzwonił kuranty na pełną godzinę i zapadła cisza.

— Może zwyczajnie poproszę go, by nam pomógł.

— Jeśli jeszcze raz powiesz „może”, Alexandrze — przerwałam, ponieważ wszedł lokaj. — Tak, słucham, John.

— Jakiś dżentelmen przyszedł, panienko! Dał mi list do panienki i swoją kartę wizytową. Zaprowadziłem go do biblioteki.

Wzięłam z tacki list i kartę.

— Michael? — zapytał natychmiast Alexander.

— Nie, to nie Michael — powiedziałam popatrzawszy na kartę; wypisane na niej nazwisko było mi obce. — Nigdy nie słyszałam o tym dżentelmenie, John...

— Być może list, panienko...

— Nie leży w moich zwyczajach przyjmowanie nieznajomych, choćby nawet dysponowali listami polecającymi.

— Pozwól, że ja z nim porozmawiam. — Alexander podniósł się z za stołu. — Dowiem się, czego chce. Możliwe, że to nasz wierzyciel.

— Przepraszam, paniczu — w głosie lokaja brzmiało zgorzzenie — ale ten pan jest z pewnością dżentelmenem.

— Tym niemniej...

— Poczekaj — powiedziałam i otworzyłam list. Adres nadawcy głosił: New Square, Lincoln's Inn, a u dołu strony widniał podpis sir Charlesa Stowella.

Droga Panno Fleury,

mam nadzieję, iż wybaczy mi Pani tę śmiałość, ale chciałbym przedstawić Pani tym listem mojego wielce szacownego klienta, pana Axela Brandsona. Pan Brandson zamieszkuje wprawdzie w Wiedniu, ale bywał w Anglii wielokrotnie i jest mi dobrze znany osobiście, został również przedstawiony podczas swoich poprzednich wizyt w naszym kraju Pani ojcu. Dowiedziawszy się o stracie, jaka Panią dotknęła, wyraził pragnienie złożenia kondolencji, ja zaś mając na względzie Pani obecne

ciężkie położenie, doszedłem do wniosku, że umożliwienie rzeczonemu dżentelmenowi spotkania z Panią mogłoby przynieść zbawienne skutki. Zaofiarowałem się działać jako pośrednik w tej sprawie, ale ponieważ pana Brandsona ograniczają rozliczne zobowiązania w interesach, okazało się, że nie sposób ustalić w najbliższym czasie daty, która odpowiadałaby nam obu. Dlatego też żywię nadzieję, że mój list posłuży jako wystarczające wprowadzenie i zaświadczy zarówno o jego pozycji towarzyskiej, jak i uczciwości. Pozostaje...

Oderwałam wzrok od liter. Lokaj czekał.

— Powiadom pana Brandsona, John, że go przyjmę, jeśli zechce poczekać jeszcze kilka minut.

— Tak, panienko — odparł lokaj i wyszedł.

— Któż to taki? — zainteresował się natychmiast Alexander.

Wręczyłam mu kartkę papieru. Ledwie skończył czytać, zapytał nie skrywając ciekawości:

— Czego on może chcieć? Zupełnie tego nie rozumiem.

Ale ja rozumiałam aż nadto dobrze, zwłaszcza kiedy przypominałam sobie, co kryło się w ciemnych oczach prawnika, i uzmysłowiłam, jak wiele o mnie wie, o moim pochodzeniu i sytuacji, w jakiej się znalazłam. Wstałam, próbując opanować gniew. Sir Charles prawdopodobnie nie miał złych intencji. W końcu oświadczyłam mu wprost, że nie zamierzam zostać guwernantką, i bez wątpienia zinterpretował tę deklarację w jedyny sposób, w jaki był zdolny ją pojąć. No bo cóż więcej mogłaby robić kobieta taka jak ja, jeśli odmawia przyjęcia posady guwernantki? Chyba tylko wyjść za męża, ale przecież ta droga była dla mnie zamknięta: żaden mężczyzna z jakąkolwiek liczącą się pozycją nie pojąłby mnie za żonę.

— Czy jesteś pewna, że możesz go przyjąć sama? — zapytał Alexander z niepokojem. — Lepiej będzie, jeśli pójdę z tobą. Ostatecznie ten człowiek jest cudzoziemcem.

— Tak jak i mama — przypomniałam mu. — I wszyscy jej znajomi. Nie, idę sama.

— Ale... czy myślisz, że to właściwe?

— Prawdopodobnie nie, sądzą jednak, że to nie ma w naszej sytuacji znaczenia.

Udałam się do holu, czując wbrew sobie gniew; duma się we mnie burzyła, choć tak bardzo starałam się powściągnąć swoje uczucia, poddać je chłodnej kontroli rozumu. Na chwilę ogarnęła mnie furia i zapragnęłam, by piekło pochłonęło zarówno sir Charlesa, jak i pana Brandsona. Byłam całkowicie zdecydowana nie popełnić błędu, jaki stał się udziałem mojej matki, niezależnie od tego, ile dni przyszłoby mi przeżyć w mansardach Londynu.

Przemierzyłam hol szybkim, pewnym krokiem, nacisnęłam klamkę drzwi wiodących do biblioteki i wkroczyłam do środka z wysoko uniesioną głową. Policzki mi płonęły, a dłonie same zacisnęły się w pięści, jakbym zamierzała stoczyć walkę.

— Panna Fleury? — Przybysz odwrócił się gwałtownie, by na mnie spojrzeć. — To zaszczyt panią poznać.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Jego nazwisko brzmiało z nordycka i wyobraźnia podsunęła mi obraz olbrzymiego blondyna, tymczasem stał przede mną mężczyzna o ciemnych gładkich włosach, nie tkniętych pudrem. Jego ciemne oczy były całkowicie nieprzeniknione, tak jak ciemne oczy sir Charlesa całkowicie wyraziste;

cokolwiek myślał ten człowiek, zachowywał to dla siebie. Ubiór miał mało zbytkowny, ale w dobrym guście: ciemnoniebieski żakiet, jasne, dobrze skrojone spodnie, starannie zawiązany, sztywno nakrochmalony fular i buty z cholewami mogące zaspokoić gust najbardziej wybrednych elegantów. Posługiwał się nieskazitelną angielszczyzną i nic właściwie nie zdradzało jego cudzoziemskiego pochodzenia, a jednak od razu uderzyło mnie w jego zachowaniu coś odmiennego, choć trudnego do zdefiniowania. Kiedy ujął moją rękę i pochylił w ukłonie głowę, zauważyłam, że ma długie, szczupłe palce, chłodne w porównaniu z moją gorącą dłonią.

— Będzie pan tak łaskawy, by usiąść — powiedziałam niezwykle grzecznym tonem i cofnęłam rękę. Stanowczo zbyt szybko. — Czy mogę panu zaproponować trochę likieru lub cokolwiek innego dla orzeźwienia?

— Dziękuję bardzo, raczej nie.

Jego głos brzmiał również chłodno; zupełnie jakby brak obcego akcentu w jakiś przedziwny sposób pozbawił go wszelkiej ekspresji.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy kominku. Milczałam, czekając, aż on zacznie rozmowę.

— Z pewnością zastanawia się pani, kim jestem — odezwał się w końcu — i dlatego poczyniłem starania, by się z panią zobaczyć. Winien jestem przeprosiny za naruszenie pani prywatności w tak bolesnym dla pani momencie. To niezwykle uprzejme, że zgodziła się pani mnie przyjąć.

Odpowiedziałam nieznacznym gestem.

— Proszę mi pozwolić złożyć kondolencje z powodu pani osierocenia.

— Dziękuję panu.

Zapadła cisza. Założył nogę na nogę, oparł się o krzesło i położył ciasno splecione dłonie na kolanach. Światło padało ukośnie na jego policzki i odbijało się w nieprzeniknionych oczach.

— Spędziłem większą część życia w Austrii, stąd też uważam się za Austriaka, choć de facto jestem pół–Anglikiem. Mam... miałem ojca Anglika. Zmarł dziesięć miesięcy temu.

Zastanawiałam się, czy powinnam coś powiedzieć, ale nim zdążyłam podjąć decyzję, zaczął mówić dalej.

— Moja matka wróciła do Austrii na krótko przed moim urodzeniem i umarła w pięć lat później, zostawiając mi w spadku wszelkie aktywa i nieruchomości w Wiedniu. Mimo że zostałem wychowany w Anglii, bardziej niż chętnie powróciłem do Wiednia. Przyjeżdżałem do Anglii dość często w interesach, czasem też udawałem się do Sussex, by odwiedzić ojca. Ożenił się wkrótce po śmierci mojej matki i ma oprócz mnie innych synów.

Przerwał, a ja usilnie starałam się przybrać inteligentny wyraz twarzy, mający sugerować, że doskonale wiem, co ma zamiar powiedzieć.

— Ojciec był bogatym człowiekiem, posiadał majątek ziemski na Marsh, jego przodkowie zaś zaliczali się do najznamienitszych obywateli Cinque Ports. Ponieważ w rodzinie nie został ustanowiony majorat, sądziłem, że dom i wszelki majątek przypadną najstarszemu synowi z drugiego małżeństwa. Stało się inaczej. Wszystko zapisał mnie. Z powodu moich rozlicznych wiedeńskich zobowiązań nie mogłem przybyć do Anglii wcześniej, ale teraz zamierzam odwiedzić posiadłość i krewnych.

— Tak, rozumiem — oznajmiłam.

— Ośmielam się wątpić, czy rzeczywiście — stwierdził ironicznie — jako że nie wyjaśniłem do tej pory, w jakim celu chciałem się z panią

zobaczyć. Tym bardziej doceniam zainteresowanie, jakie pani okazała słuchając tego niewątpliwie wprowadzającego panią w zadziwienie opowiadania.

Jego ręce spoczywały na kolanach tak ciasno splecione ze sobą, że pobielale kciuki niemal lśniły. Przez chwilę spoglądał w płomienie, a potem rzucił mi bystre, szybkie spojrzenie, zupełnie jakby chciał mnie na czymś przyłapać. Było w jego oczach coś, co sprawiło, że instynktownie odwróciłam wzrok i z niezwykłą starannością zaczęłam strzepywać pyłek z mankietów.

— Zechce pan łaskawie kontynuować — powiedziałam uprzejmie.

— Tak się złożyło, że odwiedziłem dzisiaj rana mojego prawnika, sir Charlesa Stowella. Chciałem omówić jeden czy dwa punkty testamentu ojca i wolałem uczynić to raczej z nim niż z adwokatem ojca w Rye. W trakcie rozmowy sir Charles wspomniał o pani i... o położeniu, w jakim się pani znalazła po śmierci rodziców, ponieważ jak sądził, w pewien sposób ma to związek z położeniem, w jakim ja się znalazłem.

— Jeśli pan pozwoli, panie Brandson — odezwałam się tonem tak chłodnym, że niemalże chłodniejszym od jego — jakież jest pańskie położenie?

— Cóż, mniej więcej takie, panno Fleury — odpowiedział ku mojej irytacji z odcieniem rozbawienia w głosie — jeśli mam dziedziczyć po moim ojcu, to zgodnie z warunkami testamentu muszę się ożenić w ciągu roku po jego śmierci. Uczyniono też specjalne zastrzeżenie, że moją żoną musi zostać Angielka z pochodzenia. Niestety, akurat ten warunek nie jest tak łatwy do spełnienia, jak mogło się to wydawać memu wyspiarskiemu rodzicielowi. Przede wszystkim, wszelkie damy, jakie zostały mi

przedstawione, są wiedenkami. Nie znam żadnej odpowiedniej młodej angielskiej panny, a gdyby nawet tak było, jej ojciec z pewnością krzywiłby się na płynącą w mych żyłach obcą krew i sprzeciwiał małżeństwu. Mój ojciec, jestem tego w pełni świadomy, nie był jedynym zaściankowym wyspiarzem w tym słynącym z niewiarygodnej arogancji kraju. Teraz zresztą, gdy Anglię można uznać za najbogatszy i najpotężniejszy kraj świata, jej mieszkańcy stali się bodaj jeszcze bardziej zaściankowi i arogancy niż przedtem. Poza tym, jasno wiedziałem od początku, że nie jestem w stanie poślubić kobiety tylko dlatego, że spełnia wszystkie warunki testamentu. Moja żona musi mieć nie tylko odpowiednie maniery, powinna ją także cechować swoboda obejścia w sferach, w których będę z konieczności się obracał, jeśli przyjmę spadek. Musi też niezależnie od sytuacji sprawiać wrażenie osoby zrównoważonej i dobrze wychowanej.

Zamieniłam się w kawałek lodu. Nie byłam zdolna się odezwać ani poruszyć, świadoma jednego: chce, żebym udawała jego żonę. A kiedy już zagarnie spadek, odrzuci mnie, pozostawiając bez grosza.

— O ile mi wiadomo, ma pani siedemnaście lat, panno Fleury — powiedział. — Sądzę, że rozważała już pani sprawę zawarcia małżeństwa, nawet jeśli nie z konkretną osobą, to jako możliwość.

— Owszem — usłyszałam swój własny głos — rozważałam.

— I?

— I odsunęłam tę myśl od siebie.

— Mogę wiedzieć dlaczego?

— Ponieważ — zaczęłam starając się mówić bez cienia gniewu — nie mam posagu, majątku ani odpowiedniej pozycji towarzyskiej. Zawarcie stosownego małżeństwa nie wchodzi w rachubę.

— Moim zdaniem, nie docenia pani swojej własnej atrakcyjności. Albo być może przecenia pani pewne ujemne strony swego pochodzenia. Jestem przekonany, że bez trudności znalazłoby się wielu konkurentów.

— Od razu można poznać, że jest pan cudzoziemcem, panie Brandson — oświadczyłam tonem osoby udzielającej reprimendy, czując nieodparte pragnienie, by zachować się równie nielojalnie jak on, gdy wspomniał o moim nieprawym pochodzeniu, jakby to było coś zwyczajnego. — Gdyby lepiej znał pan ten kraj, z pewnością rozumiałby pan, że propozycje, które można wysunąć wobec kogoś takiego jak ja, nie mają nic wspólnego z małżeństwem.

— Ależ ja właśnie zaproponowałam pani małżeństwo — oznajmił zupełnie nie zmieszany. — Czy mam domniemywać, że moje oświadczenia nie są warte, by je pani rozważyła? Chyba nie odrzuci mnie pani dlatego, że jestem cudzoziemcem, panno Fleury? Mamy oboje angielskich ojców, a co do matek, obie były cudzoziemkami. Moja reputacja i pozycja towarzyska, zarówno tutaj, jak i w Wiedniu, są bez skazy, każdy mógłby panią o tym upewnić. Nie jestem człowiekiem utytułowanym, ale przodkowie ze strony ojca walczyli po stronie Harolda z Hastings przeciwko Wilhelmowi Zdobywcy, ojciec zaś był jednym z najbardziej szanowanych obywateli ziemskich jak Sussex długie i szerokie. Poślubiając mnie stanie się pani żoną żyjącego w dobrobycie ziemianina, właścicielką ogromnego pięknego domu ze stosowną liczbą służby.

— Pan chce mnie poślubić? — zapytałam po pewnej chwili.

Po raz pierwszy zobaczyłam uśmiech na jego twarzy.

— Jedyne, co mnie dziwi, to że tak trudno pani w to uwierzyć.

— Zawarte w obliczu prawa legalne małżeństwo?

— Ależ oczywiście. Oszustwo z ominięciem prawa niewiele by mi pomogło w dochodzeniu praw do spadku, a i pani na nic by się nie przydało.

Niedowierzenie przerodziło się w radość, ale zaraz potem poczułam gwałtowny przypływ paniki.

— Ja... my... w ogóle się nie znamy.

— I cóż z tego? Większość małżeństw zawieranych w dzisiejszych czasach w naszej sferze jest poprzedzona bardzo krótkim okresem znajomości. Małżeństwo to rodzaj umowy, mającej potwierdzać korzyści obydwu stron. Wielkie namiętności długotrwałych zalotów prowadzące do błogich rozkoszy małżeńskich to dobre w librettach operetek albo powieściach pani Radcliffe.

— Tak, oczywiście — oświadczyłam pośpiesznie, nie chcąc, by mnie uważał za romantyczną pensjonarkę. — Zapewniam pana, że nie chciałam wyrazić odmiennego poglądu, niemniej jednak...

— Tak?

— Ja... ja nie wiem nawet, ile pan ma lat! — wykrzyknęłam. — W ogóle nic o panu nie wiem!

— Mam trzydzieści cztery lata — odparł spokojnie. — Zawarłem małżeństwo w wieku dwudziestu paru lat, ale moja żona zmarła przy porodzie. Dziecko również nie przeżyło. Nie ożeniłem się powtórnie. — Wstał z krzesła. — Oczywiście powinienem zostawić pani czas do namysłu. Jeśli takie jest pani życzenie, zaczekam na odpowiedź do jutra, a gdyby jednak przyjęła pani moje oświadczenia, moglibyśmy udać się na przejażdżkę po parku, a potem wypić filiżankę czekolady w Piccadilly i omówić nasze dalsze plany.

— Dziękuję panu — powiedziałam. — Sądzę, że nie miałby pan nic przeciwko temu, by mój brat nam towarzyszył? Wydaje mi się, że lepiej czułabym się z kimś w występującym w charakterze przyzwoitki.

Zawahał się ledwie dostrzegalnie, ale odparł wzruszywszy ramionami:

— Skoro pani sobie tego życzy...

— Czy byłoby możliwe rozważenie jeszcze jednej lub dwóch rzeczy, zanim pan mnie opuści?

— Ależ oczywiście. — Usiadł na powrót i znowu założył jedną nogę na drugą. Jak zauważyłam, nie zaciskał już rąk, spoczywały luźno i spokojnie na jego udach.

— Przede wszystkim — zaczęłam — chciałabym mieć pewność, że jeśli pana poślubię, zechce pan zaspokoić potrzeby mego brata. Został mu jeszcze rok nauki w Harrow, a potem chciałby zdobyć stosowne wykształcenie w Oxfordzie.

— Z łatwością można to wypełnić.

— Czy jeśli będzie sobie tego życzył, znajdzie gościnę pod pańskim dachem, w rozsądnych granicach oczywiście?

— Bez wątpienia.

— Ach tak. Dziękuję panu.

— Czy chciałaby pani rozważyć coś poza tym, panno Fleury?

— Tak — powiedziałam. — Owszem. — Teraz ja dla odmiany ciasno splotłam ręce. Z ogromnym wysiłkiem woli starałam się trzymać głowę wysoko uniesioną i spoglądać mu prosto w oczy. — Jest pewna sprawa, co do której pragnęłabym uniknąć nieporozumień.

— Jakaż to?

— Skoro ma to być związek zawarty wyłącznie dla interesu, czy mam go uważać za małżeństwo również wyłącznie z nazwy?

Zapadła cisza. Nie sposób było po nim poznać, o czym myśli. W końcu się uśmiechnął.

— Jak na młodą dziewczynę, wykształconą na znakomitej pensji dla dobrze urodzonych panien, jest pani zdumiewająco dobrze zorientowana, panno Fleury.

Czekałam, co powie dalej, ale milczał. Wreszcie byłam zmuszona się odezwać.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Brand-son.

— Ani też pani na moją uwagę, panno Fleury.

— To proste — oświadczyłam krótko. — Matka prowadziła ze mną długie rozmowy na temat małżeństwa i wynikających z niego zobowiązań i pozycji kobiet w ogóle.

— W takim razie powinna pani być świadoma, że niewiele małżeństw jest takimi tylko z nazwy na początku, choć większość kończy się właśnie w taki sposób. Niemniej jednak, jeśli ta sprawa miałaby sprawiać pani przykrość, nie ma potrzeby, byśmy rozpoczęli wspólne życie natychmiast. Jak pani to ujęła, ja jestem bardziej zainteresowany zabezpieczeniem mojego dziedzictwa, a pani zabezpieczeniem swojej pozycji, byśmy mieli skupiać się na takich szczegółach. Możemy to przedyskutować później.

Pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy, brzmiała: uważa, że jestem przerażona jak większość młodych dziewcząt w tej sytuacji i mogłabym mu w ostatniej chwili odmówić, niwecząc jego plany. Potem przyszła druga myśl: ma kochankę, inaczej nie ustąpiłby tak szybko i tak beztróska. Ulga zmieszała się ze złością i irytacją.

— A zatem zobaczę panią jutro? — zapytał, ponownie podnosząc się na nogi. — Jeśli to pani dogadza, zjawię się o wpół do jedenastej rano.

— Dziękuję panu — odparłam. — Będę czekać.

Ujął moją dłoń i uniósł płynnym ruchem do ust. Nic nie poczułam. Żadnego dreszczu z powodu podniecenia czy wyczekiwania, najlżejszej reakcji. Wydawał mi się zbyt poważny — dwukrotnie starszy ode mnie obcy mężczyzna, z którym nie miałam nic wspólnego — i zupełnie nie mogłam sobie wyobrazić, że gdy minie miesiąc, będziemy nosili to samo nazwisko.

— Ależ nic o nim nie wiemy! — powiedział Alexander. — Nic. Nawet czy jest tym, za kogo się podaje. Może ma kompletnie zaszarganą reputację!

— Wiec jedźmy porozmawiać z sir Charlesem Stowellem. Powiedz Johnowi, żeby sprowadził bryczkę.

— Ależ to Austriak! Wiedeńczyk!

— Jesteśmy w tej chwili sprzymierzeni z Austrią przeciwko Napoleonowi.

— Ale...

— Posłuchaj, Alexandrze. Spróbuj spojrzeć na to realnie, z praktycznej strony. Za kilka dni zostaniemy bez środków do życia. Prawie nie mamy pieniędzy, a niedługo stracimy dach nad głową. Ten mężczyzna... oczywiście jeśli jest tym, za kogo się podaje, a wierzę, że to prawda, otóż ten właśnie mężczyzna zapewni nam zarówno finansowe bezpieczeństwo, jak i pozycję społeczną. Jest dla nas darem niebios. Ja stanę się godną szacunku zamężną kobietą, posiadającą własny dom i służbę, a ty ukończysz studia i będziesz robić, co tylko sobie życzysz. Przecież nie możemy odrzucić takiej sposobności. I cóż byśmy w przeciwnym razie uczynili? Ty zaciągnąłbyś się do armii, a ja musiałabym zostać guwernantką. Może tobie

odpowiada spędzenie reszty życia na maszerowaniu i odbywaniu parad, ale ja nie zadowolę się uczeniem cudzych nie nazbyt mądrych dzieci w zapomnianym wiejskim dworze, zdana na opiekę prowincjonalnego właściciela ziemskiego! Wolę być zamężną wielką damą, niezależnie od tego, w jakim kraju przyszłoby mi mieszkać, niż starą panną, dodatkiem z konieczności do życia wysoko urodzonych!

— A czy zadowoli cię poślubienie tego właśnie mężczyzny?

— Nawet go nie widziałeś!

— Oszczędź mi opisu.

— Ależ Alexandrze — powiedziała naprawdę rozdrażniona — to z pewnością nie jest odpowiedni moment, by być zbyt drobiazgowym czy wybrzydzać na ewentualnego szwagra i męża. Pan Brandson to bardzo uprzejmy dżentelmen o przyzwoitym wyglądzie i nie jest jego winą, że się zestarzał. Naprawdę mogłoby być gorzej.

— Cóż, nie podoba mi się to — oświadczył mój brat z tępym uporem.

— Wcale mi się nie podoba. Nie wiadomo, dokąd to nas zaprowadzi.

— Nie wiadomo — zgodziłam się. — Wiem natomiast doskonale, co się stanie, jeśli nie przystanę na jego propozycję. Zachowuj się, jak uważasz za stosowne, Alexandrze, tylko... z dwojga złego, co według ciebie gorsze?

— Właśnie się zastanawiam — odparł.

Pojawił się punktualnie o wpół do jedenastej następnego ranka, a ja udałam się do biblioteki, by go powitać i przekazać swoją decyzję. Postarałam się wyglądać nadzwyczaj elegancko: włożyłam żółtą muślinową suknię najmodniejszego kroju i kazałam pokojówce upiąć włosy w greckim stylu, w czym mi było bardzo do twarzy. Niemal sunęłam ku niemu przez pokój, ale kiedy chłodne palce dotknęły mojej dłoni, cała pewność siebie

znikła. Było coś takiego w jego zachowaniu, co zupełnie odbierało mi odwagę. Po raz pierwszy uderzyło mnie, jak dojrzałym i skomplikowanym jest człowiekiem; on zaś wyglądał na rozbawionego moimi wysiłkami, by zaprezentować się jak dorosła kobieta — pewnie z takim samym rozbawieniem potraktowałby kaprysy ukochanego dziecka.

Zabrakło mi finezji w manierach, czego tak zwykle przestrzegałam, i w efekcie oznajmiłam mu w niezwykle niezręczny sposób, że przyjmuję oświadczenia.

Sprawiał wrażenie, jakby ani przez chwilę nie wątpił, by mogło się stać inaczej. Wszystko miał dokładnie zaplanowane. Wynajął apartament przy Leicester Square. Rozumiał niezręczne położenie, w jakim znaleźliśmy się z Alexandrem, i doradzał, byśmy się tam przenieśli natychmiast, gdy uznamy to za konieczne. Jeśli sobie tego życzę, mogę oczywiście zabrać ze sobą swoją pokojówkę. Pobierzemy się najszybciej, jak tylko to będzie możliwe, a potem spędzimy kilka dni na wsi, Alexander zaś wróci do Harrow.

Oświadczyłam, że wysoce mi to odpowiada.

Wieści o moich zaręczynach rozeszły się szybko: francuscy przyjaciele matki, którzy pośpieszyli z zaoferowaniem nam ewentualnego wsparcia, poczuli bez wyjątku ulgę, dowiedziawszy się, ile miałam szczęścia, choć nikt z nich zgoła nie słyszał o panu Brandsonie. Za to jedna czy dwie osoby zetknęły się z nazwiskiem jego ojca, Roberta Brandsona, właściciela ziemskiego z Sussex. Sir Charles Stowell natomiast zaaranżował spotkanie z bankierem z City, który zapewnił mnie, że pan Axel Brandson jest dżentelmenem znanym w kręgach zajmujących się prowadzeniem interesów, zarówno w Londynie, jak i w Wiedniu.

Co zaś do pana Brandsona, ofiarował mi kosztowny pierścień z szafirem i składał wizyty pięć razy w tygodniu. Często ograniczały się one ledwie do kwadransa, po czym wymawiał się obowiązkami, czasem jednak zabierał mnie na przejażdżkę swoim powozem, a raz, na krótko przed ślubem, pojechaliśmy do Vauxhall.

Nikt nam nie towarzyszył. Zaręczyny zostały ogłoszone oficjalnie, wkrótce Axel miał mnie poślubić, przestało więc to być takie istotne. Alexander zresztą chciał się akurat spotkać z pewną aktorką, w której się zadurzył, bywając w teatrze na Haymarket, a ja nie widziałam powodu, by stawiać mu przeszkody w okazywaniu chłopięcego uwielbienia tej zupełnie nieodpowiedniej dla niego kobiecie. Najgorsze, co mogłaby zrobić, to pofolgować mu zbytnio.

Znalazłam się więc wraz z Axelem Brandsonem w ogrodach Vauxhall i spacerowałam wśród wspaniale ubranego tłumu. Zaczęło mnie cieszyć to, że jestem widziana w towarzystwie przyszłego męża, i szłam, ociągając się, krok z tyłu za nim, bo chciałam mieć pewność, że nikt z tego arystokratycznego towarzystwa mnie nie przeoczy, gdy usłyszałam męski głos:

— Axel! Więc jesteś znowu! I to sam! A cóż się stało z piękną...

Odwróciłam się w jego stronę. Mężczyzna, spostrzegłszy mnie, zatrzymał się w miejscu. Przez sekundę trwała cisza, a potem mój narzeczonny powiedział całkowicie normalnym tonem:

— Panno Fleury, pozwoli pani sobie przedstawić: mój znajomy...

Ledwie go słyszałam. Nazwisko mężczyzny nie było mi obce. Mój ojciec mówił o nim z dostrzegalnym lekceważeniem jako o szalejącym hulace i hazardziście po uszy pograżonym w długach. Ponieważ ojciec sam

był hulaką i hazardzistą, wiedziałam aż nadto dokładnie, jakiego rodzaju znajomego przedstawia mi pan Brandson.

— Powiedział mi pan, że nie ma przyjaciół w Londynie — odezwałam się, gdy tylko zostawiliśmy owego człowieka za sobą.

— Rzeczywiście, nie mam.

— Ten dżentelmen sprawiał wrażenie kogoś pozostającego z panem w bardzo zażyłych stosunkach.

— Być może dlatego, że byliśmy nierozłączni podczas mojego pobytu w Londynie jakieś piętnaście lat temu, ale to już zamierzchła przeszłość. — Był absolutnie spokojny, a jednak wydało mi się, że słyszę ledwie wyczuwalny ślad zniecierpliwienia w jego głosie, zupełnie jakby nie życzył sobie rozmawiać na ten temat. — Przyjaciół mam w Austrii. Z ludźmi, których znam w Londynie, wiążą mnie tylko interesy.

— A piękna dama, o której wspomniał? Czy też wiążą ją z panem wyłącznie interesy?

Utkwił we mnie zimne spojrzenie, tak że w końcu to ja odwróciłam oczy.

— Jestem wdowcem od dziesięciu lat, panno Fleury — odezwał się wreszcie, a jego głos był równie zimny jak oczy. — Jest pani znakomicie zorientowana w sprawach tego świata, powinna więc pani wiedzieć, że mężczyzna, który zaznał damskiego towarzystwa, z trudem się potem bez niego obywa. Skrećimy tu, by jeszcze pospacerować, czy woli pani wrócić do domu?

Poczułam piekące łzy pod powiekami, choć nie umiałabym właściwie wytłumaczyć dlaczego. Nagle zrozumiałam, że jestem jeszcze bardzo młoda, a co gorsza, przerażona i niepewna siebie. Moje zaręczyny przestały

mi się wydawać szczęśliwym zrzędzeniem losu, zabawą; wspaniałą, bo mogłam paradować wśród towarzystwa odwiedzającego Vaux–hall, pokazując się u boku przyszłego męża. Zamiast wolności zakazy; znane zamieniałam na niepewne.

Odgadłam przecież sama, że ma kochankę. I nie to było ważne. Nie zadał sobie nawet trudu, by zaprzeczyć, wyszydził też moje wysiłki, aby wyglądać dojrzałe — to właśnie w jego zachowaniu ubodło mnie najbardziej. Po powrocie do domu poszłam od razu do łóżka i przewracałam się na nim z boku na bok, popłakując aż do świtu.

Następnego ranka zawitał z ogromnym bukietem kwiatów i był uprzedzająco grzeczny, zachowywał się wręcz czarująco. A ja nie byłam w stanie odegnać myśli, czy spędził tę noc sam czy w towarzystwie kochanki.

W niecały miesiąc od naszego poznania udaliśmy się do kościoła St Mary–le–Strand w towarzystwie dwóch świadków: Alexandra i sir Charlesa Stowella. Ślub był cichy. Moja francuska matka chrzestna, stary, dobry przyjaciel matki, dwoje czy troje przyjaciół z dzieciństwa — to wszyscy goście. Potem zjedliśmy śniadanie weselne w domu, który wynajmował w Londynie mój mąż, i już czekał na nas przed drzwiami powóz, by nas zawieźć do oddalonego o dwadzieścia mil wiejskiego domu w Surrey, gdzie mieliśmy spędzić parę dni i gdzie wszystko czekało przygotowane na nasz przyjazd. Właściciel, znajomy Axela, przebywał akurat z rodziną w Bath i upoważnił nas, byśmy traktowali jego dom jak własny.

Mój strój podróżny składał się z oblamowanego futrem redingota z lewantyny, który narzuciłam na białą muślinową sukienkę o klasycznym kroju, dobranej do niego mufki i wygodnych ciepłych butów, doskonale chroniących przed listopadowym chłodem. Axel dał mi tak dużo pieniędzy,

że mogłam sobie kupić nie tylko suknię ślubną, ale i resztę ubrań takich, jakie mi się naprawdę podobały, i choć pozostawił mi niewiele czasu, zdołałam zgromadzić garderobę stosowną na każdą okazję.

— Wyglądasz bardzo pięknie — powiedział Alexander niemal nieśmiało, gdy podszedł, by się pożegnać. Objął mnie, a po jego niepewnie brzmiącym głosie mogłam wyczuć, jak bardzo jest przerażony. — Będiesz do mnie pisać, nie zapomnisz, prawda?

— Jak mogłabym zapomnieć! — W gardle miałam wielką kulę. Nagle wydało mi się, że nie jestem w stanie się z nim rozstać, i gwałtownie przycisnęłam go z całej siły do piersi.

— Zobaczymy się na Gwiazdkę — powiedział. — Kiedy będę miał wolne w szkole.

— Tak.

— To już niedługo. Tylko parę tygodni.

— Tak. — Odsunęłam się od niego i odwróciłam, nim zdążył zobaczyć, jak bliska jestem łez.

— Wszystko będzie dobrze, tak? — wyszeptał, gdy się od niego odwracałam.

— Ależ oczywiście — odparłam z godnością, świadoma, jak usilnie pragnie potwierdzenia, i nie chcąc mu okazać własnej niepewności. — Dlaczego miałoby nie być?

Axel czekał o parę kroków dalej przy powozie. Zdążył już się pożegnać z Alexandrem. Nie polubili się zbyt, dobrze to czułam, nie zdziwiło mnie więc, że rozstali się w bardzo formalny sposób.

Podeszłam do powozu.

— Jesteś gotowa? — zapytał Axel.

— Całkowicie. Dziękuję ci bardzo.

Pomógł mi wsiąść, a potem wszedł sam do środka. Wyjechaliśmy poza Londyn, a ja wciąż nie zdołałam odzyskać równowagi na tyle, by móc spojrzeć na mego męża, a co dopiero się do niego odezwać. Dopiero gdy mineliśmy Wandsworth, zdobyłam się na to, by powiedzieć:

— Co za szczęście, że pogoda jest tak piękna.

— Rzeczywiście — odparł. — W istocie.

Spojrzałam na niego. Nic nie wyczytałam z uprzejmego wyrazu twarzy, ale instynktownie wyczułam, że nie usłyszy jego uwagi moje emocjonalne zmagania i powodowany delikatnością powstrzymywał się od rozmowy, by nie wprowadzić mnie w zakłopotanie. Wydawałoby się, że powinnam być mu wdzięczna za jego względy i spostrzegawczość, a tymczasem czułam przedziwną urazę: widział i rozumiał zbyt wiele, i to mnie złościło.

Zatrzymaliśmy się w Epson na obiad, a potem w Leatherhead w gospodzie przy rzece, by stajenni oporządziли konie. Zapadł zmierzch, zanim dotarliśmy do wioski Bookham i dworu w Claybury Park, i czułam się ogromnie zmęczona.

Dom wyglądał na bardzo obszerny i piękny, nawet w moich znużonych oczach, a służący byli grzeczni i uważający. Axel spytał, czy mam ochotę zjeść coś lekkiego, a gdy odmówiłam, polecił lokajowi, by mnie zaprowadził do mego pokoju.

Na kominku płonął ogień, na stole paliła się lampa, oświetlając przepiękne meble, wytworne i w dobrym stylu. Rozejrzawszy się wokół z zainteresowaniem, zamknęłam na klucz drzwi na korytarz i podeszłam do innych, znajdujących się na bocznej ścianie. Tak jak się spodziewałam,

wiodły do drugiej sypialni, gdzie stały już bagaże Axela, przyniesione przez lokaja. Rzuciwszy okiem na ciężkie walizy, zamknęłam drzwi i rozejrzałam się za kluczem. Nie było go.

Postanowiłam nie wołać pokojówki. Z pewnością była tak samo zmęczona, a ja mogłam równie dobrze poradzić sobie bez niej. Rozebrałam się jak najszybciej, rozpuściłam włosy, wyszczotkowałam je i zgasłam lampę. Płomienie migotały w palenisku, a ja leżałam nie śpiąc i nasłuchiwałam jakiegokolwiek odgłosu, świadczącego o tym, że Axel pojawił się w pokoju obok. Czas mijał. Powieki zaczęły mi ciążyć, myśli się plątać. Bez uczucia niesmaku pomyślałam przelotnie o mojej krótkiej znajomości z Axelem Brandsonem i cichym, skromnym ślubie. Właściwie nie całkiem jeszcze dowierzałam, że jestem kobietą zamężną, a Axel moim mężem. Szkoda, że taki stary i tak niewiele ma mi do powiedzenia. Owszem, jest uprzejmy, bywa czarujący, ale zawsze wygląda to tak, jakby przychodziło mu z pewnym wysiłkiem. Prawdopodobnie widzi we mnie tylko dziecko i nudzę go.

Zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda jego kochanka, i nagle zapragnęłam ją zaćmić. O nie, nie będziesz mną znudzony, pomyślałam niemal z wściekłością, nie będziesz! Wyobrażałam sobie mgliście sceny namiętnej miłości, romantyczne, przepelnione czułością, stan ekstazy nieporównywalnej z niczym i nigdy dotąd nie przeżytej. W końcu, dowodziłam sama sobie, coś takiego musi być przyjemne, inaczej ludzie nie spędzaliby tyle czasu myśląc o tym.

Powieki mi opadły. Było mi ciepło i rozkosznie wygodnie. Właśnie odpływałam w sen, gdy wspomniałam Alexandra i zaczęłam się zastanawiać, czy on też o mnie myśli.

Samotność dopadła mnie podstępnie, odzierając z przynoszącego zapomnienie snu, ściskając boleśnie gardło pragnieniem wydania szlochu. Utkwiłam wzrok w zamierających płomieniach na palenisku i po długim czasie usłyszałam wreszcie, że Axel porusza się w swojej sypialni. Uświadomiłam sobie, jak niesłychaną czuję ulgę. Tylko duma powstrzymywała mnie przed tym, by do niego pobiec, wykrzyczeć moją samotność, poszukać ukojenia u jedynej osoby, do której mogłam się po nie zwrócić.

Czekałam. Stopniowo odgłosy poruszeń cichły i zapadła cisza. Czekałam dalej, nogi zeszywniały mi z napięcia. Nie przyszedł. Mimo to czekałam, aż ogień przygasł zupełnie, a wtedy przekreśliłam się na łóżku, skryłam twarz w poduszce i płakałam, póki nie zmorzył mnie sen.

Następnego ranka padało. Marie-Claire, moja pokojówka, pomogła mi się ubrać i uczesać. Czułam, jak bardzo jest rozczarowana, że nie odzywam się ani słowem, ale nie miałam ochoty na rozmowę. Kiedy byłam gotowa, zeszłam na dół, niepewna, dokąd się udać. Lokaj wskazał mi mały pokój śniadaniowy, gdzie wypijałam kawę i zjadłam biskwita. Przechadzałam się potem apatycznie po budynku, oglądając przez okna ogromnej galerii rozciągające się za nimi widoki, ale z powodu deszczu i mgły niewiele zobaczyłam. Żałowałam, że pogoda jest tak zła i nie można wyjść na zewnątrz, bo tereny wokół dworu wyglądały interesująco i przechadzka mogłaby mi sprawić wiele przyjemności.

W końcu poszłam do biblioteki, znalazłam powieść Jane Austen i zaczęłam ją czytać. Szybko znudziły mnie nazbyt pospolite przygody bohaterów i zaczęłam przeglądać Fieldinga i Defoe. Znalazłam egzemplarz „Moll Flanders”, książki, której matka nie pozwalała mi dotykać, i rano przeszedł mi nad nią niesłychanie szybko.

Nie widziałam Axela aż do trzeciej, kiedy podano obiad. Okazałam mu wiele chłodu, ale on jakby tego nie zauważał; był jak zawsze niezwykle greczny i jak zawsze obcy. Zostawiłam go nad szklaneczką portwajnu i udałam się do saloniku, by napisać list do Alexandra. Opisałam w nim drobiazgowo dwór i niemalże streściłam „Moll Flanders”.

Trochę mi po tym ulżyło.

Wreszcie przyszedł czas udać się na spoczynek, i tym razem dołożyłam starań, by wyglądać dobrze, czego poprzedniej nocy zaniedbałam ze zmęczenia, włożyłam też najlepszą koszulę nocną. Znalazłszy się w łóżku, próbowałam usilnie czuwać, ale sen owładnął mną nie wiadomo kiedy. Przebudziłam się głęboką nocą i stwierdziłam, że jestem sama.

Marie–Claire była wręcz urażona moim milczeniem kolejnego ranka, ale czułam się na tyle przygnębiona, że go nie przerwałam, i w końcu odeszła, lekko nadąsana. Zjadłam śniadanie, a ponieważ poranek okazał się piękny, spędziłam go spacerując po trawnikach i wśród cisowych szpalerów, po ogrodach warzywnych, w oranżerii i w lesie, obejrzałam strumyk i ruiny świątyni, wzniesione przez poprzednika obecnego właściciela dla ozdoby posiadłości.

Axel spędził całe przedpołudnie na pisaniu listów w bibliotece. Kiedy poszłam odstawić na półkę „Moll Flanders”, zastałam go siedzącego za biurkiem, na którym stał kałamarz i leżało pióro. Powiedzieliśmy sobie „dzień dobry” i zamieniliśmy kilka uprzejmych słów. Nie było go tam już, kiedy wstąpiłam znowu, tuż przed obiadem, żeby poszukać następnej książki do czytania, ale listy leżały na biurku, tak jak je zostawił. Zerknęłam na adresy: trzy do Wiednia, następny brzmiał: Wielmożny Pan James Sherman, Sherman, Sheperd i Sherman, 12 Mermaid Street, Rye, Sussex, a

kolejny: Wielmożny Pan Vere Brandson, Haraldsdyke koło Rye, Sussex. Patrzyłam na papier przez dłuższą chwilę. Haraldsdyke. To tam mieści się majątek, który Axel odziedziczył po ojcu, i dom, którego miałam być panią. Vere Brandson był średnim synem Roberta Brandsona z drugiego małżeństwa. Najstarszy syn, Rodric, zginął, jak mi powiedział Axel, w wypadku krótko po śmierci ojca. Najmłodszy, dziewiętnastoletni chłopak, o którym Axel ledwie mi wspomniał, miał na imię Edwin.

Zeszłam na obiad, cały czas myśląc o angielskich krewnych Axela i czując pokusę, by o nich porozmawiać, ale mój mąż zapytał tylko, jak mi przeszedł ranek, wdał się w krótką dyskusję na temat dworskich ogrodów, po czym zamilkł, objawiając aż nadto wyraźną niechęć do konwersacji. Toteż byłam zdziwiona, gdy potem przyszedł do mnie do saloniku i wyraził życzenie, bym zagrała mu coś na szpinecie.

Nie jest to mój ulubiony instrument, ale gram całkiem znośnie, a śpiewam zupełnie dobrze. Wyraźnie mu się podobało, a mnie szczerze cieszyły jego komplementy i w końcu zaproponowałam, że zagram coś na harfie. Wykonałam jedyny utwór, jaki znam na harfę, i ku mej satysfakcji poprosił, bym kontynuowała. Udałam, że zbytnia skromność mi na to nie pozwala, i w ten sposób szczęśliwie nie zepsułam wrażenia, jakie dotąd wywarłam.

— Jestem zachwycony, że mam utalentowaną żonę powiedział z uśmiechem tak czarującym, że po raz pierwszy wydał mi się nawet przystojny. Po raz pierwszy też uczynił wzmiankę na temat naszego związku. — Nie miałem pojęcia, że jesteś osobą muzykalną.

— W apartamencie, który wynajęłaś dla mnie i dla Alexandra, nie było szpinetu, nie miałam więc szansy, by dla ciebie wcześniej zagrać — powiedziała lekkim tonem.

— Słusznie — odparł z uśmiechem. — Znasz oczywiście francuski?

— Tak.

— Wobec tego, może poczytałabyś mi trochę Moliера, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona. To dla mnie wielka przyjemność słuchać kogoś mówiącego po francusku z doskonałym akcentem.

Natychmiast pomyślałam o jego cudzoziemskim pochodzeniu. Żaden Anglik nie słuchałby z przyjemnością języka Napoleona Bonapartego.

Czytałam przez pół godziny. Władam francuskim swobodnie, ponieważ rozmawiałam z matką wyłącznie w tym języku, od dziecka też miałam francuską pokojówkę. Znowu wyglądał na niezwykle zadowolonego, a potem dyskutowaliśmy chwilę na temat literatury i historii Francji.

Zjedliśmy lekką kolację przy świecach, po czym oświadczył, że muszę być zmęczona i nie będzie miał pretensji, gdybym miała ochotę pójść do łóżka.

Nie wiedziałam, czy to przejaw rzeczywistej troski, czy też po prostu chce się mnie wreszcie pozbyć. Poszłam więc na górę do siebie, czując ogromne rozczarowanie, i siedziałam długo przed lustrem, aż wreszcie zachnęłam się na swoje przygnębione odbicie. Chcąc odegnąć uczucie przytłaczającej samotności, wezwałam Marie-Claire i zrobiłam niezwykle staranną toaletę przed czekającymi mnie długimi godzinami nocy.

Leżałam w pościeli ledwie dziesięć minut, kiedy usłyszałam, że ktoś chodzi po pokoju Axela, potem doszły mnie odgłosy cichej rozmowy, gdy

odprawiał swego kamerdynera, ledwie słyszalne szmery i zapadła cisza. Wyteżyłam słuch, by zyskać pewność, czy poszedł spać, gdy drzwi łączące nasze sypialnie otworzyły się.

Podniosłam się na łóżku ze zdumienia i w tym samym momencie on skierował wzrok na mnie. Trzymał w ręce lichtarz i migoczący płomyk świecy odbijał się w jego ciemnych oczach, a ich wyraz był dla mnie zagadką.

Opadłam z powrotem na poduszki.

Przez moment wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Postawił lichtarz na stoliku przy łóżku, zdusił płomień świecy i zapanowała ciemność. Raczej słyszałam niż widziałam, jak zdejmuje koszulę i nagle leżał tuż przy mnie pod prześcieradłem; oddychał szybko i czułam na policzku jego gorący oddech.

Odprężyłam się szczęśliwa, dana mi była bowiem błogosławiona łaska ignorancji. Uważałam się za dorosłą na tyle, by wiedzieć wszystko o namiętności, ekstazie i spełnieniu aktu miłości. Nikt nigdy mi nie powiedział, że ten akt może być bolesny, zawstydzający i budzić wstęt.

Później, gdy odszedł, zwinęłam się w kłębek, jakbym w ten sposób mogła nie dopuścić do siebie tego, co mi podsuwała pamięć, i trzecią noc z rzędu płakałam, póki nie zapadłam w sen.

Następnego ranka znowu padało i znowu nie mogłam wyjść na spacer. Po śniadaniu wzięłam z biblioteki kolejną książkę panny Austen i skryłam się w najmniejszym z saloników, żeby ją przeczytać. Dzisiaj powieść panny Austen nie wydała mi się nużąca, wydarzenia zbyt prozaične, a bohaterowie nudni; ich normalność rozpraszała obawy. Nie chciałam już więcej czytać gotyckich powieści ani takich jak „Moll Flanders”. Świat panny Austen —

świat pastorów, wiejskiego zacisza, wartości moralnych — koił mój umysł, niósł pocieszenie.

Axel odszukał mnie około południa. Miał na sobie ubranie do konnej jazdy i tylko dlatego zauważyłam, że przestało padać, choć dzień był dalej szary.

— Zastanawiałem się, gdzie się podziałas — powiedział. — Nie mogłem cię znaleźć.

Zupełnie nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Po chwili zamknął drzwi za sobą i podszedł powoli do kanapy, na której siedziałam.

— Nie wiem, czy to ma sens, aby odkładać nasz wyjazd do Haraldsdyke — stwierdził, a moje palce błądziły po skórzanej oprawie książki. — Dzisiaj mamy sobotę. Sądzę, że możemy wyruszyć w poniedziałek rano, jeśli ci to odpowiada. O ile drogi będą nam sprzyjać, dotrzemy do Rye w środę późnym wieczorem.

— Jak sobie życzysz.

Stał w milczeniu. W końcu poczułam chłodne palce na policzku, ale nie podniosłam oczu; uzbroiłam się wewnątrz przeciwko każdej wzmiance, jaką by uczynił o tym budzącym niesmak wspomnieniu, które dzieliliśmy. Powiedział tylko:

— Nie ma potrzeby robić takiej miny, jakbyś uważała towarzystwo przeciwnej płci za żałośnie przecenianą przyjemność. Z czasem sprawy będą się miały lepiej.

Odszedł, zanim zdołałam odpowiedzieć, i znowu zostałam sama z książką w ręce w pustym pokoju.

Rozmyślałam nad tym, kiedy też nastąpi owo „z czasem”, ale najwyraźniej nie miało się zdarzyć pod dachem Claybury Park. Tej nocy i

następnej drzwi łączące sypialnie pozostawały zamknięte, a w poniedziałek opuściliśmy spokojny, piękny dom w Surrey dla mglistych bagien i skrywających tajemnicę murów Haraldsdyke.

RS

Rozdział 2

— Powinienem chyba opowiedzieć ci coś więcej o mojej rodzinie — stwierdził Axel przy obiedzie, który jedliśmy późnym poniedziałkowym wieczorem w Sevenoaks.

Na zewnątrz panowały ciemności, ale my siedzieliśmy w ciepłym, wygodnym gabinecie, przydzielonym nam przez oberżystę. Ogień płonął w dużym palenisku; czułam prawdziwą ulgę po długich godzinach podróży trzęsącą się kareta pocztową w przenikającej chłodnym dreszczem wilgoci listopada.

— Tak — odparłam z wahaniem. — Chciałabym usłyszeć coś więcej. Właściwie tylko mi o nich wspomniałeś. — Byłam zmieszana, ponieważ zupełnie nie wiedziałam, czy takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał. Jednocześnie zdumiało mnie, jak bardzo staję się w jego towarzystwie nerwowa, skoro całkiem zwyczajne odezwanie się wprowadza mnie w stan niepewności.

Skupiłam całą uwagę na kawałeczku pieczonej wołowiny na talerzu, a on zaczął mówić swobodnie, jakby w ogóle nie zauważył mego zmieszania.

— Ojciec zmarł w wigilię Bożego Narodzenia. Typowy angielski dżentelmen o silnej osobowości, przedstawiciel raczej minionej epoki niż tego stulecia. Zagorzały torys i niepoprawny konserwatysta, który głęboko wierzył, że jedyne właściwe metody zarządzania majątkiem ziemskim datują się sprzed epoki Wihelma Zdobywcy, żarliwy antybonapartysta, przeciwnik wszystkiego co europejskie. Zawsze mnie zdumiewało, że ze wszystkich ludzi na ziemi on właśnie był w stanie poślubić cudzoziemkę, ale może w młodości cechowały go nieco liberalniejsze poglądy. A może doświadczenia

pożycia z moją matką zaowocowały uprzedzeniem do cudzoziemców. Z pewnością nie byli szczęśliwą parą. Opuściła go jeszcze przed moimi narodzinami i na szczęście posiadała odpowiednie środki, by osiąść w Wiedniu. Nigdy w pełni nie wróciła do zdrowia po porodzie i w parę lat później zmarła. Wychowywał mnie wuj, starszy brat matki, którego Franciszek I, gdy piastował jeszcze godność cesarza rzymskiego, a nie tylko Austrii, wyznaczył do pełnienia pomniejszych zadań dyplomatycznych. Zabrał mnie ze sobą do Londynu, a że zawsze byłem mu przeszkodą w swobodnym kawalerskim żywocie i traktował moją obecność wręcz jako naruszenie jego prywatności, doprowadził do spotkania z ojcem w nadziei, że ten uwolni go obowiązku zajmowania się siostrzeńcem.

Ojciec przyjechał do Londynu najprawdopodobniej kierowany ciekawością, jak też wygląda jego cudzoziemski syn. Doskonale pamiętam moment, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem. Był bardzo wysoki, dużo wyższy niż ja teraz, miał na głowie perukę, która z pewnością pamiętała lepsze czasy, ogromny wydatny brzuch, masywne ramiona i głos zdolny wystraszyć samego Napoleona Bonapartego. Od razu zrozumiałem, dlaczego wywiera tak potężny wpływ zarówno na obywateli Rye, jak i w Cinque Ports i dlaczego jest w stanie zdominować każde zgromadzenie. Anglia była podówczas, a jest i teraz, najbogatszym i najpotężniejszym krajem świata, a on ją dla mnie uosabiał: nieustępliwy, arogancki, zarozumiały, niewychowany, a jednocześnie do przesady szczodry, okazujący współczucie, gdy coś poruszyło jego serce, niewzruszenie lojalny wobec przyjaciół, króla, ojczyzny, przestrzegający tego wszystkiego, co uważał za słuszne i sprawiedliwe.

„Ha!” — oświadczył wkroczywszy do pokoju, a od jego kroków zadrżały porcelanowe drobiazgi ustawione na obramowaniu kominka. „Wyglądasz zupełnie jak matka. No trudno, nic na to nie poradzisz. Jak masz na imię?” Omal nie wyzionął ducha, gdy mu powiedziałem. „Cholerne cudzoziemskie bzdury — zaryczał. — Będę cię nazywał George. Co dobre dla króla, nie może być złe dla ciebie. Cóż to za francuzikowate idiotyzmy sterczą ci wokół gardła i nadgarstków?” Wiedeńska moda nakazywała w tym czasie, by żakiety małych chłopców ozdabiać koronkowymi mankietami i zawiązywać koronkową chustkę, nie znałem jednak na tyle angielskiego, by mu to wytłumaczyć. Powiedział: „Przez litość Boga”, czy coś równie staroświeckiego. „To dziecko nie zna swego rodzimego języka! Nic się nie martw, chłopcze, szybko to naprawimy”.

Ku ogromnej uldze wuja natychmiast zwolnił go z obowiązku opieki nade mną i pojechaliśmy do Haraldsdyke, gdzie wynajęty guwerner zaczął mnie uczyć angielskiego. Ojciec zawarł już wtedy powtórny związek małżeński, ale moi przyrodni bracia, Rodric i Vere, byli zupełnie maleńcy, a Ned w ogóle się jeszcze nie narodził, tak że wzrastałem jako bardzo samotne dziecko. W wieku dwunastu lat wysłał mnie do Westminsteru w nadziei, że w szkole z internatem zrobią ze mnie już definitywnie młodego angielskiego dżentelmena.

Szkoła nie dała mi w gruncie rzeczy wykształcenia, ale zahartowała mój charakter i kiedy skończyłem osiemnaście lat, poprosiłem ojca, by mi zezwolił wrócić do Wiednia w celu skontrolowania, w jaki sposób wuj sprawuje kuratelę nad powierzonym mu majątkiem, podejrzewałem go bowiem o działanie na moją szkodę. Ojciec rozgniewał się, gdy wspomniałem o powrocie do Austrii, wrzeszczał i ubliżał mi, pozostałem

jednak nieugięty i po godzinie z okładem zrozumiał wreszcie, że nie zdoła temu zaradzić.

Wróciłem zatem do Austrii i zająłem się prowadzeniem przedsiębiorstw odziedziczonych po matce. Po jakimś czasie poślubiłem, ku rozczarowaniu i obrzydzeniu mego ojca, Austriaczkę z dobrego domu i osiadłem w Wiedniu. Angielskie wykształcenie i nawiązane w Anglii kontakty miały oczywiście swoją wartość. Po śmierci żony poświęciłem się całkowicie interesom i udało mi się znaleźć niezły rynek zbytu w Anglii. Zacząłem podróżować w tę i z powrotem między obydwoma krajami i od czasu do czasu mogłem nawet odwiedzić Haraldsdyke. Ojciec oczywiście nigdy mi nie wybaczył powrotu do Austrii. Miał już teraz trzech synów z drugiego małżeństwa i zdawałem sobie sprawę, że jestem dla niego obcy, ot cudzoziemiec, który przejeżdża przez angielską ziemię.

Zamilkł. Ogień w palenisku płonął żwawo, płomienie strzelały w górę ku kominowi. Po raz pierwszy rozmawiał ze mną tak długo i nie chciałam mu przerywać, czekałam, by znów podjął opowieść, ale nie odzywał się i w końcu powiedziałam, trawiona ciekawością:

— Ale to właśnie tobie ostatecznie zostawił Haraldsdyke.

— Tak — potwierdził — zostawił je mnie. — Patrzył na igrające płomienie, na jego twarzy malował się spokój. — Pod koniec zdawałem sobie już sprawę, jak jest rozczarowany swoimi trzema synami z drugiego małżeństwa, ale nigdy bym nie przypuszczał, że ich wyzuje z majątku. Zapisał im ledwie symboliczne legaty.

— Ale dlaczego tak się stało? Co takiego zrobili?

Zawahał się, wzrok miał wciąż utkwiony w płomieniach, palce zastukały po kuflu wypełnionym *ale*.

— Ned, najmłodszy, był dzieckiem trudnym i niezbyt radosnym — odezwał się w końcu. — Nikt się nim zresztą nie zajmował. Ciemnowłosy, niezdarny i niezbyt urodziwy. Vere, średni, zrównoważony, wręcz zbyt poważny, zupełnie nie mógł się porozumieć z ojcem, a już zwłaszcza co do tego, jak powinno się gospodarować majątkiem. Vere chciałby eksperymentować, interesują go wszelkie nowinki techniczne w rolnictwie, ojciec zaś uważał, że są to absolutne bzdury. Ukoronowaniem wszystkiego stało się małżeństwo, jakie Vere zawarł potajemnie z wiejską dziewczyną, córką miejscowej czarownicy. Ojciec najpierw się go wyrzekł, potem pozwał tego i wreszcie wybaczył. Sądzę, że wbrew samemu sobie był pod wrażeniem osobowości Alice, żony Vere'a; ma ona na tyle rozsądku, by nie próbować udawać kogoś innego, niż jest w rzeczywistości, nie usiłuje mówić jak osoba z wyższych sfer, nosić sukien zbyt wytwornych czy ekstrawaganckich. Cicha, prostolinijna i naturalna, a do tego z dobrą prezencją. Sądzę też, że jest wspaniałą matką. Urodziła pięcioro czy sześcioro dzieci, o ile dobrze pamiętam; nie wszystkie oczywiście pozostały przy życiu, zdaje się, że troje. Nie jest to zatem nieszczęśliwe małżeństwo, mimo to mój ojciec nigdy tak do końca nie wybaczył Vere'owi mezaliansu.

— A najstarszy syn? — spytałam. — Dlaczego go rozczarował?

— Rodric? — Nagły przeciąg sprawił, że płomienie wystrzeliły z żarzących się z trzaskiem głowni gwałtownie ku kominowi, ale zaraz przygasły. Wiatr zagrzechotał z impetem okiennicami. — Rodric zginął. Stało się to w dniu śmierci ojca. Pojechał konno do Rye i we mgle, która nadciągnęła od morza, pochłoneło go trzęsawisko. Szukałem go, ale znalazłem tylko błakającego się po groblach konia i kapelusz unoszący się

wśród sitowia w pobliżu granicy bagna. Jego koń z pewnością spłoszył się na wąskiej ścieżce i zrzucił go w błotniste wody grzęzawiska.

Zadrżałam, wyobrażając sobie aż nadto wyraźnie okryte mgłą bagna, chociaż ich przecież nigdy w życiu nie widziałam, i krętą dróżkę z Haraldsdyke do Rye.

— Czy tam nie ma porządnej drogi? — odezwałam się niemalże szeptem. — Żadnej drogi łączącej dom z miastem?

— Ależ oczywiście, tylko że Rodric nią nie pojechał. Próbował uciec i dlatego wybrał starą ścieżkę przez bagna.

Zupełnie jakbym spała i we śnie, choć nic tego nie zapowiadało, dobrze znany pejzaż nieoczekiwanie przekształcił się jak w krzywym zwierciadle w przerażający widok. Czułam się tak spokojna, słuchając opowiadania Axela, że nie pojęłam, do czego zmierza, dopóki tego nie usłyszałam na własne uszy. Z szoku krew odpłynęła mi z twarzy. Utkwiłam w nim wzrok, nie mówiąc ani słowa.

— Ojciec umarł z powodu ciosu, jaki mu zadano kolbą strzelby — powiedział cicho Axel — i to właśnie Rodric go zadał.

Właściciel gospody wszedł akurat w tym momencie, by zapytać, czy smakował nam posiłek i czy czegoś jeszcze sobie życzymy. Kiedy nas zostawił samych, zapytałam:

— Dlaczego dotąd mi tego nie opowiedziałaś?

Odwrócił spojrzenie. Przez chwilę czułam, że jestem bliższa niż kiedykolwiek przedarcia się przez tę jego skorupę manier i dojrzałości. Wzruszył ramionami.

— Ta historia należy do przeszłości — stwierdził. — Skończone, sprawa zamknięta. Powinnaś o tym wiedzieć, ponieważ z pewnością

znajdzie się ktoś, kto ci zechce to opowiedzieć, ale to wszystko ciebie nie dotyczy.

Ale ja czułam, że właśnie zaczyna mnie dotyczyć.

— Co mogło przywieść Rodrica do popełnienia tak straszliwego czynu? Zupełnie nie rozumiem — powiedziałam poruszona.

— Z pewnością — odparł. — I nigdy nie zrozumiesz. Nie znałaś go.

— Opowiedz mi o nim.

— Jest martwy. Nie musisz się kłopotać duchami.

— Ale...

— Był równie gwałtowny i zmienny, jak Vere zrównoważony i spokojny. W poszukiwaniu przygód nieustrudzony niczym dziecko, prawdopodobnie zaspokajało to jego dziwaczny pęd do przeżywania coraz nowych emocji. Zawsze miał kłopoty, od najwcześniejszych lat, a im starszy, tym bardziej wymykał się spod rodzicielskiej władzy. Ich osobowości ścierały się ze sobą. Mimo to ojciec faworyzował go i niezależnie od wszelkich szaleństw syna, zawsze robił co mógł, by go wyciągnąć z tarapatów, w jakie Rodric nieodmiennie wpadał. Nadwierało to jednak ich wzajemne stosunki i wreszcie ojciec zagroził mu, że nie tylko powiadomi strażników w Rye o jego sprawkach, ale i wydziedziczy.

— I wtedy właśnie Rodric go zabił?

— Był ostatnim człowiekiem, który widział mojego ojca żywego, poza tym wiadomo, że straszliwie się pokłócili. Część ich rozmowy została podsłuchana. Natychmiast potem pogalopował na bagna.

— A broń...?

— Była jego. Ledwie zdążył wrócić do domu z polowania, gdy służący poprosił, by przyszedł do biblioteki. Poszedł z bronią w rękę. Wiem to na

pewno, ponieważ polowałem razem z nim i obaj staliśmy w holu, gdy ojciec go zawezwał.

— A zatem to ty odkryłeś, że ojciec nie żyje?

— Nie, znalazła go moja macocha. Vere spędził całe popołudnie poza majątkiem. Wrócił znacznie później. Lokaj nam powiedział, że Rodric odjechał konno, ruszyłem więc za nim, aby go sprowadzić z powrotem, ale nie zdążyłem.

— A klótnia...? Powiedziałeś, że ktoś podsłuchiwał.

— Tak. Alice, żona Vere'a, i Mary Moore, wychowanica ojca, jego chrześniaczka. Zdaje się, że ci o niej do tej pory nie wspomniałem. Siedziały w salonie przylegającym do biblioteki, a kiedy ojciec podnosił głos, nietrudno go było słyszeć nawet przez grube mury. Szybko poczuły się zakłopotane i oddaliły do saloniku na górze. To znaczy, Mary. Alice poszła do pokoju dzieciennego.

— A twój najmłodszy brat przyrodni, Edwin? Był tam? Słyszał coś?

— Zabawiał się na sianie z drugą pomywaczką — powiedział Axel. Zaskoczyła mnie jego bezpośredniość; uprzytomnił mi, że łączy nas związek, z którego racji dozwolona jest szczerłość w rozmowach. — Cała ta jego młodzieńcza eskapada została należycie omówiona podczas rozprawy, na której dochodzono przyczyny zgonu.

— Rozprawy!

— No cóż, tak. Koronerzy orzekli, że ojciec został zamordowany, a śmierć Rodriga nastąpiła w efekcie wypadku, gdy pośpiesznie próbował oddalić się z miejsca zbrodni. Ustalili także, iż nie powinno się obarczać winą za tę śmierć nikogo z żyjących, tak więc choć wina Rodriga nie została

stwierdzona, ich oświadczenie wskazywało na niego, co okazało się wystarczające w oczach świata.

— Ach tak. — Zamilkłam, wyobrażając sobie zatłoczoną salę sądową, niewzruszonych sędziów, rozplotkowany, wytrzeszczający oczy tłum. — Rozprawa odbywała się w Rye?

— Tak i na szczęście koroner był przyjacielem adwokata ojca, Jamesa Shermana, zrobił więc wszystko, by nas oszczędzić, choć cała sprawa i tak dała powód do rozlicznych spekulacji i plotek w Cinque Ports. Wzmogły się jeszcze, gdy poznano treść testamentu ojca... wtedy właśnie ku swemu ogromnemu zakłopotaniu dowiedziałem się, że zapisał mi majątek. Zresztą wszystkich to wprawiło w zdumienie. Groził wprowadzić Rodricowi wydziedziczeniem, wiedzieliśmy o tym, ale nikt się nie spodziewał, że już tego dokonał. Co więcej, ani Vere, ani Ned nie oczekiwali czegoś podobnego. James Sherman powiadomił nas, że nowy testament został sporządzony na dzień przed śmiercią.

— Ale skoro spadek wprawił cię w takie zakłopotanie, dlaczego się go nie zrzekłeś? Albo nie scedowałeś prawa własności na braci?

— Tak, to było możliwe i szczerze mówiąc, myślałem o tym z początku, ale potem zrozumiałem, że w ten sposób zdradziłbym ojca i zawiódł pokładane we mnie zaufanie. Pisząc testament był z pewnością w pełni władz umysłowych i miał bez wątpienia powody, by wykluczyć innych synów z udziału w spadku. Wreszcie doszedłem do przekonania, że jedyne, co mogę zrobić chcąc wypełnić jego ostatnią wolę, to zaakceptować spuściznę. Jednocześnie było dla mnie oczywiste, że z powodu moich własnych zobowiązań nie mogę zbyt długo pozostać w Haraldsdyke. Majątek zresztą miał przez rok pozostawać pod pieczęcią kuratorów, jako że

musiałem wypełnić warunek poślubienia Angielki, by stał się w pełni moją własnością. Oświadczyłem kuratorom, Jamesowi Shermanowi i jego bratu, Charlesowi, że jest moim życzeniem, by rzeczywistą administrację nad włościami, gdy będę nieobecny, sprawował Vere, i udałem się do Wiednia uładzić interesy w sposób, który pozwoliłby mi jak najszybciej wrócić do Anglii i poszukać sobie żony.

— Załóżmy, że byś się nie ożenił? — zapytałam. — Co wtedy z majątkiem?

— Przeszedłby na syna Vere'a, Stephena, który ma w tej chwili trzy lata. Gdybym zmarł nie pozostawiając dzieci, również dostałby się Stephenowi, a w razie jego bezpotomnej śmierci przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, dziedziczyłby drugi z kolei brat i tak dalej... Każda możliwość została przewidziana.

— Ach tak. — Milczałam przez chwilę. — Czy często musisz jeździć do Wiednia?

— Mniej więcej raz do roku. Uporządkowałem swoje sprawy i ustanowiłem przedstawicieli, tak by móc spędzać większość czasu w Anglii.

— A Vere i Alice? Jak muszą nas nie znosić za to, że ich wywłaszczamy!

— Nie widzę powodu, by mieli się czuć wywłaszczeni. Cieszę się szczerze z pomocy Vere'a w administrowaniu majątkiem, ponieważ zupełnie nie znam się na rolnictwie, Alice zaś nauczy cię, jak prowadzić dom na wsi.

— Ile ona ma lat? — zapytałam niepewnie. — I czy nie będzie zła, gdy zajmę jej miejsce?

— Tym się nie przejmuj — oświadczył. — Alice jest prostą, szczerą dziewczyną, która zdobyła doświadczenie pracując jako gospodyni w dużym

dworze na wsi. Twoje wychowanie i pochodzenie zapewniają ci znacznie wyższą pozycję. Nie grożą wam żadne nieporozumienia; od początku powinno być wiadomo, kto jest rzeczywistą panią domu. Poza tym Alice z pewnością to nie obejdzie, zostanie jej po prostu więcej czasu dla dzieci. Jest naprawdę wspaniałą matką.

— A pozostali? Twoja macocha...

— Esther i ja zawsze byliśmy w jak najlepszych stosunkach — przerwał mi. — Ucieszy się widząc mnie z powrotem i będzie chciała, byś się czuła całkowicie swobodnie w Haraldsdyke. Kto pozostaje? Mary, wychowanica ojca, czternastoletnie dziecko, zbyt zaabsorbowana tym, by zadowolić guwernantkę, żeby miała się skupiać na tobie. Zresztą naprawdę nie musisz się nią przejmować.

— I Ned — przypomniałam. — Znowu zapomniałeś o Nedzie.

— Ned? Doprawdy nie powinnaś się nim kłopotać. Najprawdopodobniej poradzę mu, by się zaciągnął do armii. Ma dziewiętnaście lat i najwyższy czas, by wreszcie zrobił coś sensownego ze swoim życiem, zamiast spędzać je jałowo w tawernach Cinque Ports albo po stogach siana. Nie jest na tyle inteligentny, by pójść na uniwersytet. Wszelkie wysiłki zmierzające do zapewnienia mu wykształcenia to zwykle marnowanie pieniędzy. — Wysączył reszkę *ale* z zaopatrzonego w wieczko kufla, wyciągnął zegarek i spojrzawszy na niego stwierdził nieoczekiwanie: — Sądzę, że czas się udać na spoczynek. Mamy przed sobą ciężki dzień i powinnaś wypocząć, inaczej będziesz zbyt zmęczona.

— Jak sobie życzysz. — Moje myśli oderwały się od przeszłości i skierowały ku okropnościom nadchodzącej nocy.

— Właściciel dysponuje na szczęście osobnym pokojem. To rzadkie w angielskich gospodach, gdzie często trzeba dzielić nie tylko wspólną sypialnię, ale i wspólne łóżko.

Próbowałam przybrać zadowoloną minę.

— Może napijesz się ze mną wina, zanim pójdziemy do łóżka? — zapytał. — Taka przejmująca wilgocia noc, wino nas trochę rozgrzeje.

Zaprotestowałam bez przekonania, ale szybko się zgodziłam. Chwyciłabym się każdej wymówki, byle tylko odsunąć moment, kiedy zostanę z nim sama w sypialni.

Wino rzeczywiście mnie rozgrzało, rozluźniłam się trochę i poczułam senna. Kiedy szliśmy po schodach, chciałam go spytać, cóż to za „sprawkami” mogącymi zainteresować policję w Rye zajmował się Rodric, ale umysł miałam otumaniony i nie mogłabym się skoncentrować dostatecznie, by wznowić naszą wcześniejszą rozmowę. W sypialni czekała na mnie Marie-Claire, ale odprawiłam ją natychmiast, widząc, jak ogromnie jest zmęczona, i rozebrałam się najszybciej jak umiałam bez jej pomocy. Rozpostarła koszulę nocną na naczyniu do ogrzewania pościeli i kiedy jedwab dotknął mojej skóry, poczułam rozkoszne ciepło przenikające każdą kosteczkę. W sekundę później leżałam podparta poduszkami w łóżku, zapadając w sen.

Wypowiedział słuszną uwagę dziś rano w Claybury Park. Sprawy rzeczywiście miały się lepiej; tym razem nie żywiłam już złudzeń, które można by było rozwiązać. Zasnął potem niemal natychmiast i nie poruszył się ani wówczas, gdy przysunęłam się blisko, by się rozgrzać, ani gdy odważyłam się położyć głowę na jego ramieniu. Byłam w pełni świadoma, że nie jesteśmy sobie bliscy nawet w takiej chwili.

Następnego dnia wyruszyliśmy wczesnym rankiem z gospody w Sevenoaks i pojechaliśmy dalej na południe poprzez łąki Kentu, aż dotarliśmy do wspaniałych źródeł Tunbridge Wells, które ponad półtora wieku temu rozślawiła królowa Henrietta Maria, żona Karola I. Nie są oczywiście tak słynne, jak te w Bath, znane całej Europie, ale Axel uznał miasto za interesujące na tyle, by się w nim zatrzymać, sądził poza tym, że krótsza jazda mniej mnie zmęczy. Obiad zjedliśmy we wspaniałej tawernie niedaleko Pantiles, a na noc zatrzymaliśmy się w gospodzie koło Pump Room. Znowu dostaliśmy wspólną sypialnię, ale tym razem ja zasnąłam pierwsza i zbudził mnie dopiero deszcz, który zaczął padać o siódmej rano.

Nie rozmawialiśmy więcej o jego rodzinie, ale kiedy w środę pozostawiliśmy za sobą ostatni postój w podróży, zaczęłam o nich myśleć. Szczególnie obawiałam się spotkania z Alice. Miałam nadzieję, że nie okaże się dużo ode mnie starsza, co mogłoby mi przyczynić dodatkowego kłopotu, niemniej skoro urodziła sześcioro dzieci, musiała mieć dwadzieścia dwa lata, o ile nie więcej.

Zaczęłam nie wiadomo po co liczyć miesiące, które mi zostały do osiągnięcia pełnoletności.

Wydawało się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Jechaliśmy wzdłuż granicy Kentu i Sussex, a deszcz lał z ołowianego nieba, przemieniając drogi w błotne trakty. Stawaliśmy często na krótkie popasy w gospodach, by woźnica mógł się zająć końmi, szybko opadającymi z sił, skoro musiały ciągnąć karete pocztową po grząskich gościńcach. Kiedy wreszcie przekroczyliśmy granicę Sussex, zostawiając rolnicze tereny Kentu za sobą, deszcz zaczął słabnąć i wyglądając przez okno mogłam dostrzec, że roztacza

się przed nami rozległa płaszczyna zieleni, złamana paskiem zielonego morza na horyzoncie.

— To są właśnie Marsh — powiedział Axel.

Zupełnie inaczej je sobie wyobrażałam. Opisywano mi kiedyś tereny Fen Country we wschodniej Anglii jako nieprzerwany obszar moczarów i bagnisk i tak właśnie przedstawiałam sobie Marsh, tymczasem choć z pewnością musiały tam być liczne trzęsawiska, zupełnie nie sposób było ich dostrzec z drogi. Trawa na bezkresnych łąkach jaśniała zielenią, czasem przecinał ją pas ziemi uprawnej i grupka budynków z kamienia. Przestrzeni nie ograniczały żywopłoty, nie było żadnych ogrodzeń, tylko połyskujące wodą liczne rowy odwadniające.

— Planuje się osuszenie większości tych obszarów — objaśniał Axel wskazując na rowy odwadniające. — Ziemia jest tu bardzo żyzna, o ile oczywiście nadaje się pod zasiewy. Vere prowadzi eksperymentalne uprawy, sadi też rzepę i warzywa korzeniowe na jednej trzeciej gruntu, który dotąd zostawiano, by leżał przez rok odłogiem. Podobnych eksperymentów z rotacją upraw dokonuje się we wschodniej Anglii, wydają się one bardzo interesujące. Wiem, że lord Townshend z powodzeniem udoskonalił tę metodę, ojciec jednak długi czas był przeciwny jej stosowaniu i kurczowo trzymał się starych sposobów gospodarowania. Zresztą z założenia nie ufał żadnym nowinkom.

— Czy całe Marsh pokrywały kiedyś bagna?

— Wieki temu większość łąd znajdowała się poniżej poziomu morza. Rye i Winchelsea jeszcze do czternastego wieku były miastami portowymi, jednymi z najznacniejszych w Anglii; konkurowały nawet z Londynem. Od czasu jednak gdy morze cofnęło się spod ich murów, a rzeka zamuliła aż do

wysokości Rye, żyją z jarmarków i karmią się wspomnieniami średniowiecznej wielkości.

— A jak daleko stąd do Hastings, gdzie wylądował Wilhelm Zdobywca?

— Z Winchelsea mniej niż dziesięć mil. Przodek Brandsonów, znany jako Brand i powszechnie uważany za Duńczyka, należał do świty króla Harolda i walczył w jego szeregach przeciwko najeźdźcom.

— Przodkowie mojej matki wywodzą się z Charlemagne—oznajmiłam, doszedłszy do wniosku, że pyszni się za bardzo, i zdecydowana nie dać mu się zaćmić. Ku memu zniecierpliwieniu uśmiechnął się leciutko, jakby usłyszał żart.

— Drogie dziecko — oznajmił rozbawiony — wszyscy mamy antenatów, którzy żyli nawet tysiąc lat temu. Jedyna różnica między nami i powiedzmy, woźnicą, który zajmuje miejsce tuż za końskimi zadami, jest taka, że my znamy ich nazwiska, a on nie.

Uznałam, że uwaga jest niezwykle dziwaczna, jego wesołość zaś w najwyższym stopniu irytująca, i jedyne, co mogę zrobić, by zachować godność, to zignorować jego odezwanie całkowicie. Ponownie pochłonął mnie pejzaż za oknem.

Pogoda stopniowo się polepszała, ale zaczął zapadać zmierzch, otuliłam się więc szczelnie płaszczem i obserwowałam przez okno wydłużające się cienie. Rowy odwadniające połyskiwały tajemniczo, a płaski równinny teren stwarzał przedziwną iluzję bliskości. Kiedy dostrzegłam światła Rye — jasne punkciki wznoszące się gęsto po ciemnym zboczu wzgórza — wydawało mi się, że miasto jest na wyciągnięcie ręki, a

tymczasem minęła godzina i konie zdrowo się namęczyły na kamienistej drodze, nim dotarliśmy na szczyt do murów miejskich i olbrzymiej bramy.

— Vere będzie na nas oczekiwać w Mermaid Inn — odezwał się Axel. — Za chwilę się tam zatrzymamy. O, główna ulica! Widzisz tam? Stara szkoła. Ojciec posyłał do niej Neda, by się nauczył pisać i czytać. Vere miał prywatnego guwernera, ale co do Neda... nie był wart takiego luksusu. Zobacz, jakie to miasto jest stare! Nie zdziwiłbym się, gdyby te ulice i aleje niemal się nie zmieniły od czasów średniowiecza, kiedy je zbudowano.

Patrzyłam zafascynowana przez okno. Nigdy dotąd nie widziałam podobnego miasta; Cheltenham, gdzie spędziłam szkolne lata, wypełniały nowoczesne osiemnastowieczne budynki, w Londynie również mieszkałam w nowszej części metropolii. Trochę przypominało mi to londyńskie City, które odwiedziłam kilka razy, ale mimo pewnego podobieństwa Rye, kiedy patrzyłam na nie pierwszy raz w życiu, sprawiło na mnie wrażenie miejsca zupełnie unikatowego.

Dotarliśmy do Mermaid Inn, woźnica wjechał na podwórze gospody i zatrzymał konie. Słyszałam krzyki stajennych, odgłosy krzątania przy zdejmowaniu bagaży. Zupełnie zdrętwiałam i kiedy Axel pomagał mi wysiąść, potknęłam się i wpadłam na niego, nim jednak zdążyłam go przeprosić za moją niezręczność, odezwał się z rozdrażnieniem:

— Jest Ned, ale ani śladu Vere'a.

Odwróciłam się.

W drzwiach wejściowych gospody stał mężczyzna, którego twarzy nie mogłam widzieć, ponieważ gdy tylko nas dostrzegł, zaczął iść w naszą stronę i znalazł się poza kręgiem światła. Zauważyłam jednak, że zbliża się z ociąganiem, co mi się wydało dziwaczne.

— Gdzie Vere? — spytał Axel ostrym tonem, gdy mężczyzna stanął przy nas. — Powiedział, że to on nas będzie oczekiwał.

— Zdarzył się wypadek. — Miał niski głos i wymowę z naleciałościami charakterystycznymi dla gwary wieśniaków hrabstwa Sussex. Wprawilo mnie to w osłupienie, ponieważ do tej pory sądziłam, że wszyscy szlachetnie urodzeni posługują się angielszczyzną wyższych sfer, niezależnie od tego, w jakiej części Anglii się wychowali. Dzięki niezwykle mocnej budowie ciała sprawiał wrażenie wyższego od Axela, choć tak naprawdę był od niego niższy. Miał czarne podługzne oczy, uparcie zaciśnięte usta, czarne włosy ostrzyżone tak krótko, jakby był chłopem, a mimo to sprawiające wrażenie nieporządnej kudłatej strzechy. — Nasz najlepszy byk zaszarżował na jednego z parobków i Vere pojechał do Winchelsea skontaktować się z doktorem Salterem. Prosił, bym po was wyjechał, i kazał przeprosić, że go nie ma, choć obiecał.

— Nie mógł posłać ciebie, żebyś sprowadził lekarza, a sam się tu zjawić, jak było umówione?

— Martwił się o parobka. Podejrzewa, że ma złamany kręgosłup.

— Ach tak. — Był wyraźnie zły. Czekałam, by mnie przedstawił, skrepowana, ponieważ Ned bez żenady mierzył moją postać oczami. — Gdzie powóz?

— Tam stoi.

— W takim razie przestańmy marnować czas na wystawanie tutaj i nie narażajmy mojej żony na przeziębienie. Mogę ci przedstawić — pochylił się lekko ku mnie — mojego najmłodszego brata Edwina...? Ned, zajmij się bagażami. Czy Simpson powozi? Każ mu więc, by ci pomógł.

Ale Ned ujął moją rękę i skłonił się nisko z nieoczekiwaną ceremonialnością.

— Pani uniżony sługa...

— Bardzo mi miło — odpowiedziałam i natychmiast poczułam rękę Axela na ramieniu.

— Tędy, moja droga. — Jego głos brzmiał chłodno.

O ile wiejska wymowa Neda nasunęła mi pewne wątpliwości co do szlachectwa Brandsonów, o tyle wygląd powozu natychmiast rozwiął moje obawy. Wyczyszczony do połysku, starannie wykonany w najdrobniejszych szczegółach, wysoko zawieszony, naprawdę wygodny — bez wątpienia został wyprodukowany, by służyć dżentelmenowi.

— Byłeś niemalże nieuprzejmy dla Neda — odezwałam się ściszym głosem, gdy tylko się usadowiliśmy. — Dlaczego?

Przyglądał się pochylony spojeniu drzwiczek powozu, ale gdy przemówiłam, odwrócił się natychmiast i stanął wyprostowany, górując nade mną w ciasnym wnętrzu.

— Trzeba go utrzymywać w karności — oświadczył oschle. — Ojciec dopuścił, by zdziczał, a matka zupełnie nie ma na niego wpływu. Nieposkromiony jak Rodric, tylko że nie ma jego czaru i wdzięku. — Usiadł naprzeciwko mnie i w padającym z ganku gospody promieniu światła zobaczyłam po raz pierwszy w życiu gniew w jego oczach. — Poza tym, pozwól sobie coś powiedzieć. Nie pociąga mnie zbytnio konieczność strofowania cię tuż po ślubie, niemniej uważam, że lepiej, by od początku było dla ciebie jasne, kiedy uznaję twoje zachowanie za niewłaściwe. Jeśli byłem dla Neda „niemalże nieuprzejmy”, jak to ujęłaś, jest to wyłącznie moja sprawa. Nie prosiłem o twoje zdanie ani też go oczekiwałem. Fakt, że

jesteś moją żoną, nie daję ci jeszcze prawa do krytykowania moich manier, nawet gdybyś uważała je z powodu swego niedoświadczenia za niewłaściwe. Czy to rozumiesz?

— Tak — stwierdziłam, a łzy zapiekły mnie pod powiekami.

— W takim razie nie wracajmy do tego więcej. — Popatrzysz na zegarek, schował go z powrotem. — Powinniśmy dojechać do Haraldsdyke w ciągu półgodziny.

Milczałam.

Sądziłam, że Ned dołączy do nas, ale najwyraźniej wolał towarzystwo woźnicy i służących i nie zasiadł we wnętrzu. W dwadzieścia minut po opuszczeniu gospody Rye i Winchelsea pozostały za nami — dwa bliźniacze wzgórza usiane punkcikami świateł — a wszystko wokół skryła ciemność. Nagle poczułam ogromne zmęczenie i jak zawsze w chwilach, gdy upadałam na duchu, moje myśli zwróciły się ku Alexandrowi i zapragnęłam, by był ze mną. Wybuch złości Axela wbił między nas klin; wróciło poczucie samotności i wzajemnego oddalenia.

Mroki nocy skryły Haraldsdyke przed moim wzrokiem. Uprzedzając wydarzenia, wyobrażałam sobie, jak mijamy strzeżoną bramę i zbliżamy się długim podjazdem do domu. Tymczasem nie było żadnej portierni, tylko wysokie żelazne wrota osadzone w nadgryzionych zębem czasu murach, a za nimi wyrastające stromo ponad poziom bagien wzniesienie. Później dowiedziałam się, że wszystkie stare domostwa na tym terenie zostały zbudowane na sztucznie podniesionym ponad poziom morza gruncie, aby oddalić groźbę powodzi i wiosennych przypiływów. Powóz zajechał pod dom i Axel pomógł mi wysiąść. Wyteżyłam oczy, ale zanim zdążyłam

rozpoznać zarysy szarych ścian, w otwartych drzwiach stanęła kobieta dzierżąca lampę w ręce.

Instykt podpowiadał mi, że to Alice. Poczułam napięcie.

Ned wraz z woźnicą zajęli się bagażem, a Axel poprowadził mnie do frontowych drzwi po schodach, których nawet nie zauważyłam, tak byłam skoncentrowana na nieuniknionej prezentacji.

— Dzień dobry, Alice — odezwał się Axel, gdy stanęliśmy koło niej. — Pozwól, że ci przedstawię moją żonę. — Po czym zwrócił się do mnie i wypowiedział odwrotną formułkę.

Uśmiechnęła się. Ku swej uldze zauważyłam, że jest rzeczywiście prostą kobietą. Miała brązowe, niezbyt gęste, miękko się układające włosy, szeroką twarz o wysoko zarysowanych kościach policzkowych i zielone oczy. Solidnie zbudowana, jak zwykle wieśniaczki, o mocnych ramionach i ogromnych piersiach, omal uznałam, że jest nadzwyczaj tęga, gdy nagle zauważyłam mniej więcej czteromiesięczną ciążę. Obraz skrupulatnej, świetnie zorganizowanej pani domu i wspaniałej, sumiennej, oddanej matki stracił nieco ze swego blasku i byłam w pełni świadoma, jak wielką mi to sprawiło ulgę. Niezależnie od jej zalet, była po prostu zwykłą wiejską kobietą, a wobec tego nie istniał żaden powód, bym się czuła wobec niej gorsza.

— Och, ależ jesteś ładna! — wykrzyknęła cicho, a jej wymowa wyraźnie zdradzała wiejskie pochodzenie. — Bardzo proszę, wejdźcie, witamy was serdecznie... Vere zaraz zejdzie, George — zwróciła się do Axela, a ja mimo że zostałam uprzedzona, przeżyłam szok na dźwięk imienia, które nadał mu ojciec. — Dopiero co wrócił z Winchelsea i poszedł zmienić ubranie, nim was powita.

Powiodła nas przez wielki hol, a potem po kręconych schodach na piętro. Znaleźliśmy się w długiej amfiladzie pokoi; w kominkach płonął ogień, lampy rzucały ciepłe błyski na dębowe meble.

— Pomyślałam, że powinniście zająć pokoje ojca — odezwała się do Axela. — Nie były używane od czasu jego śmierci, Panie zlituj się nad jego duszą. Twoja macocha wciąż mieszka w zachodnim skrzydle. Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować — powiedziała do mnie. — George wspomniał w liście, że masz własną pokojówkę, urządziłam to więc tak, by spała po przeciwnej stronie korytarza, przynajmniej na razie. Ale jeśli wolisz ją od razu przenieść do skrzydła, które zajmuje służba...

— Nie, bardzo mi to odpowiada.

— W takim razie, skoro nic więcej nie mogę dla was w tej chwili zrobić, zostawię was samych, byście się odświeżyli po podróży. Lokaj zaraz wniesie bagaże, kazałam też służącym przynieść gorącej wody... to znaczy w dzbankach, na górę. A może chcecie, żebym przysłała tacę z jedzeniem? Albo dobrej gorącej herbaty?

Już otwierałam usta, by przyjąć jej propozycję, ale w porę przypomniałam sobie o obecności Axela i nie odezwałam się. Spojrzał na mnie unosząc brwi, a gdy leciutko skinęłam głową, stwierdził:

— Herbata będzie wspaniała, Alice. Proszę, powiedz reszcie rodziny, że dołączymy do nich najszybciej, jak zdołamy.

Herbata rzeczywiście mnie orzeźwiła. Marie-Claire pomogła mi się umyć i przebrać, poprawiła mi też fryzurę i siedząc wystrojona w świeżą suknię, zaczęłam się rozglądać po moim nowym otoczeniu. Pokoje były naprawdę przepiękne. Umeblowaniu z pewnością nie dostawało owej charakterystycznej londyńskiej lekkości, ale każdy najdrobniejszy sprzęt

nosił znamiona dzieła sztuki powstałego we wcześniejszych wiekach, a długie aksamitne zasłony w oknach i wokół łóżka znakomicie to podkreślały. Odsunęłam jedną storę i wyjrzałam w noc. Było zbyt ciemno, bym cokolwiek zobaczyła, niemniej wydało mi się, że dostrzegam w oddali mrugające światła Rye i Winchelsea.

Axel przyszedł do mnie ze swojej ubieralni w parę minut później. Nosił szary frak, kamizelkę w paski i długie beżowe spodnie skrojone podług francuskiej mody, rozcięte do wysokości kostki po bokach, a kamerdyner ogolił go już po raz drugi dzisiejszego dnia. Wyglądał nadzwyczaj elegancko i dziwacznie nie na miejscu w tym spokojnym angielskim wiejskim domu. Zaniepokojona pomyślałam, że być może również wyglądam za elegancko, a nawet na zbyt wystrójoną. Pośpiesznie zerknęłam w lustro, ale zanim zdołałam to osądzić, Axel oświadczył:

— Bogu niech będą dzięki, że nie prezentujesz się jak Alice — i pocałował mnie w kark.

Wyraźnie próbował zatrzeć swoje szorstkie przemówienie w Rye.

— Ale czy jestem stosownie ubrana? — spytałam, szukając upewnienia. — Nie chciałabym wyrzeć nieodpowiedniego wrażenia.

— Będę naprawdę zły, jeśli zmienisz suknię — odparł. — I nie martw się, że wyrzesh złe wrażenie, dopóki wyglądasz tak jak teraz.

Zeszliśmy na dół. Kiedy pojawiliśmy się w salonie, Alice robiła na drutach. Pamiętam, w jakie mnie to wprawiło zdumienie; wszystkie znane mi panie spędzały wolne godziny na szyciu i nigdy dotąd nie widziałam osoby robiącej na drutach. Na kanapie obok Alice siedziała dziewczynka, niezdarna istota o figurze jak kloc drewna, twarzy pokrytej krostami i

spojrzeniu krótkowidza. Z pewnością Mary, wychowanka Roberta Brandsona, o której Axel mi wspominał. Przeniosłam wzrok z tych dwóch kobiet na trzecią, siedzącą przy kominku na krześle z wysokim oparciem, i już nie odwróciłam od niej wzroku. Nie była może tak piękna ani nawet tak atrakcyjna jak moja matka, ale niewiele widziałam w życiu bardziej przyciągających ludzkie oczy kobiet. Nadzwyczaj przystojna, miała około czterdziestu pięciu lat, czarne włosy, już lekko naznaczone siwizną na skroniach, i te same co Ned podłużne, lekko skośne, szeroko rozstawione oczy. Podniosła się na nogi i ruszyła ku nam przez pokój; każdy jej ruch podkreślał, że jest osobą dominującą nad otoczeniem.

— No, George — zwróciła się do Axela — znalezienie angielskiej narzeczonej zajęło ci dziesięć miesięcy, ale muszę przyznać, że zwlekanie przyniosło jak najlepszy rezultat. Jest naprawdę czarująca. — Przyciągnęła mnie do siebie i ucałowała chłodnymi suchymi wargami w oba policzki. — Witaj w domu, dziecko.

Nie podobało mi się, że nazwała mnie „dzieckiem”, mimo to zdołałam się uśmiechnąć, skłonić i wymamrotać słowa podziękowań.

— Miło cię widzieć, Esther — powiedział Axel do macochy, ale nie uczynił nawet ruchu, by ją ucałować, i w tym samym momencie zdałam sobie sprawę, że nie okazał ani cienia przywiązania nikomu z rodziny. — Wyglądasz dużo lepiej niż ostatnim razem, kiedy cię widziałem.

Proszę cię, George, nie przypominaj mi tych strasznych dni procesu... Mary, podejdź tutaj, nie przykuto cię przecież do kanapy, prawda? No, dobrze... To Mary Moore, moja droga, wychowanka mego męża, która mieszka z nami... ach, Vere, jesteś nareszcie! Gdzie się podziewałeś? George z żoną właśnie do nas dołączyli.

Vere był szczupłym mężczyzną o bladej twarzy. Odziedziczył po matce drobniejszą budowę ciała, ale poza tym w ogóle jej nie przypominał. Miał jasne włosy i rzęsy, delikatną, niemal kobiecą cerę. W jego twarzy najbardziej uderzały głęboko osadzone oczy o intensywnej niebieskiej barwie; zwróciłam na nie szczególnie uwagę, ponieważ nie zmieniły wyrazu nawet, gdy się uśmiechnął.

— Witaj, George — powiedział, a jego wymowa była bez zarzutu, ani śladu wiejskich naleciałości. Głos, podobnie jak oczy był pozbawiony wszelkiej ekspresji. — Już zaczęliśmy myśleć, że nigdy nie wrócisz do Haraldsdyke.

Mogło w tym zabrzmieć rozczarowanie, ale nie zabrzmiało. Zadowanie zresztą też nie. Ten przedziwny głos pozbawiony wszelkiej modulacji sprawił, że poczułam się nieswojo. Zostałam przedstawiona Vere'owi i chociaż odnosił się do mnie bardzo grzecznie, skrepowanie nie minęło.

Rozmawialiśmy uprzejmie około dziesięciu minut w pięknym, bogato oświetlonym salonie, a potem przyszedł główny lokaj, by oznajmić, że podano do stołu. Przeszliśmy przez hol do jadalni, gdzie czekała kolacja. Byłam głodna po długiej podróży, więc ucieszyłam się, że tradycyjną herbatę o szóstej zdecydowano się dziś zastąpić posiłkiem. Zjedliśmy wprawdzie po południu obiad w jednej z gospód rozmieszczonych wzdłuż granicy Sussex, ale wydawało mi się, że było to lata temu.

Świecznik oświetlający jasno jadalnię wydobywał błyski ze sreber na stole; Axel bez wahania zajął miejsce u jego szczytu, ale ja przystanąłam niepewna, gdzie powinnam usiąść, aby nikogo nie obrazić. Zobaczyłam, jak Axel marszczy brwi i ledwie dostrzegalnym gestem wskazuje mi miejsce

naprzeciwko siebie. Pośpiesznie ruszyłam ku krzesłu stojącemu przy drugim końcu stołu. Kiedy na nim zasiadłam, wydało mi się, że wszyscy na coś oczekują, czego zupełnie nie rozumiałam. Zaczęłam się w panice zastanawiać, co niewłaściwego zrobiłam, i wreszcie siedzący po mojej prawej ręce Vere zapytał cicho:

— Nie zamierzasz odmówić modlitwy?

Pozbawiło mnie to głosu.

— Nie sądzę, by kilkakrotne dziękowanie Panu za dary było konieczne — odezwał się Axel. — Moja żona ma zwyczaj odmawiania modlitwy przy obiedzie i tylko wtedy.

— Cóż, całkiem słusznie — stwierdziła Esther, która siedziała po prawej ręce Axela. — Czasy się zmieniają. Dziś, jak słyszę, tylko nonkonformiści modlą się przed każdym posiłkiem.... Mary, moja droga, spróbuj doprawdy zachowywać właściwą postawę przy stole. Jak to wpłynie na twoją figurę, jeśli nabierzesz zwyczaju garbienia się?

Niewiele pomoże tej figurze, skonstatowałam w myślach kostycznie i zaraz zrobiło mi się przykro. Biedna dziewczyna poczerwieniała ze zmieszania i usiadła sztywno jakby kij połknęła. Za tym słodziutkim głosikiem kryje się nieźle kąśliwy jęzor, pomyślałam o Esther.

Zaczelśmy jeść. W trakcie podawania pieczonej wołowiny otworzyły się drzwi i do jadalni wkroczył Ned. Wreszcie zobaczyłam go w pełnym świetle i zaszokował mnie wygląd jego ubrania; było brudne i mocno zniszczone, najwyraźniej też nie zadał sobie trudu, by się umyć przed posiłkiem.

— Przepraszam za spóźnienie — oświadczył — ale zajmowałem się końmi.

Przez chwilę wszyscy tkwili na swoich miejscach nieruchomo. Wreszcie Axel odłożył nóż i rozluźnił mięśnie pleców, odchylając się na oparcie.

— A kto się powinien nimi zająć?

Ned podszedł do krzesła i położył na nim rękę.

— No więc?

— Stajenni.

— Zatem na przyszłość bądź łaskaw zostawić im tę pracę i nie spóźniać się na posiłki.

Ned milczał. Zauważyłam, że koniuszki uszu mu poróżwiały.

— Nie mogę też niestety pozwolić na to, byś zasiadł za stołem rozczochrany i niechlujny, jakbyś był prostym parobkiem. Tym razem zjedz w kuchni, a na przyszłość popraw swoje maniery, bo jeśli jeszcze raz zjawisz się w jadalni w takim stanie, zostaniesz wychłostany. W pokoju panowała martwa cisza.

— Zrozumiałeś? Cisza zaczynała ciążyć.

— Odpowiedzże wreszcie!

— Zrozumiałem, ty cholerny głupi cudzoziemcze! — I już go nie było, drzwi się za nim zatrzasnęły i słyszeliśmy jego ciężkie kroki, gdy przechodził przez hol do kuchni.

Cisza niemal sprawiała ból. Lokaje próbowali udawać nieruchome posągi, niezdolne widzieć i słyszeć. Esther miała przerażoną minę, a oczy Mary zrobiły się prawie tak wielkie, jak stojące przed nami na stole talerze. Vere siedział nieporuszony, z nożem uniesionym w nieruchomej ręce, a Alice przyglądała się pilnie wyimaginowanej plamce na obrusie.

Axel wzruszył ramionami.

— Jedzenie jest znakomite — powiedział, kierując tę uwagę do wszystkich. — Naprawdę szkoda, by wystygło. — I usiadł znów wyprostowany na krześle, by kontynuować posiłek.

— George — odezwała się strapiona Esther. — Naprawdę bardzo bym chciała cię przeprosić...

— Ależ nie — przerwał jej Axel stanowczym tonem — to zupełnie zbyteczne. Przyjmę wyłącznie przeprosiny, które on sam wypowie. Nie ma żadnego powodu, byś się czuła za niego winna.

— Robi się z każdym dniem coraz bardziej nieokrzesany — zauważyła. — W ogóle nie wiem, co z nim począć.

— Tak usilnie próbuje stać się drugim Rodrikiem, że aż przechodzi samego siebie — stwierdził Vere. — Niestety, wychodzi z tego jedynie żalosna parodia.

— Ależ on w niczym nie przypomina Rodrica — wykrzyknęła Esther ze złością. — Ale to w niczym!

— Nie — zawtórowała jej Mary, odzywając się po raz pierwszy tego wieczoru — w ogóle nie jest taki jak Rodric.

— Rodric miał tyle wdzięku, taki był inteligentny, taki... — Esther przerwała i ku mojemu zmieszaniu zwróciła się wprost do mnie: — Na pewno George ci wspominał o tej straszliwej tragedii. — Mówiła bardzo szybko.

— Tak. Axel rzeczywiście mi o tym wspomniał.

— Ależ matko — zwrócił się do niej Vere — nie powinnaś sama siebie tak wyprowadzać z równowagi.

— Nie, to nie to, po prostu gdy tak siedzimy przy stole, wydaje mi się, że duch Rodrica cały czas...

— Daj spokój, Esther — odezwał się Axel nieoczekiwanie. — Dyskusja o duchu Rodrica nie poprawi ci nastroju. Każdemu z nas brakuje ojca i Rodrica, choć tobie oczywiście najbardziej, niemniej jątrzenie bólu tylko wzmacnia poczucie straty, wiesz o tym najlepiej.

— Chciałbym wiedzieć, oczywiście tylko z czystej ciekawości, komu z nas brakuje ojca. — Głos Vere'a brzmiał niesamowicie uprzejmie; wszyscy utkwili w nim wzrok, a on odkroił kawałeczek wołowiny i żuł go ze spokojem.

— Cóż, wszyscy zdajemy sobie sprawę — zaczął Axel równie uprzejmie — że niewiele ciepłych uczuć łączyło ciebie i ojca, a chyba jeszcze mniej ciebie i Rodrica...

— To samo da się powiedzieć i o tobie. Wiemy dokładnie, jakie zdanie miałeś o Rodricu. Z twojego milczenia w trakcie śledztwa jasno dało się wywnioskować, że uważasz go za mordercę.

— Czy dajesz do zrozumienia, że według ciebie nie był?

— No nie — stwierdził Vere szeroko otwierając niebieskie oczy. — Bo jeśli nie on, to kto?

Rozległ się cichy brzęk rozbijanego kieliszka. Alice zerwała się zza stołu zmieszana, sukienkę miała poplamioną winem.

— Boże drogi, spójrzcie, co zrobiłam.

Nastąpił całkowity zwrot w rozmowie. Jeden lokaj rzucił się ku niej z zupełnie bezużyteczną białą serwetką, drugi zamamrotał „ts-sy-sy”, dając wyraz zmartwieniu, Esther wykrzyknęła:

— Och, Alice, twoja nowa suknia!

— Jestem taka nieuważna... niezgrabna... proszę was, wybaczcie.

Mężczyźni wstali, gdy wychodziła, by spróbować usunąć plamy.

— Jaka szkoda — powiedziała Esther z roztargnieniem. — Wina nigdy nie uda się całkiem wywabić. No, moja droga — nieoczekiwanie zwróciła się do mnie — opowiedz nam coś o sobie. George napisał tak niewiele w swoim liście.

Odpowiadałam na jej pytania spokojnym, naturalnie brzmiącym głosem, chociaż trochę trudno przychodziło mi się na nich skoncentrować, ponieważ umysł miałam zaprzątnięty emocjami, które ujawnili uczestnicy kolacji. Byłam szczerze zadowolona, gdy posiłek dobiegł końca i mogłyśmy przejść do salonu, podczas gdy mężczyźni zostali jeszcze w jadalni, by wypić porto. Esther przeprosiła nas i poszła zobaczyć, czy Alice udało się usunąć plamy z sukni, tak więc zostałyśmy z Mary same.

Nagle okazało się, że właściwie nie mamy o czym rozmawiać. Przepaść między nami wydawała się niezmierną, chociaż Mary była tylko o trzy lata młodsza. Po pięciu minutach rwącej się konwersacji przyszedł mi do głowy temat, którego się natychmiast uchwyciłam.

— Jeśli to cię zbytnio nie rozdrażni — zaczęłam ostrożnie — czy mogłabyś mi opowiedzieć nieco o Rodricu? — Zabrzmiało to trochę obcesowo, więc dodałam kłamiąc: — Axel twierdzi, że miał niezwykłą osobowość.

Nie przewidywałam nawet, że moje słowa wywrą taki efekt: znikła gdzieś nerwowość, z twarzy Mary biło ożywienie.

— Och tak, George słusznie ci mówił. Miał naprawdę niezwykłą osobowość.

Myślałam, że się odpręzę, skoro wreszcie znalazłam temat, na który jesteśmy obie w stanie porozmawiać, tymczasem w jej sposobie mówienia

było coś tak nieoczekiwanego, że nerwy napięły mi się do granic możliwości. Chciałam poznać prawdę.

— Pan Brandson, mój opiekun, pragnął najszczerzej, żebym... żeby Rodric i ja... — zaczerwieniła się i zawahała lekko. — Oczywiście, byłam zbyt młoda, by to formalnie ogłosić, ale ustalił, że Rodric i ja... — zawiesiła głos.

— Czy to znaczy, że pan Brandson życzył sobie waszych zaręczyn, gdy osiągniesz stosowny wiek? — zapytałam wpatrując się w nią.

— No tak... tak, życzył sobie, miał nadzieję... — Jej ręce nerwowo mięły suknię. — Jestem sierotą, jak z pewnością wiesz, ale mój ojciec miał majątek w Hampshire, był baronetem, zostawił mi pokaźny posag... To mogło być bardzo stosowne małżeństwo. — Jasne oczy zamgłiły się lekko. Odwróciła gwałtownie głowę, jakby chciała skryć przede mną, co czuje.

— Ach tak — powiedziałam, starając się nie okazać zdumienia.

— Rodric był taki szlachetny — mówiła — wspaniały, prawy, wart tak wiele. Uwielbiałam swojego opiekuna, ale czasami nie mogłam powstrzymać myśli, że nie traktuje Rodrica, jak na to zasługiwał.

— Mówiono mi, że nieczęsto się ze sobą zgadzali.

— Mój opiekun był zaślepiony, uprzedzony co do syna, a on przecież jest... Rodric był niezwykle utalentowany.

— Utalentowany?

— Pisał. Czuł się najszcześniejszy, kiedy trzymał pióro w palcach, a na stole przed nim leżały arkusze papieru i stał kałamarz z atramentem. Głównie pisywał artykuły i traktaty polityczne... Polityka bardzo go obchodziła, do tego stopnia, że gotów był jechać aż do Dover, by przemówić. — Spostrzegłszy, że patrzę na nią nie rozumiejącymi oczyma,

wyjaśniła: — Był zwolennikiem wigów, co napełniało mojego opiekuna straszliwym rozczarowaniem, ponieważ spodziewał się, iż Rodric poprze torysów i będzie reprezentował tę partię w Parlamencie. Nie rozumiał własnego syna: Rodric nigdy by nie wyraził poparcia dla programu, w który nie wierzył.

— Czy napisał jakąś powieść? — spytałam, ponieważ interesował mnie raczej ewentualny talent literacki Rodrica niż jego szlachetna dusza.

— Jedną... Czytałam jej fragmenty i wiem, że była wspaniała.

— Czego dotyczyła? I gdzie się znajduje manuskrypt? Czy mogłabym go zobaczyć?

Twarz jej się zmieniła.

— Nie — odparła stanowczo. — Vere spalił wszystkie rękopisy, kiedy Rodric... po jego śmierci.

Zamilkłyśmy na chwilę i w tym właśnie momencie weszła Esther. Przypomniawszy sobie, jak ją rozdrażniła wzmianka o Rodricu w czasie kolacji, uznałam kontynuowanie rozmowy za niemożliwe. Mary doszła najwidoczniej do tego samego wniosku, ponieważ podniosła się, by przynieść koszyczek z szyciem.

— Alice zdołała prawie całkowicie wywabić plamy z sukni — oznajmiła Esther sadowiąc się przy kominku. — Zna tyle sposobów tych wiejskich babek! Zaczynam wierzyć, że ma sposób na wszystko, począwszy od mikstury na katar, skończywszy na truciźnie z muchomora na myszy, które zagnieździły się w piwnicy. Tak, te wiejskie dziewczyny wiedzą zadziwiająco wiele w takich sprawach. — Ponownie uderzyła mnie słodycz jej głosu, zupełnie nie osłabiająca dotkliwej złośliwości zawartej w słowach.

— Teraz poszła do pokoju dzieciennego — mówiła, skierowawszy na mnie podłużne oczy. — Jest naprawdę wspaniałą matką.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, choć nie bardzo rozumiałam, czemu jej spojrzenie nagle stało się tak uważne.

— Mary, kochanie — powiedziała — pójdz do dużego salonu i przynieś mi szal, proszę. Trochę mi chłodno.

Dziewczynka natychmiast posłusznie wyszła.

— Zastanawiam się, moja droga, jak długo jesteście z George'em po ślubie? — zapytała Esther po pewnej chwili.

— Dopiero tydzień.

— Ach tak. — Wzięła egzemplarz *Spectatora* i zaczęła go od niechcienia kartkować. — A od jak dawna go znasz?

— Mniej więcej od miesiąca.

— Ach tak. — Wciąż odwracała strony pisma. — Czyli nie znasz go za dobrze.

— Wydaje mi się, że wystarczająco.

Nie zamierzałam nadać moim słowom żadnego ukrytego znaczenia, ale tak właśnie musiała to odczytać. Rzuciła mi ostre spojrzenie, piękne usta wykrzywił uśmieszek, w oryginalnie wykrojonych oczach zabłysło rozbawienie.

— Ależ oczywiście — stwierdziła — nie mam powodów w to wątpić. Jeśli George miał coś wspólnego z Rodrikiem, to z pewnością talent, by się dać w pełni poznać każdej dziewczynie, która ich zainteresowała. I to w jak najkrótszym czasie.

Gdyby mnie nie rozzłościła, gdybym nie była tak rozdrażniona jej podstępными uwagami, może zwróciłabym uwagę na dość dziwny fakt: w

tym domu bez ustanku padało imię Rodrica. Ale tym razem jeszcze umknęło to mojej uwagi. Siedziałam naprzeciwko zachowującej doskonały spokój kobiety, wprawionej w prowadzeniu zawilej, charakterystycznej dla salonów konwersacji, świadoma, że jestem trzydzieści lat od niej młodsza, i nie miałam zamiaru ustąpić. Ani jej dojrzałość, ani doświadczenie nie równoważyły mojej furii.

— Wszyscy młodzi mężczyźni powinni się wyszumieć — oświadczyłam chłodno, powtarzając zasłyszany od ojca frazes. — Uznałabym Axela za bardzo dziwnego mężczyznę, gdyby z nim było inaczej. Nie muszę też, jak sędzę, dodawać, że zawsze okazuje mi najwyższy szacunek.

— Ależ oczywiście — odparła Esther. — Bez wątplenia — uśmiechnęła się. — Z pewnością chciałby się wreszcie ustatkować, zostać przykładnym mężem. A także ojcem.

Nic na to nie odpowiedziałam.

— Bo przecież pragnie dzieci, prawda?

Nie miałam naturalnie najmniejszego zamiaru informować jej, że nigdy dotąd o tym nie rozmawialiśmy.

— Tak — stwierdziłam. — Zwłaszcza od czasu, gdy odziedziczył Haraldsdyke.

Drzwi się otworzyły. Spojrzałam w tamtym kierunku, spodziewając się ujrzeć Mary, ale w przejściu stała Alice. Zmieniła suknię; jej krój nie był stosowny dla stanu, w jakim się znajdowała, i bardzo podkreślał ciężę. Poczułam nieoczekiwane, zupełnie niewytłumaczalne pragnienie, by uciec z tego pokoju, daleko od obu kobiet.

— Muszę prosić o wybaczenie — zwróciłam się do Esther — ale z powodu długiej podróży czuję się zmęczona bardziej niż zwykle. Lepiej chyba będzie, jeśli udam się na spoczynek.

Obie dały wyraz niezwyklej troskliwości. Ależ oczywiście, że powinnam odpocząć, by w pełni odzyskać siły. Czy mogłyby cokolwiek dla mnie zrobić? Czy życzę sobie, by przysłały mi coś na górę? Czy trafię sama do naszych pokoi?

— Tak bardzo chcielibyśmy, abyś czuła się jak u siebie w domu — zapewniła Alice. — Wiedz, że jesteś tu mile widziana.

Podziękowałam, zapewniając, że niczego więcej mi nie trzeba, i wyrwałam się od nich wśród grzeczności, biorąc świecę, by oświetlić sobie drogę po długich korytarzach.

Dotarłam do drzwi naszego apartamentu bez trudu, ale zatrzymałam się w nich, ponieważ usłyszałam podniesione głosy kłócących się osób. Ciemność przede mną przecinała smuga światła i pomyślałam, że drzwi saloniku lub buduaru muszą być uchylone.

— Za dużo myślisz o Rodricu. — Głos Axela brzmiał szorstko i zimno. — Najwyższy czas, byś przestał idealizować jego pamięć. Masz dziewiętnaście lat, a zachowujesz się jak uczeń otumaniony przez szkolnego prowodyra. Rodric nie był kimś świętym, jak to sobie wyobrażasz, ani tym bardziej błędnym rycerzem w błyszczącej zbroi walczącym o prawdę. Był człowiekiem skłóconym z życiem, nie umiejącym albo nie chcącym się przystosować.

— Zawsze mu zazdrościłeś. — Ned mówił niskim drżącym głosem. — Zwodziłeś go, że jesteś przyjacielem, a tak naprawdę nigdy go nie lubiłeś. Dopóki nie wyjechałeś do Wiednia, byłeś ulubieńcem ojca. Kiedy stamtąd

wróciłeś, zorientowałeś się, że Rodric zajął twoje miejsce. Nie cierpiełeś go od chwili, gdy zobaczyłeś, że ojcu bardziej zależy na nim niż na tobie.

— Cóż za dziecinne nonsensy!

— Znienawidziłeś ojca za to, że cię odrzucił, bo wybrałeś życie w Wiedniu. Postanowiłeś mu odpłacić... za wszelką cenę... i Rodricowi też odpłacić...

— Chyba domagasz się następnych razów. Uważaj, Ned. Pamiętaj o bacie w mojej ręce.

— Nie uda ci się mnie zastraszyć! Możesz mnie bić, sztydzić, posłać do armii, ja i tak splunę ci prosto w twarz, ty... przeklęty morderco!

Usłyszałam świst pejcza uderzającego o ciało i przeszywający krzyk bólu.

— Wiedziałaś, że ojciec zmienił testament na twoją korzyść, zamordowałaś go posłużywszy się bronią Rodrica, a jego wepchnąłeś w bagno, żeby nie mógł oczyścić się z zarzutów!

Pejcz uderzył ponownie. Stałam sparaliżowana, niezdolna się poruszyć.

— Ty kłamco — zasyczał Axel przez zęby. — Ty... — i padły słowa, które podsłuchałam kiedyś u ojca, wyrazy nie używane wśród cywilizowanych ludzi.

Ned mówił dalej, pół płacząc, pół śmiejąc się, a ja stałam złodowaciała.

— Zaprzeczaj sobie, ile chcesz! Klnij, ile dusza zapagnie! Ale kto odziedziczył Haraldsdyke? Całą posiadłość i wszystkie pieniądze? Kto miał wszelkie powody, by pragnąć śmierci ojca?

— Wynocha! Wynocha, słyszysz?! Won z mojego...

— Nie Rodric, George'u Brandson! I nie Rodric go zabił! Nie Rodric jest mordercą!

Doszły mnie odgłosy szamotaniny, pięści uderzyły o ciało, usłyszałam zamierające westchnienie i nieprzyjemny głuchy odgłos, jakby coś ciężkiego osunęło się na podłogę.

Zapadła cisza.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zaczęłam się skradać i zgasiwszy świecę, wsunęłam się pośpiesznie za zasłonę skrywającą okno przy końcu korytarza.

Cisza trwała, jak mi się zdawało, bez końca.

Wreszcie, po czasie długim jak wieczność, zobaczyłam przez szczelinę w zasłonie Axela. Szedł bardzo wolno w kierunku szczytu schodów, głowę miał pochyloną, barki przygarbione.

Natychmiast weszłam do pokoju. Ned leżał rozciągnięty na dywanie, półprzytomny, krew sączyła się z rany nad skronią, plamiąc czarne włosy. Jęknął i poruszył się lekko, kiedy ukląkszy przy nim, zbadałam jego puls. Nalałam do szklanki wody z dzbana stojącego w sypialni i usiłowałam go napoić.

Otworzył oczy, ale wyglądał niedobrze i pomyślałam, że zaraz zwymiotuje. Pośpieszyłam z powrotem do sypialni i schwyciłam nocnik, jedyne stosowne naczynie, jakie mi przyszło na myśl. Przyniosłam go w samą porę.

Zaczął drżeć. Twarz miał kredowobiałą, prawdopodobnie z powodu nerwowej reakcji na to, co się wydarzyło, a kiedy poiłam go wodą, wyglądał jak ktoś bardzo młody, przerażony i bezbronny, całkowicie samotny. Zupełnie nie przypominał ogarniętego wściekłością, prowokującego,

miotającego oskarżenia człowieka, którego przed chwilą podsłuchałam; byłam pewna, że kierowała nim czysta brawura.

Nagle przyszedł mi na myśl Alexander. Serce przystanęło mi z bólu.

— Potknąłem się — powiedział. — Chciałem uderzyć George'a i potknąłem się. Upadłem i zraniłem się w głowę. — Ledwie to wyszeptał; oczy mu pociemniały od upokorzenia. — Co ty tu robisz? Zostaw mnie samego. — Odprowadzany moim współczującym spojrzeniem odsunął się, podniósł i poszedł chwiejnie w kierunku kanapy, na której leżał jego płaszcz. Ubrał się drżącymi rękami.

— Dlaczego pozwoliłeś, by Axel cię zbił? — zapytałam wreszcie. — Trzeba było walczyć albo uciec.

— Ależ walczyłem — odparł z grymasem. — Upadłem i rozciąłem sobie głowę. — Usiadł ciężko.

Pomyślałam, że zrobiło mu się słabo po tym wszystkim, co przeszedł, podeszłam więc i objęłam ramionami jego barki, chcąc go pocieszyć, zupełnie tak, jakby był Alexandrem. Niemal ode mnie odskoczył.

— Nie rób tego — wymamrotał.

— Chciałam ci tylko pomóc.

— Zaraz dojdę do siebie. Zostaw mnie. — Spojrzał na mnie szybko. — George będzie wściekły — zaszepotał. — Wściekły na ciebie. Lepiej, żeby cię tu ze mną nie zobaczył.

Oczy błyszczały mu od łez. Widziałam, jak straszliwie boi się Axela, jak jest przerażony na samą myśl o tym, co się zdarzyło. Patrzyłam na niego w chwili trwogi, która go dopadła, gdy oboje usłyszeliśmy odległe głosy i kroki zbliżających się korytarzem ludzi.

— Proszę cię, odejdz — powiedział. — Proszę.

— Ależ nie — odparłam. — To moje pokoje i mam pełne prawo w nich przebywać. Nie boję się. — A jednak odsunęłam się od niego i odstąpiłam parę kroków na przedziwnie słabych nogach.

Drzwi się otworzyły i wszedł Vere, a za nim Axel. Stanęli jak wryci, kiedy mnie zobaczyli.

Nie zamierzałam ustąpić. Zaszło mi w ustach, ale podniosłam wysoko głowę i patrzyłam Axelowi prosto w oczy.

— Przed chwilą przyszedłam z salonu — oznajmiłam. — Czy życzysz sobie, żebym tam wróciła i pozostała, dopóki nie dokończysz dyskusji z Nedom?

— Nie, to nie jest konieczne — stwierdził Axel po sekundzie ciszy. — Równie dobrze Vere może odprowadzić Neda do jego pokoju.

Ned zaczął znowu drżeć i przez moment obawiałam się, że zemdleje, szybko jednak przyszedł z powrotem do siebie. Vere zbliżył się do niego.

— Nie masz nic do powiedzenia George'owi?

Zapadła przerażająca cisza. W bladej twarzy oczy Neda przypominały dwa smoliste kawałeczki węgla.

— Poinformowałem Vere'a, że wyjeżdżasz o świcie — powiedział Axel bez cienia emocji. — Dostaniesz ode mnie pięćdziesiąt gwinei i zaczniesz sam sobie radzić w świecie. Po tym wszystkim, co powiedziałaś, nie zechcesz, jak sądzę, pozostać ani minuty dłużej pod moim dachem.

Twarz Neda nieoczekiwanie zrosiły łzy, ogromne łzy cichej rozpacz, a potem z jego gardła wydobył się gwałtowny szloch. Opadł na kanapę, obejmując głowę dłońmi. Płakał tak, że serce mogło pęknąć.

Nie mogłam tego ścierpieć. Widziałam Alexandra, choć Ned zupełnie nie przypominał go fizycznie, podbiegłam do niego i przytuliłam, błagając, by przestał płakać.

Axel wykrzyknął moje imię.

Zerwałam się na nogi i natychmiast do niego podeszłam.

— Nie odsyłaj go, proszę, nie odsyłaj go. Na pewno nie myślał tego, co ci powiedział. Jest zbyt zdenerwowany i nieszczęśliwy, by przypisywać jego słowom znaczenie.

— Przejdź do innego pokoju — oświadczył na to. — Nie ma potrzeby, byś się angażowała w tę sprawę.

— Proszę cię — powtórzyłam, czując, jak łzy mi napływają do oczu. — Mój brat często wygadywał głupstwa, kiedy wpadał w złość, a potem tego gorzko żałował. Mój brat...

— Twój brat przebywa w Harrow, droga żono, a Ned jest dla ciebie obcym człowiekiem i zupełnie go nie znasz. Czy byłabyś jednak tak uprzejma i zostawiła nas samych?

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, z drugiego końca pokoju odezwał się Ned.

— Dokładnie tak, jak ona mówi: w rzeczywistości wcale tak nie myślę, George. — Głos mu drżał trochę, policzki błyszczały od łez, ale stał pewnie na nogach. — To były kłamstwa... niegodziwe kłamstwa... Tęsknota za Rodrikiem nagle stała się nie do zniesienia, smutek zaćmił mi umysł i powiedziałem te wszystkie okropne rzeczy, dobrze wiedząc, że to nieprawda... Proszę, wybacz i nie odsyłaj mnie z domu. Powiedz, w jaki sposób mógłbym cię przeprosić i zadośćuczynić za to, co naopowiadałem; klnę się przed Bogiem, że żałuję jak najszczerzej wszelkich swoich czynów,

którymi obraziłem cię dzisiejszego wieczoru, i chciałbym tylko, by mi pozwolono się poprawić.

Znów zapadła cisza.

— Proszę, Axel, proszę, nie odsyłaj go...

— Moja droga — głos Axela brzmiał lodowato — po raz drugi proszę, byś wyszła do innego pokoju. Ufam, że nie będę zmuszony prosić po raz trzeci.

Dygnęłam bez słowa i poszłam do sypialni. Zamknęłam drzwi i natychmiast przycisnęłam do nich ucho. Ale były zbyt grube; słyszałam wprawdzie głosy, nie mogłam jednak zrozumieć, co mówiono. W końcu usiadłam przy toalecie i zaczęłam ze zdenerwowania bawić się bezmyślnie srebrnymi szczotkami i grzebieniami; umysł miałam odrętwiały, myśli zmacone i nie byłam w stanie rozumować jasno. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem zmęczona. Marie-Claire przygotowała mi koszulę nocną, rozebrałam się więc pośpiesznie i usiadłam przed lustrem, by wyszczotkować włosy. Szmer głosów w drugim pokoju ucichł, zamknięto drzwi i w sypialni pojawił się Axel.

Nagle poczułam strach. Nie odważyłam się na niego spojrzeć. Ku mojej uldze bez słowa przeszedł do przebieralni. Wśliznęłam się między prześcieradła wielkiego podwójnego łóża.

Zbyt poruszona, by zasnąć, ręce i nogi miałam napięte aż do bólu.

Wrócił wreszcie do pokoju i położył się do łóżka obok mnie. Czekałam na reprimendę za moje zachowanie, zwłaszcza za to, że usiłowałam ukoić Neda; spodziewałam się też jakiegoś wyjaśnienia sytuacji, choćby komentarza na temat tego, co zaszło. Ale on milczał.

Czekałam zeszywniała, ledwie wążąc się oddychać, a Axel wciąż milczał, leżąc bez ruchu, więc i ja nie ośmieliłam się poruszyć. Poczucie samotności przeważało w końcu nad strachem i ogłupiającym zmieszaniem. Wyszeptałam jego imię.

Odwrócił gwałtownie głowę.

— Myślałem, że śpisz! O co chodzi?

— Och Axelu, nie zamierzałam cię zdenerwować, naprawdę nie zamierzałam, przysięgam... — Ze zmęczenia znowu zachciało mi się płakać, głos mi się załamał i musiałam zamilknąć.

— Drogie dziecko — powiedział zdumiony — kto mówi, że jestem na ciebie zły? Mój gniew był zwrócony przeciwko komu innemu, a umysł zajęty rzeczami nie dotyczącymi ciebie. — Przyciągnął mnie gwałtownie do siebie, ale nie było to szorstkie, i pocałował w czoło. — Z pewnością przeżyłaś trudny wieczór i muszę nalegać, żebyś w przyszłości nie zamartwiała się moimi problemami. Wyłącznie ja jestem odpowiedzialny za Neda i nie istnieje absolutnie żaden powód, byś tę odpowiedzialność ze mną dzieliła.

— Czy go... czy zostanie odesłany?

— Na razie nie. Przeprosił za swoje kłamstwa i obraźliwe zachowanie i obiecał poprawę. W rzeczywistości jest po prostu przerośniętym uczniakiem, którego rodzina zupełnie nie wdroyła do posłuszeństwa. Przestań się wreszcie dręczyć, spróbuj usnąć, a zobaczysz, że rankiem wszystko wyda ci się lepsze.

Kiedy w końcu zasnęłam, dopadły mnie koszmary: Rodric pogrązał się w bagnie, a Vere klaskał w dłonie z radości; Alice szeptała: „Musimy przygotować truciznę z muchomora na myszy w piwnicy”; Axel stał

uśmiechnięty w holu w Haraldsdyke, a Esther wręczała mu umazaną krwią broń; Mary wyznawała mi: „Och, wiesz, z Rodrica był taki czarujący morderca!” „Morderca, morderca” — odbijało się echem po całym holu, a potem Ned ścigał mnie, aż znalazłam śmierć na moczarach, wykrzykując głosem Alexandra: „Axel morderca, Axel morderca, morderca...”

Obudziłam się, chwytając powietrze, z czołem skapanym potem. Byłam sama. Słońce przeświecało kojąco przez zasłony, w uszach dźwięczał mi śmiech Axela żartującego z kamerdynerem w ubieralni.



Rozdział 3

Wyjrzałam przez okno. Przede mną rozciągała się w świetle dnia soczyście zielona równina ograniczona na południu niebieską linią morza; Rye i Winchelsea, jak dwa bliźniaki, wygrzewały się nie opodal w nikłych promieniach jesiennego słońca. Z pejzażu emanował niezwykle spokoj i odwróciłam się od okna dziwnie pokrzepiona na duchu. Nie czułam się jednak zbyt dobrze, więc zadzwoniwszy na Marie–Claire, wsunęłam się z powrotem do łóżka.

— Każ, żeby mi przysłano na górę tacę — poleciłam po francusku. — Czarna kawa i cienki, lekko przypieczony tost.

Wyszła do kuchni, a ja opadłam na poduszkę, mając nadzieję, że po południu zdołam zejść na dół.

— No i jak się dzisiaj czujesz? — zapytał Axel wchodząc do sypialni. Podszedł do łóżka i ucałował moje wargi. Wyraz jego twarzy jasno mi mówił, że bardzo mu się podobam tego ranka i choć jeszcze niedawno byłabym z tego ogromnie zadowolona, dzisiaj poczułam nagle, że nie pragnę, by się do mnie zbliżył.

— Jestem troszeczkę osłabiona — odpowiedziałam szczerze. — Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś przeprosić w moim imieniu resztę rodziny i powiedzieć, że zejdę na dół po południu?

— Jesteś panią tego domu — odparł. — Nie musisz się przed nikim oprócz mnie tłumaczyć. A ja jestem oczywiście zmartwiony, słysząc o twojej niedyspozycji. Może pošlę kogoś do Winchelsea i poproszę doktora Saltera, aby przyjechał cię zbadać?

— Nie, nie... to nic poważnego. Powinnam dojść do siebie po dwóch, trzech godzinach. Czuję się dziwnie zmęczona i chciałabym trochę dłużej poleżeć w łóżku.

— Dobrze. — Pocałował mnie jeszcze raz i wstał. — Mam pewną sprawę do załatwienia — oświadczył nieoczekiwanie. — Vere i ja jedziemy konno do Winchelsea. Mamy się spotkać z Jamesem Shermanem, adwokatem ojca, i być może nie wrócimy szybko.

— Ach tak. Czy zjecie obiad w Rye?

— Bardzo możliwe. Zależy, ile czasu tam spędzimy... Zaraz powiem Alice, że jesteś niedysponowana, i poproszę, by jeszcze dzisiaj sama zajęła się domem.

— Och, dobrze... tak, dziękuję ci. — Zupełnie zapomniałam, że oczekuje się ode mnie prowadzenia domu, i kiedy Axel wyszedł, zaczęłam rozmyślać, jakie trudności napotkam spełniając obowiązki, których praktycznie nigdy nie wykonywałam. Przyszło mi do głowy, że Alice może mieć dosyć zajmowania się przyziemnymi drobiazgami nieodłącznymi dla gospodarstwa domowego, i wraz z tą myślą pojawiła się też sama Alice.

— George powiedział mi, że nie czujesz się dobrze — zaczęła zaniepokojona. — Jest nam wszystkim niezwykle przykro. Gdybym mogła coś dla ciebie zrobić...? — zawiesiła głos.

Zapewniłam ją, tak jak przed chwilą Axela, że to chwilowa niedyspozycja, wciąż jednak sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

— Jeśli czujesz się naprawdę źle, mogę ci przygotować mieszankę ziół, którą sama zawsze stosuję we wczesnych miesiącach — zaproponowała.

— Ależ nie, nie... — Dopiero teraz uświadomiłam sobie, na czym polega nieporozumienie. — Nie chodzi o... — urwałam, lekko zmieszana.

— Jesteś pewna? Oczywiście, ledwie wyszłaś za mąż, niemniej zdarza się... No, ale jeśli jesteś absolutnie pewna, że nie ma mowy...

— Absolutnie — powiedziałam stanowczo i wreszcie się zorientowała, dlatego postanowiłam trochę dłużej poleżeć.

Marie-Claire weszła do sypialni z kawą i przypieczonym tostem, miałam więc cichą nadzieję, że Alice wyjdzie, ona jednak rozsiadła się na krześle stojącym przy łóżku i zaczęła omawiać menu, jakie zaplanowała na dzisiejszy wieczór. Najwyraźniej uznała, że rozmowa z nią mnie pocieszy.

— Zostałam uprzedzona, że Axel i Vere mogą nie zdążyć na obiad.

— Och, ale będziemy my obie, matka Vere'a, Mary, Ned... Chyba że Ned też nie wróci. Osiodłał konia wczesnym rankiem i pogalopował gdzieś na mokradła.

Nic nie powiedziałam.

— Vere mi mówił, że doszło do jakiejś nieszczęsnej awantury między Nedem a George'em wczoraj wieczór.

— Sądzę, że wszystko już zostało uładzone.

— Biedny Ned, tak bardzo brak mu Rodrica. — Zebrała spódnice sukni i uniosła się z krzesła. — Cóż, powinnam chyba zajrzeć do dzieci, a i ty potrzebujesz wypoczynku...

— Ależ proszę, zostań jeszcze chwilę — zaproponowałam nieoczekiwanie dla siebie samej — oczywiście, jeśli możesz mi poświęcić trochę czasu... Chciałabym bardzo dowiedzieć się czegoś więcej o Rodricu. Wydaje się, że wszyscy go uwielbiali.

Zawahała się, ale jednak usiadła z powrotem i starannie ułożyła fałdy spódnicy.

— Tak, uwielbiali go wszyscy. Rodzice zdecydowanie woleli go od Vere'a. Matka kochała Rodrica do szaleństwa i nie można było w jej obecności powiedzieć na niego ani złego słowa.

— Nawet jeśli wpadał w tarapaty? — spytałam, pamiętna tego, jak Axel podkreślał dzikość charakteru Rodrica i napomknął o konfliktach ze strażnikami w Rye.

— Wiesz o tym? — Zielone oczy zaokrągliły się.

— Axel mi coś wspominał.

— Aha... — znowu się zawahała, ale w końcu zaczęła mówić: — Nie było takiej rzeczy, na którą Rodric by się nie poważył. Był zuchwały. Nie istniała dla niego żadna świętość, nic, przed czym by się powstrzymał. Zadawał się z rozbójnikami, po prostu dla zabawy, dopóki plotki o tym nie doszły do uszu lorda Wardena z Cinque Ports. Niczego mu jednak nie udowodniono. Miał w zwyczaju jeździć po nocach z przemytnikami Delanceya, słynnego francuskiego szmuglera, by pomagać im przechytrzyć celników.

— I tak powszechnie o tym wiedziano? — spytałam zdumiona.

— To... to ustalono podczas śledztwa... Rodric zawsze ogromnie lekceważył mojego męża, ponieważ Vere'owi obce były dziecinne wybryki. Rozbójnicy i szmuglerzy, też coś! Zabawianie się w nie wiadomo kogo! To raczej Vere'a można by nazwać mężczyzną niż jego! Od początku tak uważałam, nawet wtedy, gdy jeszcze byli podrostkami.

— Już wtedy ich znałaś?

— No tak. Mieszkałam we wsi Haraldsford, o milę stąd. Moja matka jest wioskową czarownicą — oznajmiła tak naturalnie, jakbym ją powiedziała: „Moja matka była Francuzką”. — Rodric i jego wielce wielmożni nieokrzesani przyjaciele przyjechali do nas konno pewnego ranka i przeciągnęli przez staw moją matkę, przywiązawszy ją przedtem do stołka dla pławienia czarownic. Uważali to za znakomity żart. Matka rzuciła na niego wtedy klątwę, że w ciągu dziesięciu lat spotka go śmierć w wodzie — mówiła spokojnym głosem, jak na stateczną, zrównoważoną kobietę przystało. — Zginął na moczarach dziewięć i pół roku potem, czym zupełnie nie byłam zdumiona. — Bezwiednie wygładziła kołdrę na łóżku. — Vere całkowicie się od niego różnił. Zawsze poważny, gotów w pełni wywiązać się ze wszystkiego, czego się podjął. Kiedy miał szesnaście lat, przyszedł do mojej matki i zapytał, czy zna zaklęcie, które by sprawiło, że dziewczyny zakochiwałyby się w nim, a nie w Rodricu. — Uśmiechnęła się, na jej szerokiej twarzy zobaczyłam rozbawienie. — „Mam tu taką dziewczynę, co nie dba o Rodrica”, oświadczyła moja matka i zaprowadziła go prosto do mnie. Od początku byliśmy niezwykle szczęśliwi.

— Ile miałaś lat?

— Trzyście, dwa lata za młoda, żeby wziąć ślub. Ojciec o mało nie zabił Vere'a na wieść o małżeństwie. Nie odezwał się do niego słowem przez dwa miesiące, nie chciał go widzieć na oczy w Haraldsdyke i Vere musiał pracować jako najemnik na farmie w sąsiedztwie. Byłam brzemienna, a zima sroga, więc Vere napisał do ojca, pytając, czy chce, by jego pierwszy wnuk umarł z zimna i głodu. W ten sposób znaleźliśmy się z powrotem w Haraldsdyke, ale dziecko i tak umarło. — Z jej twarzy zniknął wszelki ślad wesołości. — Małeńkie biedactwo, żyło ledwie parę godzin.

Wymamrotałam, jak bardzo jej współczuję.

— Ciężko się żyło Vere'owi w Haraldsdyke — podjęła po chwili. — Cokolwiek zrobił, było źle. Ojciec wrzeszczał i grzmiał na Rodrica, ale to jego kochał najbardziej. Nigdy nie zadał sobie trudu, żeby chociaż wysłuchać Vere'a.

— Jakie to dziwne, że ten czarujący Rodric, który tak wszystkich zachwycał, nigdy się nie ożenił.

— Tak, był niezwykle przystojny — stwierdziła beznamiętnie. — Wysoki i silny, prosty jak świeca, bez śladu brzucha, włosy miał czarne jak skrzydło kruka, a cerę jasną i oczy równie niebieskie jak Vere. Śmiech przychodził mu łatwo i zarażał nim wszystkich dokoła.

Po tym opisie niemal doszłam do wniosku, że musiała go lubić bardziej, niż mi się dotąd wydawało, gdy nagle dostrzegłam błysk szczerej nienawiści w jej oczach. Serce zatrzepotało mi niespokojnie, a ona dodała, odwróciwszy oczy:

— A jednak nigdy się nie ożenił, to prawda. Za bardzo zajmowało go uwodzenie cudzych żon. — Utkwiłam w niej wzrok; roześmiała się i wzruszyła ramionami, jakby chciała zbagatelizować to wszystko, co mi dotąd powiedziała. — No po prostu taki był. Kobieta, którą mógłby mieć łatwo, to niezbyt zabawne. Stale chciał coś zdobywać, pociągała go gra... gotowy popełniać wciąż nowe wybryki, byle się rozerwać. Po prostu taki był. — Zamilkła na moment. — Na przykład tego dnia, gdy zginął... — Jej oczy przybrały nieobecny wyraz i zrozumiałam, że wróciła myślą do wydarzeń sprzed miesiąca. — Wigilia Bożego Narodzenia. George pojawił się trzy dni przedtem, aby spędzić z nami święta, co niezwykle ucieszyło ojca, ponieważ znowu pokłócił się z Vere'em o sposób prowadzenia

majątku, a jednocześnie odkrył, że Rodric uwikłał się po raz kolejny w jakieś dziwne sprawy. Myślę, że właśnie wtedy stary pan Brandson zwrócił się z powrotem ku George'owi... Siedziałam w małym saloniku i układałam menu na dzień Bożego Narodzenia i na drugi dzień świąt. Kiedy wszedł Rodric, od razu się zorientowałam, jakiej szuka rozrywki... jedynej rozrywki, która mogła według niego złagodzić nudę, ale nie wyszłam, bo czekałam na Vere'a i wiedziałam, że nie zostanę ze swoim szwagrem długo sama. Vere rzeczywiście przyszedł za parę minut i zastał mnie walczącą z Rodrikiem i wołającą o pomoc... Nigdy w moim życiu nie widziałam męża tak rozzłoszczonego. Pewnie by próbował zabić brata, na szczęście George był tam również i go powstrzymał. A potem zabrał Rodrica na polowanie na bagnach i trzymał go poza domem aż do późnych godzin popołudnia. Vere też wyszedł, ponieważ miał jeszcze sprawy do załatwienia w majątku, i wrócił sporo czasu po nich... Co za straszny dzień!

Nigdy nie zapomnę, jak musiałam powiedzieć Vere'owi, kiedy wrócił do domu, że ojciec nie żyje...

— Jak się domyślam, Rodrica już wtedy nie było?

— Tak. Ani jego, ani George'a, który pojechał, by go sprowadzić z powrotem. Rodric opuścił dom natychmiast po awanturze z ojcem... natychmiast po śmierci pana Brandsona, jak to później odkryliśmy. Esther znalazła męża w kwadrans po tym, jak Rodric wpadł do stajni i osiodławszy w pośpiechu konia przy pomocy Neda, którego tam zastał, pogalopował w zapadający zimowy zmierzch. Biedna kobieta! Jej krzyki dochodziły nawet do pokoju dziecinnego, gdzie akurat byłam. Natychmiast też wybiegłam do holu.

— To musiał być dla niej straszliwy szok.

— Och, z pewnością tak. Na szczęście George znajdował się w pobliżu i wraz z Mary dotarli do Esther, zanim ja się tam zjawiłam. Mary przybiegła z bawialni, ale na początku siedziałyśmy obie w dużym salonie koło biblioteki. Kiedy Rodric zaczął się kłócić z ojcem, poczułyśmy się zażenowane, że tak wszystko świetnie słyszemy przez ścianę... Pan Brandson, gdy podniósł głos, potrafił krzyczeć głośniejszym niż obwoływacze w Rye, a Rodric niewiele mu ustępował.

Miałam wielką ochotę ją zapytać, co jej się udało podsłuchać, nie chciałam jednak sprawić wrażenia osoby wścibskiej.

— Jak sądzę, pan Brandson dawał wyraz swemu sprzeciwowi wobec wchodzenia przez Rodriga w związki z przemytnikami? — spytałam lekkim tonem.

— Nie tylko o tym była mowa.

— Och?

Alice usadowiła się wygodniej na krześle.

— Pan Brandson przysięgał, że go niezwłocznie wydziedziczy — oświadczyła wreszcie. — Że zmieni testament.

— Ale przecież już go wtedy zmienił!

— Tak, to właśnie dziwne. Jak rozumiem, George ci o tym powiedział. Ale w dniu śmierci pana Brandsona nikt się tego nie spodziewał. Rodric był całkowicie pewny, że któregoś dnia odziedziczy majątek i pieniądze; pan Brandson nie poinformował go, że jest inaczej, kiedy syn stanął przed nim tego popołudnia.

— Czy nie uznano za dość dziwne pozbawienia wszystkich synów z drugiego małżeństwa prawa własności?

— Nigdy naprawdę nie faworyzował George'a — odparła wzruszając ramionami. — Nie wiem, co go skłoniło, by sformułować swoją ostatnią wolę w sposób, w jaki zrobił to przed śmiercią... zostawić wszystko George'owi. Nie byli sobie bliscy, odkąd twój mąż wbrew jego życzeniu wyjechał do Wiednia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tak mnie pochłonęła rozmowa, że uświadomiłam sobie to dopiero w momencie, gdy Alice zapytała:

— Kto tam?

— Mary. Przyszła z wizytą żona pastora i czeka na dole w pokoju recepcyjnym. Alice, czy mam jej powiedzieć...?

— Zejdę do niej. — Alice wstała. — Kościół znajduje się w Haraldsford — wyjaśniła mi — a do naszej parafii należą także wsie Haraldsmere i Conyhurst-in-the-Marsh. Myślę, że możemy oczekiwać wizyt wielu ludzi dzisiejszego ranka. Będą chcieli cię zobaczyć i powitać w Haraldsdyke. Wyjaśnię, że jesteś niedysponowana, i poproszę, by odwiedzili nas kiedy indziej.

— Jeśli możesz... Dziękuję ci, Alice... i proszę, przekaz żonie pastora moje przeprosiny.

— Ależ oczywiście — uśmiechnęła się uspokajająco. — O nic się nie kłopotcz. Zajmę się wszystkim, czym należy.

Odetchnęłam z ulgą, gdy wyszła z pokoju, i ułożyłam się na łóżku, próbując zasnąć jeszcze na chwilę, ale im usilniej próbowałam, tym bardziej rozmowa, którą z nią przeprowadziłam, zaprzętała mój umysł. Co najdziwniejsze, najżywiej dźwięczały w mej pamięci słowa, jakimi opisała Rodrica. Mogłam go sobie wyraźnie wyobrazić: wesoły i beztroski, jego życiowej werwie dorównywała werwa w poszukiwaniu przygód, cudownie

wolny od wszelkich krępujących więzów i przytłaczającej odpowiedzialności. Obraz, który sprawił, że krew zaczęła mi żywiej krążyć w żyłach. Takiego właśnie mężczyznę pragnęłabym poślubić, gdyby dano mi wybór, pomyślałam. Pozbawiona żaru dojrzałość Axela, jego chłodne zachowanie przygniały mnie; różnica wieku, ogromna jak przepaść, przytłaczała. Nagle zrozumiałam, jak nie cierpię dyscypliny, którą mi narzuca, jak obrażająca jest jego pewność, że bez wahania zrobię, co mi każe. To prawda, uznałam, kobieta powinna być do pewnego stopnia poddana woli męża, ponieważ jest wiele spraw, na których zna się on lepiej, ale doprawdy, w dzisiejszych czasach należy jej się trochę swobody...

Czas mojej młodości przypadł na początek dziewiętnastego wieku i nie byłam wtedy w stanie przewidzieć zmian, jakie nastąpią u schyłku ery wiktoriańskiej ani stopniowego zmniejszania się podległości kobiet.

Wtedy myślałam, że być może tak patrzą na to w Europie, że być może Axel traktuje mnie tak, a nie inaczej, ponieważ jest cudzoziemcem.

Ranek włókł się wolno, zaczęłam się niecierpliwić i w końcu koło południa wezwałam Marie–Claire, by mi pomogła się ubrać.

Z jakiegoś powodu zapragnęłam poznać dom na własną rękę. Nie miałam ochoty na oficjalną inspekcję poszczególnych pokoi w towarzystwie Alice lub co gorsza, macochy Alexa, Esther. Toteż gdy dokończyłam toalety, nie zeszłam ani do pokoju recepcyjnego, ani do salonu, tylko poszłam tylnymi schodami na górę, na strych, i zatrzymałam się dopiero przy szczycie domu przed małym okienkiem wychodzącym na wschodnią stronę Marsh. Ktoś wyrył na szybie diamentem napis. Pochyliwszy się, by lepiej widzieć, przeczytałam:

Boże, bądź miłościw Rodricowi i miastu Rye; Bądź miłościw Rodricowi, który tutaj ryl, uwięziony w lipcu 1797

Rok mojego urodzenia. Musiał być dziesięć albo jedenaście lat starszy, kiedy zamknięto go na strychu, prawdopodobnie za karę po popełnieniu jakiejś dziecinnej psoty. Zastanawiając się, skąd wziął diament, obrzuciłam wzrokiem całe pomieszczenie i zobaczyłam wielkie pudła, zawierające Bóg wie jakie ilości nie używanych ubrań i rozmaitych rzeczy. Pewnie znalazł w nich zapomniany diament i skwapliwie skorzystał z okazji, żeby gwoli zabawy zapełnić nową psotą dłużące się godziny odosobnienia.

Smutno było pomyśleć, że nie żyje. Przesunęłam palcami po wyrytych na szybie literach i nagle stał się dla mnie tak realny, że nie zdziwiłabym się, gdybym odwróciwszy głowę zobaczyła go czekającego w drzwiach.

Odwróciłam się, ale nikt tam nie stał.

Odsunęłam od siebie niecierpliwie te myśli i wyszłam, by przemierzyć w odwrotnym kierunku tę samą drogę, którą przybyłam. Minęłam schody wiodące do skrzydła dla służby, potem te, które prowadziły do naszych apartamentów, i zatrzymałam się na podeście, niezdecydowana, czy zejść na dół, ryzykując spotkanie z Alice lub Esther. Wreszcie odwróciłam się i ruszyłam z powrotem korytarzem, zaglądając do pokoi, które dopiero co minęłam. Były puste, ale w końcu trafiłam na jeden, przed którego otwarciem powstrzymałam się w ostatniej chwili, dosłyszawszy dochodzące zza drzwi niewyraźne głosy. Jeden z nich rozpoznałam jako należący do Mary. Być może miała lekcje z guwernantką.

Pośpiesznie ruszyłam dalej, rozmyślając o tym, że życie guwernantki nie musi być nieprzyjemne. Żadnych nowych krewnych, których człowiek musi poznać i zrobić na nich dobre wrażenie, żadnych rezydencji

nieoczekiwanie powierzonych twojej pieczy, żadnego nielubianego, denerwującego męża. Guwernantka zawsze ma prawo opuścić swoich chlebodawców i poszukać innej posady, jeśli jest niezadowolona. Żona nigdy nie ma prawa opuścić męża i domu.

Dotarwszy do końca korytarza, przystanąłam i obejrzałam się. Zadrzałam, doznawszy paralizującego uczucia, że schwymano mnie w pułapkę; przepęłniło mnie przyprawiające o mdłości przerażenie: do końca życia pozostanę w Haraldsdyke. Przyszłość jawiła mi się jak ziejąca otchłań: dziesięciolecia pustki przede mną... Mam dopiero siedemnaście lat, myślałam. Jestem jeszcze młoda. Za młoda, by mnie uwięziono w starym domiszczu z zupełnie obcymi mi ludźmi, którym być może zawadza moja obecność; za młoda, by znosić małżeńskie okowy z kimś, kogo nie rozumiem i z całą pewnością nie kocham. Nie.. to nie to, że się go boję... po prostu źle się czuję w jego towarzystwie.

Byłam tak przerażona, że nawet nie umiałam rozpoznać własnego strachu...

Pragnąc przerwać ten kołowrót myśli, sięgnęłam ręką na oślep, otworzyłam drzwi na końcu korytarza i weszłam do znajdującego się za nimi pokoju.

W rogu stało łóżko z baldachimem, a pod oknem masywne biurko z dębowego drewna. Cichy, przez nikogo nie zamieszkanym pokój. Usiadłam na krześle przy oknie, oparłam łokcie o biurko i zapatrzyłam się w mokradła.

Byłoby dobrze, gdyby Alexander przyjechał niespodziewanie z Harrow. Może byśmy nawet zdołali odbyć podróż do Londynu i spędzić tam kilka dni. Gdyby Axel zezwolił. Gdyby udało mi się uniknąć ciąży.

Myśl o ciąży przepełniła mnie zgrozą. Czułam się kompletnie nie przygotowana, by podolać związanym z tym trudom, a poza tym nie chciałam dzieci od Axela.

Rozpaczliwie zapragnęłam podzielić się z kimś moimi obawami, ale niemal natychmiast, kiedy myśl o tym przebiegła mi przez głowę, zrozumiałam, że nikomu nie mogę zaufać. Nawet pastor okazałby mi, jak nim wstrząsnęła moja odraza do zajścia w ciążę; zupełnie jakbym go dobrze znała, wyobraziłam sobie, że mówi poruszony: „Ale małżeństwo zawiera się w celu spłodzenia potomstwa...”

Muszą przecież być jakieś sposoby, myślałam, inaczej matka miałaby więcej dzieci, nie tylko mnie i Alexandra.

Może lekarz... niemal się roześmiałam z pogardy dla samej siebie, że coś takiego przyszło mi do głowy. Lekarz domowy z Winchelsea, którego pytam, co mogę zrobić, by nie wydać na świat dziedzica Haraldsdyke. Nie zwlekając odwiedziłby Axela.

Poczułam ostry ból pod czaszką, dłonie mi zwilgotniały; w końcu uzmysłowiłam sobie, że kieruje mną strach. Co za absurd, pomyślałam, mieć o to do siebie pretensję. Przecież się go nie bałam, dopóki... dopóki nie usłyszałam, jak Ned oskarża go o popełnienie morderstwa; dopóki nie doszłam do wniosku, że Axel miał możliwości, motyw i okazję, by w wigilię Bożego Narodzenia zgładzić Roberta Brandsona.

Ale przecież to Rodric zabił ich ojca; Rodric, który tak kochał życie, a mimo to zniszczył cudze w przyływie furii...

— Nie wierzę — powiedziałam głośno niemym murom Haraldsdyke.
— Nie wierzę, że Rodric zabił. Nie wierzę.

Serce mi biło szybko. Siedziałam za ogromnym biurkiem, zmrożona, niezdolna się poruszyć, przed moimi oczami otwierała się zamiast ograniczonej przestrzeni Marsh przepaść, ziemia usuwała mi się spod nóg. Tkwiłam nieruchomo, sparaliżowana paniką, w przeraźliwej ciszy, gdy usłyszałam kroki w korytarzu, drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka.

Odwróciłam się gwałtownie, jakbym się spodziewała, że odszukał mnie tutaj sam diabeł, ale zobaczyłam tylko dziecko, wychowanicę Roberta Brandsona, Mary.

Nosiła różową muślinową suknię i jasny kolor podkreślał niezgrabność jej figury. Na poły rozkręcone loczki, zrobione na prostych, nie poddających się fryzowaniu cienkich włosach, opadały krzywo. Trudno było się nie zastanawiać, czy mówiła prawdę, twierdząc, że ona i Rodric, choć nieoficjalnie, zostali jednak zaręczeni.

— Och! — wykrzyknęła zaskoczona, patrząc na mnie zdumionymi oczami. — Co tu robisz?

Powiedziała to tak, jakbym ja, nie ona wkroczyła do wnętrza.

— Co ty tu robisz? — zapytałam z lekkim naciskiem. — To nie twój pokój, prawda?

— Rodrica — odparła po chwili milczenia. — Czasami tu przychodzę.

Utkwiłam w niej wzrok, ale już po sekundzie przeniosłam spojrzenie na pokój: opuszczone łóżko z baldachimem, nieme ściany, półka z książkami, których nie zadałam sobie trudu przejrzeć... Wstałam, poczuwszy się niezręcznie; na pewno często siadywał na tym krześle i to on opierał ręce na masywnym biurku, kiedy przy nim pisał.

— Nie miałam pojęcia...

Ona też wyglądała na skrepowaną. Przychodziła posiedzieć tutaj trochę, ale tym razem nie mogła snuć wspomnień: w miejscu, które kochała, czekał na nią intruz. Zrobiło mi się przykro.

— Muszę iść — powiedziałam szybko. — Wybrałam się tylko na zwiedzanie domu. Zupełnie nie wiem, dlaczego akurat tu się zatrzymałam.

Odsunęła się, by mnie przepuścić, zakłopotana, policzki miała czerwone, oczy unikały moich, i nieoczekiwanie, zupełnie bez powodu, zatrzymałam się, choć już położyłam rękę na klamce.

— Czy mogłabym ci zadać osobiste pytanie? — usłyszałam swój własny głos.

— Jakie? — Wyglądała na zdumioną.

— Uwielbiałaś Rodrica. Czy naprawdę szczerze wierzysz, że zabił ojca?

Oczy jej się rozszerzyły z osłupienia, pod wrażeniem mojej otwartości najwyraźniej nie była w stanie przez dłuższy moment się odezwać.

— Powiedz mi — nagliłam — jestem zwyczajnie ciekawa. Trudno mi uwierzyć po tym, co o nim usłyszałam, że byłby zdolny popełnić takie przerażające morderstwo. Uważasz, że zabił twojego opiekuna?

Oblizwała blade wargi, oczy wciąż miała okrągłe z przestrawu.

— Nie — wyszeptała wreszcie. — Nigdy w to nie wierzyłam. Nigdy.

Szalała za nim. Idealizowała go. Innej odpowiedzi nie należało oczekiwać, mówiłam sobie.

— W takim razie kto zabił twojego opiekuna? — spytałam.

— Nie śmiałabym o tym rozmawiać — odparła, patrząc na mnie, jakbym była odrażającym potworem.

— Och, daj spokój, Mary, powiedz mi!

Potrząsnęła głową.

— Nikomu nie powtórzę, obiecuję.

— Nie, nie! Nie mogę ci powiedzieć. Nie mam dowodu, żadnej możliwości, by się upewnić. Wiem tylko, że Rodric na pewno go nie zabił. I nigdy w to nie uwierzę.

— A masz dowód, że to nie on?

Znowu potrząsnęła głową.

— No to... — zaczęłam rozdrażniona, ale szybko się opanowałam. Odwróciłam się. Nic nie wiedziała; nie była mi potrzebna. — Muszę już iść. Proszę, wybac mi. — Otworzyłam drzwi.

— Alice i ja siedziałyśmy w salonie — odezwała się raptownie, jakby słowa same cisnęły się jej na usta. — Rodric i ojciec chrzestny kłócili się tak głośno, że musiałyśmy wycofać się na górę.

— Wiem, mówiła mi. — Otworzyłam drzwi trochę szerzej.

— Ale słuchała nadzwyczaj chętnie — oświadczyła dziewczynka z taką złością w głosie, że odwróciłam głowę, by na nią popatrzeć. — Dopóki nie padło imię Vere'a. Dopiero wtedy uznała, że mamy odejść.

— A co pan Brandson powiedział o Verze?

— Zdaje się, że porównywał ich obu. Twierdził, że chociaż Vere popełnił mezalians i rozczarował go na wiele sposobów, to nie jest tak jak Rodric źródłem nieustannych kłopotów. Alice zerwała się, gdy tylko usłyszała zdanie na temat jej małżeństwa... I była naprawdę zła. — Po czym dodała, jakby po namyśle: — Nie to, żeby okazała złość, ale widziałam, jak jest wściekła. Zbladła straszliwie, jej oczy połyskiwały.

— I co Rodric odpowiedział ojcu?

— Mówił tak cicho, że nie dosłyszałam, poza tym Alice akurat zaproponowała, byśmy się wycofały z salonu. A potem doszedł nas wrzask ojca chrzestnego: „Tego na pewno nie będę tolerował! Nieważne który, wydziedziczę każdego z moich synów, jeśli ma czelność zadawać się z tym Francuzem, Delanceyem! Przecież wciąż mamy wojnę z Francją! Coś takiego to akt zdrady i doniosę na zdrajcę straży w Rye, obojętne, czy jest moim synem, czy nie!”

— Słyszałaś coś jeszcze?

— Ledwie krótki fragment, ponieważ Alice dosłownie wypchnęła mnie z pokoju. Ojciec chrzestny ryczał: „Do diabła ze skandalem! Pewne rzeczy są niewybaczalne i nie ma znaczenia, jaki skandal wywołają! Przebierać się za zbójców i płać głupawe dziecinne psoty to jedna rzecz, a współpracować z wrogiem w czas wojny to dopuścić się najcięższej zdrady!” Rodric błagał: „Tato, proszę, wysłuchaj mnie...” I już nic nie wiem, ponieważ znalazłyśmy się w holu i Alice zamknęła drzwi.

— Co się dalej działo? Byłaś w saloniku na górze i tam dobiegły cię krzyki Esther, gdy odkryła śmierć pana Brandsona, tak?

Nagle się przestraszyła. Znowu oblizwała wargi.

— Alice poszła do pokoju dziecinnego — wydusiła z siebie wreszcie — a ja... ja bardzo chciałam porozmawiać z Rodrikiem, więc... po chwili albo dwóch zeszłam z powrotem do holu.

— I nikomu tego do tej pory nie powiedziałaś?

— Nie, ja... nie, to nie było takie ważne... musiałam z nim porozmawiać, to dość osobiste... Kiedy ja się znalazłam w holu, on akurat wychodził z biblioteki. Wyglądał na bardzo wzburzonego. Zawołałam go, ale się nie zatrzymał, więc pośpieszyłam za nim. Poszedł do stajni. Był tam

Ned i jedna z pomywaczek... też tam była. Musieli siedzieć na słomie, ponieważ pamiętam, że Ned otrzepywał bryczesy,, kiedy się podniósł na nogi. Rodric powiedział, żeby mu osiodłać konia, a Ned na to: niby dlaczego, nie jest przecież stajennym. Rodric nagle stracił panowanie nad sobą i zaczął wrzeszczeć... To... to było bardzo przygnębiające. Wróciłam do domu, nie czyniąc już dalszych wysiłków, by porozmawiać, i udałam się prosto do saloniku.

— I Ned też nikomu nie powiedział, że widział cię w stajni?

— Bo mnie nie widział. Zaczęli się kłócić, zanim zdążyłam wejść do środka, a potem już się na to nie odważyłam. Nikt nie wiedział, że opuściłam salonik, z wyjątkiem Rodrica, a on... — powstrzymała się od dalszego ciągu.

— Co on?

— Nie, nic. Nie powiesz o tym nikomu, prawda? — zwróciła się do mnie przejęta. — Nie powiesz, że wyszłam z domu i pobiegłam za Rodrikiem do stajni?

— No dobrze, nie — zapewniłam ją trochę oszołomiona. — Oczywiście, że nie, ale...

— To było osobiste — podkreśliła niezręcznie kolejny raz. — Obchodziło wyłącznie mnie i Rodrica. Nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział, że spędziłam całe popołudnie próbując znaleźć się z nim sam na sam. — Na jej twarzy pojawił się osobliwy wyraz skrywanego podniecenia, co oszołomiło mnie jeszcze bardziej.

— Och — mój głos brzmiał bezbarwnie. Milczałyśmy jakiś czas, zanim zadałam jej nieoczekiwane pytanie: — Jak Ned odnosił się do ojca? Czy pan Brandson nigdy nie myślał o uczynieniu go spadkobiercą?

— No nie — odparła bez wahania. — To nie było możliwe.

— Dlaczego? Nie rozumiem.

Zaczerwieniła się znowu i zaczęła przestępować z nogi na nogę — personifikacja zażenowania.

— Ja też długo nie rozumiałam. Ale kiedyś podsłuchałam... — urwała.

— Tak?

— Ned nie był synem pana Brandsona. Ojciec chrzestny dał mu nazwisko, by uniknąć skandalu, ale Ned nie był jego synem.

Zarzuciłam redingot na ramiona i zesłam na dół. Lokaj w holu skłonił się i życzył mi dobrego dnia, a kiedy zorientował się, że zamierzam wyjść, otworzył przede mną frontowe drzwi i czekał zgięty w ukłonie, aż zejdem na ganek. Teren przed domem opadał stromo do poziomu mokradła. Wzniesienie, na którym postawiono budynek, porastały drzewa, ale żadne z nich nie było na tyle wysokie, by zasłonić rozciągającą się na trzy strony świata panoramę: na południu widziałam błyszczące w słońcu dachy Winchelsea i Rye i połyskującą przepięknie wstążkę morza; obrzuciłam przelotnym spojrzeniem pola uprawne na zachodzie; po wschodniej stronie pasły się owce: białoszare plamy na tle zieleni. Zszedłszy z ganku, okrążyłam dom i znalazłam się naprzeciwko stajni. Służąca, zajęta wieszaniem na sznurze prania, dostrzegła mnie stojącą na brukowanym podwórzu, upuściła z wrażenia koszyczek ze szczypczykami do przypinania bielizny i dygnęła pośpiesznie. Uśmiechnęłam się, skłoniłam leciutko głową w odpowiedzi i poszłam dalej.

Może nie jest tak całkiem nieprzyjemnie być panią wielkiego domu...

Podchodząc do stajni, słyszałam głosy, ale konstrukcja budynku uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek, nim się znalazło przy drzwiach.

Ci, którzy byli w środku, nie mogli z kolei widzieć osób stojących na zewnątrz i od razu zrozumiałam, dlaczego Mary nie sprawiło żadnej trudności dotrzeć do samego wejścia, a potem odejść nie zauważonej.

Weszłam do środka i wtedy od razu mnie zobaczyli.

Dwóch kłócących się rozczochranych stajennych zamilkło, a Ned podniósł się ze sterty słomy w kącie i zaczął otrzepywać spodnie ze ździebeł.

— Dzień dobry — powiedział zdumiony, że się zapuściłam w takie miejsce. — Myślałem, że leżysz chora w łóżku.

— Myślałam, że jeździsz konno.

— Dopiero co wróciłem — uśmiechnął się.

— Dopiero co opuściłam pokój.

Roześmieliśmy się oboje. Wahał się chwilę, aż wreszcie dał kilka niezręcznych kroków w moją stronę, a stajenni cofnęli się i zabrali do wypełniania swoich obowiązków.

— Chciałbym ci zaproponować obejrzenie ogrodu — odezwał się. — Tyle tylko, że o ogrodzie, który tu mamy, nie warto wspominać, taki jest mały. Teren za domem opada wprost na mokradła. Znajduje się tam jedynie ławka i siedząc na niej w pogodny dzień można dostrzec na północy szpice wież Canterbury.

— A dzisiaj będzie wystarczająco pogodnie?

— Przekonamy się, jeśli sobie życzysz. — Wskazał drogę i ruszył na zewnątrz, nim zdążyłam nabrać powietrza, by zaakceptować jego propozycję, nie pozostało mi więc nic innego, jak wyjść za nim na podwórze.

W rzeczywistości ogród nie był taki mały, jak bym mogła po jego opisie oczekiwać. Minęliśmy oranżerię i sztucznie powstałą sadzawkę, ogrodzony warzywnik i wreszcie rozciągnął się przed nami widok, o którym wspominał. Był rzeczywiście wspaniały; poza granicą bagna rozstaczały się zupełnie odmienne, bardziej urozmaicone krajobrazy Kentu.

Usiedliśmy na drewnianej ławce, żebym mogła je spokojnie podziwiać.

— W ogóle nie widzę Canterbury — oznajmiłam wreszcie.

— I nie zobaczysz. Powiedziałem to tylko po to, by cię przekupić. Chciałem, żebyś tu ze mną przyszła i żebym ci mógł wyrazić wdzięczność za sposób, w jaki za mną przemówiłaś ostatniego wieczoru. Wtedy nie podziękowałem należycie, ponieważ zbyt byłem zdenerwowany.

— Ależ proszę...

— George i ja nie odnosimy się do siebie tak, jak bracia powinni — stwierdził. — Nigdy tak nie było i nie będzie. Nie mam zamiaru cię okłamywać czy osładzać prawdy dlatego, że on jest twoim mężem. Uważam go za knującego intrygi cudzoziemca, a on mnie za nic nie wartego bękarta i nie ma między nami miejsca na uczucia.

Wbrew sobie poczułam rozbawienie.

— A to prawda? — spytałam rozweselona. — Jesteś nic nie wartym bękartem?

Popatrzył na mnie podejrzliwie czarnymi oczami, tak podobnymi do oczu matki.

— No, może. — Jego spojrzenie stało się czujne. — Jak na damę jesteś niesłuchanie oświecona.

— A to w jaki sposób?

— Większość siedemnastoletnich dam nie pozwoliłaby sobie na wypowiedzenie takiego słowa. Nie mówiąc o tym, że przede wszystkim nie znałyby jego znaczenia.

— Słyszałam dość często, jak je wypowiadano.

Nasze spojrzenia się spotkały. Był bardzo spokojny.

— Być może w Londynie jest inaczej — odezwał się po chwili. — Może tam wygląda to odmiennie.

— Niekoniecznie. — I powiedziałam mu.

— Czy ktoś o tym wie? — zapytał zdumiony.

— Tylko Axel.

— Wiedział, kiedy cię poślubiał?

— Oczywiście.

— Ależ ty jesteś prawdziwą damą! — oświadczył ze zdziwieniem. — Nikt by nawet nie pomyślał.

— Czy każdy bękart powinien nosić tabliczkę oznajmiającą światu o tym nieszczęsnym fakcie?

— Mam nadzieję, że nie. — Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Ale natychmiast spoważniał. — Ktoś jednak musiał się tobą zajmować... opłacać kształcenie...

Opowiedziałam mu o rodzicach i znalazłam w tym dziwną pociechę. Wspomniałam o szkole w Cheltenham, opisałam dom, mówiłam o Alexandrze. Kiedy wreszcie zamilkłam, czułam spokój, jakiego nie zaznałam od przyjazdu do Haraldsdyke, a raczej od momentu naszego ślubu tydzień temu.

— Miałaś szczęście — stwierdził, gdy skończyłam, ale w jego głosie nie brzmiała gorycz. — Twoje życie wyglądało tak, jakbyś była dzieckiem z

prawego łóża. Twój ojciec z matką kochali się nawzajem i ciebie też. Dbali o ciebie. Dopóki nie umarli, nie czułaś się zagrożona.

— Ja... chyba tak.

— O mnie nikt nie dbał. I nigdy nie wiedziałem, co jest przyczyną. Sądziłem, że moja głupota albo brzydota, albo to, że byłem najmłodszy i matka nie chciała kolejnego dziecka. Wychowały mnie liczne, następujące po sobie niańki, a potem zostałem posłany do szkoły w Rye. Rodric i Vere mieli prywatnych guwernerów, ale jeśli o mnie chodziło, uważano podobną rzecz za rozrzutność. Mój... ojciec nie sprawiał sobie kłopotu tym, żeby się do mnie odezwać, a matka ani razu nie pojawiła się w pokoju dzieciennym. Byłoby znacznie ucziwiej, gdyby mi wyjaśnili, czemu tak ignorują moje istnienie; łatwiej bym wtedy wszystko zniósł.

— Ale kiedy to odkryłeś?

— Kiedy? — Przeniósł wzrok poza bagna, na pola Kentu, siedział napięty i nieruchomy. — W tamtym roku. W Wigilię. W dniu, w którym umarł, Rodric powiedział mi, że jestem bękartem.

Na wschodzie zbierały się chmury. Pędzący je wiatr rozwichrzył mi włosy. Otuliłam się szczelniej redingotem.

— Zimno ci? — spytał Ned. — Może wolisz wrócić do domu? O tej porze roku trudno wysiedzieć na powietrzu.

— Nie, jest mi zupełnie ciepło. — Czekałam, łudząc się, że sam powie coś więcej i nie będę musiała go wypytywać, ponieważ jednak milczał, zapytałam ostrożnie: — Ale dlaczego ci powiedział?

Wzruszył ramionami, a potem wzdrygnął się gwałtownie jakby pod wpływem szoku.

— Pokłóciliśmy się.

Wiatr znowu zaszeleścił nad Marsh. Gdzieś daleko na zachodzie pejzaż zaczął się zamazywać pod niebem pełnym chmur.

— Nigdy nie kłóciłem się z Rodrikiem. Zbyt go ceniłem. Ale tego popołudnia był w ohydny nastroju. Jeszcze nie widziałem go tak wściekłego. Rozmawiałem w stajni z jedną z dziewczyn kuchennych, kiedy wszedł i wrzasnął, żebym mu osiodłał konia. „A za kogo mnie bierzesz, oświadczyłem półzartem, za stajennego? Sam sobie osiodłaj”. Odwrócił się, zanim zdążyłem się roześmiać, i wykrzyknął: „Cholerny bękarcie, zrobisz wreszcie kiedyś to, o co cię proszą?! Boże święty, jakbym nie miał na dzisiaj dosyć: ryczący patetycznie jak szaleniec ojciec; Alice, prowokująca Vere'a, aby się ze mną pobił; i ta nieszczęsna Mary ścigająca mnie jak zaraza ze swoimi cholernymi sonetami miłosnymi! A żeby ukoronować ten fatalny dzień, jeszcze ty mi musisz pokazywać swoje wielmożne bękarcie maniery!” Tak mnie ogłupił tym atakiem, że wywrzeszczałem w odpowiedzi pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy: „Spróbuj mnie nazwać jeszcze raz bękartem, a zwałę cię z tego twojego wypieszczanego konia na ziemię”. Czułem się straszliwie urażony, że mógł się w ten sposób odezwać. Nigdy się nie kłóciliśmy. Nigdy. I nigdy dotąd mnie nie obraził...

„No cóż, powiedział nie patrząc w moją stronę, jesteś tylko bękartem, niczym więcej. Do tej pory powinieneś już to wiedzieć”. Gapiłem się na niego, a on dodał: „Jak myślisz, czy gdyby było inaczej, papa nie zadbałby o twoje wykształcenie?”

Mówił siodłając sobie konia, a ja wciąż się na niego gapiłem i czułem, jakbym śnił koszmary sen. Wreszcie odwróciłem się do pomywaczki: „Wracaj lepiej do domu. Kucharz będzie cię szukał”. Chciałem się jej pozbyć. Żeby już nic więcej nie usłyszała. Potem odwróciłem się do niego:

„Nie rozumiem cię. Nie wiem, co masz na myśli”. „To poproś ojca o wyjaśnienie, oświadczył. Bóg sam wie, że ja nie mam czasu. Albo zapytaj matkę, kto jest twoim ojcem... o ile pamięta”. I zaczął wyprowadzać konia ze stajni. Byłem jak odrętwiały, ledwie mogłem się poruszyć. Zdołałem jednak wymamrotać: „Nie masz prawa mówić takich rzeczy o mamie! Jesteś jej ulubieńcem... jak śmiesz w ten sposób się o niej wyrażać?!” Dosiadł konia i nie odwróciwszy nawet głowy, by na mnie spojrzeć, stwierdził: „Ja się nie boję prawdy. I cholernie dobrze wiem, że ojciec nie zamienił z matką nawet dwóch tuzinów słów przez ostatnie dwadzieścia lat, a odkąd się urodziłeś, sypia w oddzielnej sypialni. Przystajesz ze stajennymi i pomywaczkami, rzadko widzisz ojca i matkę, nie mogłeś więc zauważyć, że są małżonkami wyłącznie z nazwy. Niby dlaczego on trzyma kochankę w Hastings, a ona wchodzi w sekretne związki z każdym mężczyzną, którego uda się jej uwieść?”

Teraz już nie byłem w stanie nawet mamrotać. Stałem w drzwiach, oparty o słupek, a świat rozpadał mi się przed oczami... Świetnie pamiętam tę chwilę: Rodric w siodle, słońce go oblewało promieniami, oczy miał czysto niebieskie. „Do cholery z wami wszystkimi razem. Zamierzam jeździć dotąd, aż przestaniecie mnie w ogóle obchodzić. Cholera z wami wszystkimi”. Pogalopował ze wzgórza na mokradła, chmury skryły słońce i poczułem smagnięcie deszczu na policzkach. Wkrótce potem nadpłynęła mgła od morza i słońce zaszło.

Zapadła cisza. Na zachodzie Marsh rysowały się niewyraźnie, chmury sięgały aż po zamazany horyzont. Miałam zamiar się odezwać, ale przemówił pierwszy, ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie mokradeł, jakby oglądał sceny odgrywane się dawno temu.

— Patrzyłem, jak odjeżdżał. Dopóki nie zniknął mi sprzed oczu. Później myślałem o tym, jak niesprawiedliwe było to, że się rozstaliśmy w gniewie, ale wtedy nic nie czułem... oprócz przeraźliwej pustki. Wróciłem w końcu do stajni i opadłem z powrotem na słomę. Nie płakałem. To przyszło potem. Po jakimś czasie pomyślałem: muszę znaleźć tatę i zapytać go, jak jest naprawdę... W holu nie było lokaja, poszedłem więc do biblioteki i zapukałem do drzwi, ale ponieważ nikt mi nie odpowiedział, udałem się na górę do pokoju ojca. Tu go też nie zastałem. Znajdę mamę i z nią porozmawiam, doszedłem do wniosku. Z początku myślałem, że jej też nie ma, wszedłem nawet do buduaru i zobaczyłem, że jest pusty. Odwracałem się, by wyjść, kiedy doszły mnie głosy z sypialni.

Odwróciłam gwałtownie głowę i spojrzałam na niego. Siedział wciąż zapatrzony w bagno, łokcie trzymał oparte na kolanach, pięści miał zaciśnięte.

— Zrozumiałem, że mówił prawdę. Nikt mnie już nie musiał przekonywać. Była z mężczyzną. Samo to odkrycie wystarczyło, by potwierdzić wszystko, co Rodric powiedział.

— Kto to był? — zapytałam spokojnie, mój głos wyrażał tylko uprzejme zainteresowanie. — Jesteś pewien, że nie twój ojciec?

— Jestem.

— Dlaczego?

Nie odpowiedział wprost. Pochylił się i zaczął rozkopywać nogą trawę, jakby wszelka forma działania, nawet taka, usprawiedliwiała jego milczenie.

— Ned? — zapytałam. Mój głos wciąż brzmiał uprzejmie.

— Usłyszałem męskie kroki — odezwał się głucho. — Zbliżał się do drzwi buduaru. Nie zdążyłbym uciec, skryłem się więc za chińskim

parawanem ustawionym w rogu pokoju. Wyszedł w sekundę potem, a ona za nim.

— Kto to był?

— Nie powiem.

Schwyciłam go za nadgarstek i szarpnęłam z całej siły, tak że musiał się odwrócić i spojrzeć mi w twarz. Drżała we mnie każda kosteczka i nie byłam w stanie już tego ukryć.

— Czy to był Axel?

— Nie powiem ci.

— Ależ to oczywiste! Jedyne mężczyzna w całym domu nie powiązany z nią więzami krwi.

— Zapomniałaś o służących.

— Ned!

— Nie powiem ci — powtórzył z uporem. — Nie powiedziałem dotąd nikomu i nie zamierzam tobie.

— Nie rozmawiałaś o tym z koronerem w czasie śledztwa?

— A niby po co? Chciałby wiedzieć, dlaczego udałem się na poszukiwania matki. Nie miałem zamiaru powtarzać jemu, a tym samym i połowie ludzi w Rye, czego się dowiedziałem od Rodrica.

Nie spuszczałam z niego wzroku.

— Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem — oświadczył posepnie. — Zupełnie nie wiem dlaczego. To przez ciebie przestałem trzymać język na wodzy.

— Zauważyli cię w buduarze? — zapytałam ignorując te skargi.

— Dzięki Bogu nie. Miałem szczęście z tym parawanem, bo inaczej w ogóle nie byłoby się gdzie ukryć.

— Czy coś mówili?

— Ona powiedziała: „Zobaczę, co się da zrobić”, a on: „Zejdę z tobą na dół”. Kiedy wyszli, słyszałem jeszcze, jak pytał na korytarzu: „Nie domyślasz się, czego chce?” I jej odpowiedź: „Może spytać, czy wiesz coś o francuskiej kontrabandzie, którą wytropił w stodole za trzydziestoakrowym polem. Dwa dni temu poinformował mnie, że obserwuje stodołę, bo chce wykryć, kto jest w komitywie z Delanceyem, ale kiedy mu poradziłam, by poszedł z tym do strażników, odmówił. Pewnie bał się, że to kolejna sprawka Rodrica”. Potem skręcili na podeście i nic więcej nie słyszałem.

— A zaraz potem doszły cię krzyki Esther, gdy odkryła, że pan Brandson nie żyje?

— Nie zaraz. Około dziesięciu minut później.

— Dziesięć minut! Przecież nie zajęło jej tyle dojście do biblioteki!

— Więc może potrzebowała czasu, żeby nabrać powietrza w płuca, bo usłyszałem jej krzyki dopiero wtedy. Wyszedłem z buduaru, gdy tylko mogłem, i rzuciłem się na łóżko w swoim pokoju, żeby pomyśleć. Z pewnością nie byłem tam krócej niż dziesięć minut.

— To naprawdę dziwne.

— Kiedy rozległy się krzyki, stanąłem na szczycie schodów. W holu zobaczyłem George'a, Mary i matkę, a na schodach Alice. Zbiegłem na dół. Kręcił się tam jeden z lokai, biały jak pergamin, i zapewniał: „Nikt poza panem Rodrikiem stąd nie wychodził”. Akurat on to mógł powiedzieć! Nie było go przecież, gdy pukałem do drzwi biblioteki.

— I co zrobiłeś?

— Wszedłem do biblioteki. Reszta wołała uśmierzać histerię matki. Ojciec leżał rozciągnięty na podłodze, obok broń Rodrica, kolba zabrudzona

krwią. Rodric polował tego ranka z George'em. Byłem już i tak wystarczająco odrętwiały i w pierwszej chwili to, co zobaczyłem, zupełnie nie wywarło na mnie wrażenia. Panika ogarniała mnie stopniowo i w końcu poczułem tak przemożną chęć ucieczki, że pobiegłem z powrotem do swego pokoju i zamknąłem się na klucz. Załamane się zupełnie. Leżałem na łóżku płacząc, aż kompletnie opadłem z sił i zasnąłem. To było jak koszmar, z którego nie możesz się obudzić.

— Kiedy dowiedziałeś się o śmierci Rodrica?

— Tego samego wieczoru. Gdy George wrócił. Mary zapukała do moich drzwi... Dużo rozmawiałaś z Mary? Jeśli tak, to wiesz, że oszalała dla Rodrica... Zaczęła sobie wyobrazać, że jest z nim zaręczona, i tym podobne głupstwa. Rodric okazywał jej cierpliwość, kierując się dobrocią, ale wyobrażam sobie, jak często musiała go irytować. Biedna dziewczyna, nie posiadała się z rozpaczy i przyszła do mnie, wiedząc, jak bardzo go lubiłem. Natychmiast zszedłem na dół. George był w salonie razem z Vere'em, Alice i mamą. Przemoczony do suchej nitki, wyglądał na wstrząśniętego jak nigdy dotąd w życiu. Spytałem, w jaki sposób Rodric umarł. Odpowiedział: „Musiał spaść z konia. Znalazłem jego kapelusz na bagnie opodal ścieżki, a potem błakającego się w pobliżu konia. Utopił się”. Vere stwierdził: „Może to wyrzuty sumienia go pochłonęły”, a Alice dodała: „Boże, bądź mu miłościw”. I wszyscy powtarzali to w czasie śledztwa: „Boże, bądź mu miłościw”. Straszne! Napiętnowali go jako mordercę, a nie miał nawet uczciwego procesu!

Pasma białej mgły spowiły krajobraz i Marsh nabrały niesamowitego wyglądu, jakby miały się rozpląnąć w zapadającym w osobliwy sposób zmierzchu. Zadrżałam.

— Naprawdę zmarłaś — zauważył Ned. — Lepiej stąd chodźmy.

Wstałam nie sprzecząc się i poszliśmy razem w milczeniu przez ogród ku domowi. Nawet nie zauważyłam, że zaczęło padać, tak byłam oszołomiona.

— Być może największy szok wywołało odczytanie ostatniej woli przez pana Shermana — odezwał się Ned. — Wszyscy myśleliśmy, że Rodric odziedziczy Haraldsdyke, a na rzecz Vere'a został sformułowany stosowny legat. Nie mieliśmy pojęcia, że tata napisał inny testament na dzień przed śmiercią.

— Wiem, Axel mi mówił, że wprawiło go to w duże zakłopotanie.

— Zakłopotanie! — powtórzył Ned drwiąco. — Wcale nie był zakłopotany. Przysięgam, że wiedział o tym od początku! Byłem tak wściekły z powodu Vere'a, który pracował w Haraldsdyke niezwykle ciężko, a nic mu się nie dostało, że straciłem cierpliwość, choć nie powinienem, i rozpuściłem język. George zamienił ze mną parę słów na osobności przed wyjazdem do Wiednia... Oświadczył, że zapewnia mi trzydzieści funtów rocznie, i zabrzmiało to, jakby mi wyświadczał wielką łaskę. Wtedy przyszło mi do głowy, jak szczodry był Rodric, a teraz zajął jego miejsce ten człowiek i rządzi się pieniędzmi, które należały się wyłącznie memu bratu. „Sądzę, że powinienem dostać pięćdziesiąt funtów na rok, powiedziałem, ostatecznie możesz okazać trochę hojności. Odebrałeś nam Haraldsdyke po śmierci taty, a jemu żonę przed śmiercią...” — Stał jak wryty w miejscu.

Padło już teraz nieprzerwanie. Mgła wciskała się nawet pomiędzy nas. Wokół panował niezwykle spokojny.

— Więc to jednak Axel był tym mężczyzną, którego odkryłeś u Esther — usłyszałam swój spokojny głos, jak gdybym mówiła z oddali.

Wyglądał, jakby chciał sobie uciąć język.

— Tak — przyznał w końcu z twarzą poczerwieniałą ze skrepowania.

— Ale nigdy mu nie powiedziałem, że podpatrzyłem, jak wychodził z sypialni mamy. I na litość boską, ty mu też nigdy, ale to przenigdy tego nie mów.

— Dlaczego? Tak się go boisz?

— Ja... — słowa uwięzły mu w gardle.

— Sądzisz, że to Axel zabił ojca, tak? A Rodric był niewinny?

— Ja... nie mam dowodów... tylko to, że zeszli razem na dół, a mama zaczęła krzyczeć co najmniej dziesięć minut potem. Może tata odkrył, że go oszukują, może wybuchła następna kłótnia w bibliotece... już po odjeździe Rodrica.

— Ale czy nie jest pewne, że pan Brandson już wtedy nie żył? Zmitreżyłeś trochę czasu w stajni, a gdy wróciłeś do domu, nikt się nie odezwał na twoje pukanie do drzwi biblioteki, prawda?

— Można to wytłumaczyć na dziesiątki sposobów. Wyszedł na moment na taras albo do salonu... nie słyszał mnie... nawet spał; ucinał sobie tam czasem drzemkę... Nie ma dowodu na to, że już wtedy nie żył, tak jak i ja nie mam dowodu na to, że pokłócił się z George'em i George go zabił. Ale Rodric był niewinny. Zawsze tak będę uważał. Nie zamordował ojca, nigdy w to nie wierzyłem.

Doszliśmy do drzwi salonu wychodzących wprost na taras. Otworzył je przede mną. Salon był pusty.

— Co Axel powiedział, kiedy stało się dla niego oczywiste, że odkryłeś jego związek z Esther? — zapytałam nieoczekiwanie.

— Kazał mi wyjaśnić, co mam na myśli. Wzruszyłem po prostu ramionami. „Widziałem was”, oświadczyłem, usiłując mówić swobodnym tonem. Potem dodałem, jakby po namyśle: „Ciekaw jestem, co sobie pomyśli koroner, kiedy się dowie, że oprócz zapisu w testamencie dostała ci się także macocha?”

— A on co na to? — Wzięłam głęboki oddech.

— Stał bardzo spokojnie, tylko twarz mu się robiła coraz bielsza z wściekłości. Wreszcie się odezwał: „Jeśli podejmiesz kroki, by wywołać skandal, po tym, co twoja matka wycierpiała znalazłszy się w ogromnym szoku, połamię ci wszystkie kości, przysięgam”. Przemówił potem znacznie mniej cywilizowanym językiem, nazywał mnie też bastarden... i nie tylko tak. Jak ja go wtedy nienawidziłem! Na koniec powiedziałem: „Nie mam zamiaru wywoływać skandalu, chcę tylko dostać te pięćdziesiąt funtów rocznie”.

— I co się stało? — zapytałam bezbarwnym głosem. — Zgodził się na tę sumę?

— O tak... Zgodził się.

Rozdział 4

Axel i Vere nie jedli obiadu w Haraldsdyke. Po posiłku Alice poszła do pokoju dziecinnego, a ja musiałam posiedzieć chwilę z Esther i Mary w salonie. Odczekawszy stosowny czas, przeprosiłam je i wyszłam. Gdy dotarłam do naszego prywatnego saloniku, zaczęła zapadać ciemność; zapaliłam dwie świece, zaniiosłam je do stojącego koło okna sekretarzyka i usiadłam przy nim. Szybko znalazłam atrament i pióro, ale papieru nie było. Nagle przypomniało mi się ogromne biurko w pokoju Rodrica; w którejś szufladzie musiał być papier.

Wstałam, wzięłam świecę i powędrowałam pustym korytarzem. Nie od razu trafiłam do jego pokoju, ale w końcu uzmysłowiłam sobie, jak do niego dojść, i rzeczywiście znalazłam spory zapas papieru do pisania. Zrobiło się już całkiem ciemno i kiedy zasiadłam ponownie w naszym saloniku, dziwnie mi ulżyło. Uniosłam pióro i zaczęłam list do Alexandra.

Niewiele miałam czasu; Axel w każdej chwili mógł powrócić z Rye. Pióro szorowało gwałtownie po kartce, rozsiewało kropelki atramentu; pisałam bez sekundy przerwy. Wygląd listu przyprawiłby o szok szacowną pannę Shearing z Cheltenham. Ona i jej pensja wydawały mi się czymś odległym o wieki.

Mam nadzieję, że dobrze Ci w szkole. Żałuję bardzo, że to nie koniec semestru, ponieważ tęsknię za Tobą bardziej niż zazwyczaj...

Powinnam ogromnie uważać, by nie powiedzieć za dużo, przemknęło mi przez głowę.

Haraldsdyke jest doprawdy niezwykłym domem, a rodzina nadzwyczaj uprzejma i miła. Spodobałoby ci się tutaj, ponieważ mógłbyś do

woli jeździć konno i polować na mokradłach. Czy naprawdę nie jest możliwe, byś przyjechał przed końcem semestru? Do Gwiazdki pozostało jeszcze wiele tygodni, to tak dużo czasu, wydaje mi się, że się na Ciebie nie doczekam. Mam tyle do opowiadania, więcej niż da się zawrzeć w zwykłym liście...

Bądź ostrożna. Przygryzłam koniec gęsiego pióra, zupełnie niepomna na otoczenie, zaabsorbowana, by jak najogólniej, ale i najwyraziściej ująć to, co chciałam przekazać, inaczej cały list na nic. Alexander nie należał do osób w lot chwytających aluzję.

Nie dasz temu wiary, ale okazało się, że pan Robert Brandson, ojciec Axela, nie umarł śmiercią naturalną, jak chciano, byśmy wierzyli; padł ofiarą morderstwa dokonanego podczas zeszłorocznej Wigilii. Koronerzy przyjęli, że sprawcą zabójstwa jest pan Rodric Brandson, przyrodni brat Axela, który jednak zmarł w kilka godzin po ojcu, na skutek wypadku, tak że nie mógł się przed nimi stawić i oczyścić ze strasznego zarzutu. I choć uznano go powszechnie za winnego, są tacy, którzy twierdzą...

Z tyłu doszedł mnie jakiś dźwięk.

Odwróciłam się gwałtownie, pióro prysnęło atramentem od konwulsyjnego ruchu mojej dłoni.

— Powinnaś wziąć jeszcze jedną świecę — powiedział Axel — żeby nie wyteżać oczu przy niewyraźnym świetle.

W ogóle nie słyszałam, kiedy wszedł. Siedziałam sparaliżowana zdumieniem, wpatrując się w niego, i mogłam mieć tylko nadzieję, że światło jest rzeczywiście niewyraźne i nie zdradza bladości mojej twarzy ani wyrazu oczu.

— Przestraszyłem cię? — zapytał. — Przepraszam. — Stał tuż obok nachyliwszy się, by mnie pocałować, i zobaczył list.

Niewiele myśląc, odwróciłam go na bibularzu i powiedziałam pierwszą rzecz, jak mi przyszła do głowy:

— Jest usiany kleksami. Gdyby był do kogoś innego, nie do Alexandra, przepisałabym go na czysto, ale on nie weźmie mi za złe niestaranności.

— Bardzo mądrze z twojej strony, że piszesz do niego od razu po przyjeździe.

Poczułam jego palce na policzku: długie, chłodne, znajome palce. Napierały delikatnie, zmuszając mnie, bym na niego spojrzała.

— Jak ci się powiodło w Rye? — spytałam natychmiast, patrząc mu prosto w oczy.

— Dobrze. Nie zamierzasz mi dać całusa?

— Ależ oczywiście — odparłam głosem lodowatym jak górski potok, wstałam i uniosłam twarz.

Otoczył ramionami moją kibić i pocałował mnie w usta, dając wyraz zażyłości, której ani się spodziewałam, ani pragnęłam.

— Nie masz pojęcia, jak wspaniale jest znaleźć się w domu po jeździe wierzchem w mglistych listopadowych ciemnościach i zastać ciebie... tak wyglądającą... Czujesz się już lepiej?

— Tak, dziękuję — i natychmiast dodałam, aby nie robił sobie nadziei, że jest inaczej: — ale nie będę jeszcze w pełni sił przez dwa, trzy dni.

— Musisz na siebie uważać. — Puścił mnie i szybko się odwrócił. Jego spojrzenie ponownie spoczęło na liście, a moje serce znowu zaczęło nieprzyjemnie walić. — Jutro też jadę do Rye. W południe odjeżdża do

Tunbridge Wells i Londynu kareta pocztowa, wezmę więc twój list i porozmawiam z woźnicą, by dopilnował jego wysyłki z Londynu do Harrow.

— Och, nie chciałabym w żaden sposób sprawiać ci kłopotu.

— Nie sprawiasz mi kłopotu. Jeśli nie skończyłaś jeszcze pisać, czy mogłabyś dodać zdanie z wyrazami szacunku dla Alexandra i zapewnieniem, że oczekujemy go na święta Bożego Narodzenia?

Cóż mogłam powiedzieć? Zasiadłam z powrotem przy sekretarzyku, a on zadzwonił po swego kamerdynera i polecił mu, by kazał przygotować i przynieść na górę lekki posiłek.

— — Zjesz ze mną — odezwał się — czy wolisz ze wszystkimi? Jestem zmęczony i głodny i nie mam ochoty do nich dołączyć.

— Nie jestem jeszcze głodna — odparłam. — Od obiadu nie upłynęło zbyt wiele czasu. Poczekam, jeśli pozwolisz, i zejść na herbatę.

Przepisałam list do Alexandra, starannie wystrzegając się wzmianek na temat, że nie udowodniono winy Rodrica. Potem z najdrobniejszymi szczegółami odmalowałam obraz Haraldsdyke i wymieniłam po imieniu każdego członka rodziny. Zakończyłam zdaniem od Axela i dopiskiem: „Proszę, przyjedź najszybciej, jak możesz!”

Kiedy się podpisałam i odłożyłam pióro, Axel jadł kolację przy stole koło okna.

— Chciałabym poznać Rye — powiedziałam pod wpływem nagłego impulsu. — Czy zgodziłbyś się, bym tam z tobą jutro pojechała?

— W twoim obecnym stanie?

— Nie... nie myślałam o jeździe konnej. Raczej o powozie.

— Sądzę, że podróż i tak cię zmęczy, a poza tym mam pewne sprawy do załatwienia, więc nie mógłbym ci towarzyszyć. Innym razem.

— Może Ned by mógł, skoro ty jesteś zbyt zajęty?

— Ned? — rzucił mi ostre spojrzenie.

— Rozmawiałam z nim dzisiaj... Był bardzo miły, więc może...

— Nie będziesz jeździć po Rye z Nedom — oświadczył Axel dobitnie.

— Ależ oczywiście. Jak sobie życzysz.

— Z pewnością zrobisz roztropniej, jeśli spędzisz ten dzień z Alice, poznając lepiej tajniki prowadzenia domu. Bez wątplenia też złoży ci wizytę wiele osób, które chciałyby cię poznać, powinnaś zatem pozostać w Haraldsdyke, by je przyjąć.

— Dobrze. — Spojrzałam na zegar stojący na obramowaniu kominka.

— Czy wybaczysz mi, Axelu, jeśli cię teraz opuszczę? Za chwilę podadzą herbatę, a ja zaczynam jednak odczuwać lekki głód.

Wyraził swoje przyzwolenie. Wzięłam świecę i wyszłam na korytarz, ale dotarłam ledwie do podestu, gdy przypomniałam sobie z przerażeniem, że nie zniszczyłam pierwszego listu do Alexandra; złożyłam go i zostawiłam bez troski na sekretarzyku obok tego do wysłania. Natychmiast zawróciłam i pobiegłam z powrotem. Wchodząc do pokoju uświadomiłam sobie, że nie mam przygotowanej żadnej wymówki. Na szczęście nie była mi potrzebna. Axel udał się już do sypialni. Podeszłam pośpiesznie do sekretarzyka, schwyciłam papier i cisnęłam go w sam środek ognia na kominku. I w momencie, gdy patrzyłam, jak się zajmuje płomieniem, uderzyła mnie myśl, że złożony arkusz nie leżał dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawiłam...

Następny ranek ciągnął się nudno i nużąco. Wiedząc, że Axel po powrocie z Rye nie omieszka zapytać, jak spędziłam dzień, poprosiłam Alice, by mi pokazała kuchnię i wprowadziła w domowe obowiązki. Potem

przyszła ponownie żona pastora, wraz z jego siostrą, i musiałam dołożyć starań, by wyrzeć odpowiednie wrażenie. Kiedy wyszły, Alice zabrała mnie do pokoju dziecinnego i znowu musiałam się mieć na baczności, by dobrać odpowiednie słowa i uczynić stosowne, wyrażające zachwyt uwagi. Stephen, najstarszy, był cichym, nieśmiałym dzieckiem o jasnych włosach i zielonych oczach. Znacznie bardziej niesforna Clarissa, choć o rok młodsza, dorównywała mu już wzrostem, a najmłodszy, Robert, miał wydatny podbródek, sprawiający dziwaczne wrażenie u tak małego dziecka, i niski głos, którym potrafił krzyczeć ogłuszająco.

— Moje drogie kochanie — powiedziała Alice pieszczotliwie, podnosząc go do góry, i natychmiast ucichł.

Strach przed ciążą odżył na widok jej dzieci i byłam zadowolona, gdy wreszcie udało mi się umknąć do naszych pokoi. Nie zostałam tam jednak długo; zbyt byłam niespokojna, poza tym nie miałam zamiaru siedzieć i czekać, by Bóg wie jakie myśli wypełniły moją głowę. Włożyłam pelisę, ciepłe buty i wysliznęłam się do holu, zamierzając pospacerować po ogrodzie. Ledwie wyszłam, gdy zza rogu wyłonił się Ned, niemal się ze mną zderzając.

Roześmieliśmy się, on przeprosił, ja zapewniłam, że to nic takiego, i wreszcie mogłam spytać, dokąd się wybiera.

— Do najbliższej wsi, Haraldsford. Obiecałem Alice, że zaniosę jej matce trochę szynki i ciasta. Może byś poszła ze mną? To niedaleko... ledwie mila.

— Wrócimy na czas na obiad?

— Ależ tak, z powodzeniem. Będziemy tam wszystkiego razem godzinę.

Byłam bardzo ciekawa, jak wygląda matka Alice, czarownica.

— Dobrze, pójdę — zgodziłam się — ale pod warunkiem, że zachowasz sekret. Mam spędzić ten dzień ucząc się, jak zarządzać Haraldsdyke.

— Możesz mi bezpiecznie powierzyć swoje sekrety — uśmiechnął się, pokazując białe równe zęby, a jego czarne oczy rozbłyły.

Wyruszyliśmy zatem razem do wsi i gdy tylko dom został za nami, doznałam wielkiej ulgi, wręcz poczułam się niefrasobliwie.

Wkrótce byliśmy na miejscu. Szliśmy drogą wzniesioną ponad poziom gruntu, co wydawało mi się dość dziwaczne, ale niedaleko wsi teren podniósł się i zrównał z traktem. Wieś była niewielka; znajdował się w niej okrągły kościółek wzniesiony za Saksonów z dobudowaną w czasach normańskich wieżą, parę chałup i gospoda „Pod Czarnym Baranem”. Matka Alice mieszkała w małej nędznej chatynie, oddalonej od pozostałych, na samym skraju wioski. Przy drzwiach pasła się koza, a ze środka wyglądały dwie kury.

— Podobno jest wiedźmą — zauważyłam niedbale, gdy podeszliśmy blisko, ale Ned się roześmiał.

— Tak mówią... tylko dlatego, że zna parę starych receptur i jedno lub dwa zaklęcia! Uwierzę, kiedy ją zobaczę lecącą na kiju od miotły, nie wcześniej!

Byłam rozczarowana. A jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam, że matka Alice, Dame Joan, nie jest tchnącą złem garbuską odzianą w czarne łachmany, tylko mówiącą donośnym głosem, silną, krzepką wiejską kobietą o wydatnym nosie i dziwnych jasnych oczach nieokreślonego koloru, jakby złożonych z szarych, zielonych i niebieskich plamek.

— Dzień dobry, Dame Joan — powitał ją Ned z ożywieniem. — Przynoszę podarunek od Alice. Mam nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem.

Obrzuciła go karcącym wzrokiem, a potem zerknęła na mnie.

— To ty jesteś żoną cudzoziemca — oświadczyła z miejsca.

Nietrudno było to wywnioskować, ale poczułam zatrwożenie jak dziecko z powodu pewności siebie, z jaką określiła moją tożsamość.

— W istocie — poświadczył Ned, mrugając do mnie. — Pani George'owa Brandson.

Uśmiechnęłam się i życzyłam jej dobrego dnia, w odpowiedzi na co oświadczyła:

— Jesteś zuchwałym łajdakiem, mój chłopcze. Widziałam, jak wykrzywiasz twarz, chcąc mnie wyszydzić.

Zaniepokoiłam się, sądząc, że ją obraził, ale Ned tylko się roześmiał.

— Masz zatem oczy z tyłu głowy, Dame Joan — stwierdził rozbawiony. — Stałem za tobą, jak mogłaś zobaczyć, co robię?

— Mam sposoby — oznajmiła ponuro. — Uważaj lepiej, bo jak następnym razem zmienisz kształty nowej pomywaczki, nie będę taka hojna z wywarami.

Nie wyglądał na zakłopotanego czy zdruzgotanego.

— Dame Joan wie wszystko o sprawach związanych z płodnością — wyjaśnił mi bez osłonek z beztroskim uśmiechem. — Jeśli nie jesteś w ciąży, a chciałabyś, da ci miksturę. Jeśli jesteś w ciąży, a nie chciałabyś, da ci inną miksturę. Jeśli nie...

— Bezczelny łajdaku, żeby mówić tak do damy. Cudzoziemiec sprząłby cię okrutnie, jakby to słyszał.

Niesamowite było to, że tak dobrze odgadła, jak Axel odnosi się do Neda. Nawet on poczuł się zaskoczony; uśmiech znikł na chwilę z jego twarzy, ale zaraz się roześmiał, udając, że nic go nie zaniepokoiło.

— Dame Joan wie, że nie lubimy się przesadnie z Axelem — powiedział lekko. — No, powinniśmy już wyjść, żeby zdążyć na obiad. Dobrego dnia, Dame Joan, mam nadzieję, że będą ci smakować szynka i ciasto.

Odezwał się ponownie dopiero, gdy opuściliśmy wioskę.

— Przepraszam, że mówiłem tak bez osłonek. Nie zamierzałem cię obrazić — zapewnił, nie podnosząc wzroku.

— Nie obraziłeś mnie — odparłam szczerze. — Ojciec często był niezwykle swobodny, gdy rozmawialiśmy na ten temat, i nie dbał ani trochę o to, czy mówi zbyt otwarcie.

Uśmiechnął się, najwyraźniej poczuwszy ulgę.

— Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła osiąść w Haraldsdyke — stwierdził.

— Dlaczego tak uważasz?

— Cóż, jesteś taka... pełna życia, tak... — wzruszył ramionami, nie mogąc znaleźć właściwego słowa. — Powinnaś żyć w mieście, nosić piękne suknie, biżuterię, obracać się w towarzystwie, a nie siedzieć zagrzebana na wsi, gdzie możesz wywierać wrażenie tylko na okolicznym ziemiaństwie i kupcach Cinque Ports! Zanudzisz się tu, będziesz się dusić...

— Nonsens — zaprotestowałam może nieco za gwałtownie, ponieważ czułam, że jest w tym trochę prawdy.

— Jesteś tak pełna życia — powtórzył. — Taka interesująca. Różnisz się bardzo od tutejszych chichoczących ziemianek, zdolnych tylko do prowadzenia pełnej pruderii, przygnębiającej konwersacji.

— Lepiej natychmiast przestań, bo nie zmieszczę się w drzwi Haraldsdyke, jak się nadmę z próżności. — Niemniej jednak byłam zadowolona.

Wróciwszy, zastaliśmy w holu Esther. Trochę się obawiałam, że mogła nas widzieć idących razem drogą.

— Ach, jesteś wreszcie! — powiedziała, a ja ledwie na nią spojrzawszy, pomyślałam o jej związku z Axelem i musiałam zwalczyć pragnienie, by nie dać jej odprawy; nigdy zresztą nie wierzyłam naprawdę w jej przyjazne uczucia. — Zastanawialiśmy się, gdzie byłaś, kochanie. — Czarne oczy wpatrywały się to we mnie, to w Neda. — George jest już w domu. Chciał cię widzieć natychmiast, jak wrócisz.

Ledwie stanęłam w drzwiach, instynkt mi podpowiedział, że rozmowa nie będzie przyjemna. Axel był w ubieralni i gdy tylko się zorientował, że weszłam do pokoju, odprawił kamerdynera, po czym nie zwlekając ani minuty przyszedł do saloniku, gdzie czekałam.

— Czy sprawy w Rye ułożyły się po twojej myśli? — zapytałam pośpiesznie. Zbyt pośpiesznie. — Cieszę się, że dzisiaj zdołałeś wrócić na obiad.

— Kiedy wróciłem, zdziwiło mnie, że cię nie ma w domu — odezwał się oschle i wskazał gestem ręki kominek. — Siądźmy na moment.

Usiadłam na brzeżku krzesła z wysokim oparciem i splotłam dłonie na kolanach. Serce mi biło głośno, ale starałam się sprawiać wrażenie całkowicie opanowanej.

— Alice powiedziała, że spędziłaś z nią sporo czasu rano. Byłem zadowolony, słysząc, że wzięłaś sobie moje rady do serca.

Zacząłam drobiazgowo zdawać sprawę z tego, co robiłam. Słuchał uważnie. Kiedy już nic mi nie przychodziło na myśl, oświadczył:

— Jak mi wiadomo, rozstawszy się z Alice, poszłaś na spacer z Nedom.

— Tak. Do Haraldsford, zanieść matce Alice trochę żywności. Ale skąd...

— Esther widziała, jak wychodziliście.

Zapadła cisza. Rozzłościłam się na myśl, że Esther mnie szpieguje, ale udało mi się opanować na tyle, by nie ulec pokusie wyrażenia uczuć w słowach.

— Ach tak — powiedziałam.

— Zapomniałaś, że nie zgodziłem się, byś chodziła po Rye w asyście Neda?

— Nie, pamiętam.

— Zdołałaś się z pewnością do tej pory zorientować, że życzę sobie, by cię jak najrzadziej widywano z Nedom?

— Owszem, zauważyłam to.

— A mimo to szukałaś jego towarzystwa na przechadzkę do Haraldsford?

— To był czysty przypadek. — Wyjaśniłam mu, jak do tego doszło. — Nie sądziłam, że miałbyś coś przeciwko temu, inaczej bym nie poszła.

— Zależy mi bardzo na tym, by cię z nim samej nie widywano — oświadczył Axel gwałtownie. — Cieszy się złą reputacją, jest szczególnie niebezpieczny właśnie dla dziewcząt w twoim wieku, ponadto obcuje z

ludźmi, z którymi spotkanie się byłoby z twojej strony co najmniej nierozważne. Zapominasz, że jesteś teraz panią Haraldsdyke, a nie uczennicą na pensji, którą trzeba nadzorować, ale też można usprawiedliwić jej zachowanie.

— Jestem w pełni świadoma swojej roli w Haraldsdyke — odparłam lodowato. — Ty natomiast zdajesz się zapominać, że Ned to twój przyrodni brat i zgodnie z ogólnie przyjętymi obyczajami można go uważać za bardzo odpowiednią eskortę dla mnie podczas krótkiego spaceru na wieś.

Czułam straszliwą złość, inaczej za nic nie ośmieliłabym się mówić do niego w ten sposób. Otworzył szeroko oczy i przez moment wyglądał na porażonego moją śmiałością, ale po chwili stał przede mną chłodny i daleki jak zawsze.

— Nie jest moim krewnym.

— Poinformowano mnie — oznajmiłam uszczypliwie — ale dopóki powszechnie o tym nie wiadomo, w oczach świata wciąż jest kimś, kto z całą pewnością może mi towarzyszyć. — Wstałam i szybko przeszłam do sypialni; moje oczy wypełniały piekące łzy.

Natychmiast ruszył za mną.

— Słuchaj — powiedział zamykając za sobą drzwi — nawet jeśli to prawda, mam swoje własne powody, by nie życzyć sobie towarzystwa Neda dla ciebie. Nalegam stanowczo, byś zważywszy na to, co mówię, nie widywała go częściej niż to konieczne.

Łzy mnie dławiły. Do ostatnich granic zdenerwowana, zapragnęłam całym sercem, by utuliła mnie matka, co miało tylko taki skutek, że przypomniało mi o jej śmierci i o tym, że nigdy więcej już jej nie zobaczę. Gorące łzy pociekły mi po policzkach. Patrzyłam uporczywie w okno,

odwrócona plecami do stojącego za mną obcego mi mężczyzny, całą siłą woli skoncentrowana na tym, by ukryć przed nim fakt, że straciłam nad sobą panowanie.

— Słuchasz, co do ciebie mówię? — zapytał ostro.

Skinęłam głową.

— W takim razie oczekuję obietnicy, że postąpisz zgodnie z moją wolą.

Próbowałam się odezwać, ale nie byłam w stanie. Sekundy mijały.

— Czekam, moja droga.

Szloch wzbierał mi w gardle. Ramiona mi zadrżały. Zamknęłam oczy, przepełniona poczuciem klęski, i poczułam dotyk jego ręki na plecach.

— Wybacz mi — odezwał się z niespodziewaną łagodnością. — Widzę, że byłem zbyt szorstki.

Ku swojemu wstydowni pozwoliłam, by mnie przytulił, i ukryłam twarz na jego piersi. Zaczął głaskać moje włosy.

— Ale okazywałaś tyle dumy, taką niezależność — w jego głosie brzmiała skrucha — że nie miałem pojęcia...

Odsunęłam się od niego; łyzy mi wyschły.

— To nie ma związku z twoją szorstkością — zapewniłam oschłym, lodowatym tonem. — Nieoczekiwanie przypomniałam sobie o śmierci rodziców i na chwilę ogarnął mnie smutek. Przepraszam, że tak odkryłam swoje uczucia przed tobą. Jeśli pozwolisz, chciałabym teraz przebrać się przed obiadem.

Skłonił się w milczeniu, po czym wycofał z powrotem do ubieralni. Czekałam, kiedy wezwie kamerdynera, ale nie uczynił tego i cisza wisiała jak całun nad naszym apartamentem.

Wciąż jeszcze stałam przy oknie, gdy pojawił się z powrotem. Spojrzałam na niego zdumiona.

— Zupełnie zapomniałem ci powiedzieć, że zaprosiłem jutro na obiad Shermanów. James Sherman, jak pamiętasz, był prawnikiem ojca.

— Tak, oczywiście — odezwałam się z godnością, może nieco większą, niż zamierzałam. — Dopilnuję, by poczyniono wszelkie niezbędne przygotowania na ich przyjęcie. Ilu będziemy mieli gości?

— Pięcioro. Sherman, jego żona i córki, i brat, Charles.

— Pięcioro. Dziękuję ci.

Znowu cisza i ogromna przepaść między nami. Wreszcie powiedział spokojnie:

— Chcę ci zadać jedno pytanie co do Neda i jak sądzę, nie będziemy już musieli wracać do tego tematu. Czy rozmawiał z tobą o Rodricu?

Popatrzyłam na niego. Twarz miał czujną, ale z oczu nic nie mogłam wyczytać.

— Nie — odparłam i doszedłszy do wniosku, że brzmi to nieprawdopodobnie, dodałam: — Poza tym, że go wspominał i mówił, jak bardzo lubił.

— Aha.

— Dlaczego pytasz? — zwróciłam się do niego, gdy się odkręcił, by odejść. — Czy jest jakaś tajemnica związana z Rodrikiem?

— Żadna, o której bym wiedział — oświadczył stanowczo.

Obiad był o czwartej. Za oknem zapadał zmrok; deszcz siekł mokradła, uderzał w szyby okienne. Weszłam z Axelem do jadalni i zobaczyliśmy Mary siedzącą w sukni o nietwarzowym fioletowym kolorze; bufiaste rękawy podkreślały pulchne ramiona, sprawiając, że wydawały się

jeszcze grubsze. Po chwili przyszedł Ned, odświeżony i schludnie ubrany, i choć Axel przyglądał mu się surowo, nie mógłby dzisiejszego wieczoru niczego zarzucić jego wyglądowi. Zaraz potem zjawiała się Esther. Prezentowała się pięknie w czarnej satynie; w ciemnych kolorach było jej do twarzy, a krój żałobnej sukni podkreślał wszystkie walory figury, Nie do uwierzenia, że miała już tyle lat i dorosłych synów. Przyjrzała mi się ciekawie, jakby próbując odgadnąć, czy Axel mnie zganił za spacer do Haraldsdyke z Nedom. Dołożyłam starań, by uśmiechnąć się do niej z odpowiednią dozą chłodu, tak by zrozumiała, że z łatwością przyszło mi zniweczyć jej wysiłki i że pogardzam nią za szpiegowanie i wtrącanie się w moje prywatne sprawy.

Kiedy przyszli Vere i Alice, odmówiłam najszybciej, jak mogłam, modlitwę i zasiedliśmy do jedzenia.

Od razu spostrzegłam przygnębienie Vere'a, ale dopiero przy daniu głównym zauważyłam, że on i Axel nie odzywają się do siebie. Alice przeciwnie, sprawiała wrażenie osoby, której nic nie dręczy, i gawędziłyśmy przez chwilę na temat jej matki. Mary była jak zwykle zbyt nieobecna, by brać udział w rozmowie, a największą ambicją Neda wydawało się zjeść czym prędzej, jak najmniej rzucając się w oczy. Przy drugim końcu stołu Axel i Esther wymienili parę formalnych zdań, ale poza tym posiłek ciągnął się w milczeniu i odczułam zadowolenie, gdy się skończył i mogliśmy wstać.

Kiedy szliśmy po schodach na górę do salonu, Esther spytała Alice:

— Czy Vere pokłócił się z George'em?

— Były jakieś kłopoty w Rye — odpowiedziała Alice.

Nie rozmawiały więcej na ten temat. Posiedziawszy dziesięć minut, wymówiłam się zmęczeniem, które czułam naprawdę; prawdopodobnie znużyły mnie trudy poranka spędzonego z Alice na poznawaniu tajników prowadzenia domu. Kiedy znalazłam się w naszych pokojach, natychmiast wezwałam Marie–Claire i po starannej toalecie wśliznęłam się między prześcieradła podwójnego łóżka. Była szósta po południu.

Z początku myślałam, że zasnę z łatwością, ale jak to się czasem zdarza, choć ciało miałam rozgrzane i rozluźnione, pobudzony umysł pracował z napięciem i wkrótce byłam już także napięta fizycznie i przewracałam się niespokojnie z boku na bok. Rozmyślałam o związku Axela z Esther, rozważając szczegółowo wszystkie dotyczące tego kwestie, dopóki nie zyskałam pewności, że nic nie umknęło mojej uwagi. Była prawdopodobnie nie więcej niż dwanaście lat od niego starsza, a być może mniej; przystojna, światowa, inteligentna i znudzona związkiem będącym małżeństwem tylko z nazwy; brała kochanków, gdy nadarzała się sposobność; sprytna wystarczająco, by uznać, że wychowany w kosmopolitycznym mieście pasierb dostarczy jej upragnionej rozrywki.

A Axel, choć zawsze zapewniał o szacunku, jaki żywił dla ojca, również nie miał nic przeciwko temu, by zażyć rozrywki. Jej dojrzałość bez wątpienia go pociągała; z pewnością bardziej należał do jej pokolenia niż mojego.

Wyobraziłam sobie jego przyjazd do Haraldsdyke w zeszłoroczne święta, pośpiesznie rozniecany romans, jego wykrycie, obracające wszystko wniwecz. Jakbym słyszała Roberta Brandsona krzyczącego pełnym głosem: „Odwołam mój ostatni testament, w którym ci wszystko zapisałem! Nie dostaniesz ani pensa, ani piędzi Haraldsdyke!” A potem okazało się, że

Rodric wspaniale nadaje się na kozła ofiarnego, tym wspanialszego, iż zmarli nie mogą mówić o swej niewinności. Axel pojechał za nim konno i znalazł na mokradłach jego kapelusz i konia.

Tak Axel powiedział.

Usiadłam; czoło miałam spocone, nogi mi drżały. Zapaliłam lampę.

Romans należał oczywiście do przeszłości; zakończył się klęską, a Axel miał tyle inteligencji, by rozumieć, że musi zdusić w zarodku wszelkie pogłoski na jego temat. I z pewnością byłby głupcem, gdyby go kontynuował.

Chyba że ją kochał. Bo że nie kochał mnie, to pewne. Podobałam mu się i od czasu do czasu mi to okazywał, ale nie było mowy o miłości. I nie powinno być. Nie kochałam go. Małżeństwo z rozsądku. I takim miało pozostać. Dlaczego nie? Kto się w dzisiejszych czasach pobiera, kierując uczuciem? Tylko głupcy. Albo biedota. Albo ci, którzy urodzili się, by zaznać szczęścia.

Ze ściśniętym gardłem podniosłam się z łóżka i naciągnęłam na siebie ciepły wełniany szlafrok, by się ochronić przed wilgotnym chłodem listopadowej nocy. W sąsiednim pokoju słabo tlił się ogień, rozgarnęłam więc żar pogrzebaczem i dorzuciłam szczypcami bryłę węgla. Siedziałam przy palenisku dłuższy czas, przyglądając się strzelającym płomykom i zastanawiałam się, czy byłabym zdolna wyobrazić sobie te wszystkie okropne rzeczy, gdyby Axel kochał mnie, a ja jego. Być może gdybym była pewna jego miłości, nie dbałabym o przeszłość. Może nawet czułabym litość wobec Esther... biedna Esther, wkrótce się zestarzeje i straci wiele z tej magnetycznej siły przyciągania, dzięki której miała nadzieję uniknąć nudnego bytowania wdowy zagrzebanej na wsi... Nic by nie liczyło się aż

tak bardzo, gdyby Axel kochał mnie choć trochę, gdybym nie czuła się całkiem zagubiona i samotna.

Wstałam, wyszłam na korytarz i zatrzymałam się u szczytu schodów. Z salonu dochodziły głosy, wywnioskowałam więc, że tylko ja go opuściłam; nie słyszałam jednak głosów mężczyzn, a zatem wciąż się znajdowali w jadalni.

Zeszłam po schodach do pustego holu i nie myśląc o żadnym określonym miejscu, znalazłam się przy głównym salonie sąsiadującym z biblioteką, gdzie Robert Brandson znalazł śmierć rok temu. Na stole płonęły świece, w kominku ogień, z wnętrza biło ciepło. Ktoś rozmawiał w pokoju obok. Przystanąłam, świadoma, że nie powinnam słuchać, ale jeszcze bardziej tego, jak jestem ciekawa. Przestałam się wahać, wstyd zniknął. Zamknęłam za sobą drzwi, podeszłam na palcach do okna i usiadłam na ławeczce w wykuszu; długie zasłony znakomicie mnie skryły, drzwi łączące salon i bibliotekę były tuż obok. Zamknięte oczywiście, ale najwyraźniej źle dopasowane, i rozmowę słyszałam wyśmienicie; zrozumiałam natychmiast, dlaczego Mary i Alice mogły znać każde słowo, które padło podczas kłótni Rodrica z ojcem.

— Oby Bóg cię potępił! — Głos Vere'a dochodził mnie niegłośnie, ale wyraźnie. — Oby Bóg potępił cię na wieki, George'u Brandsonie.

— Możesz wołać o moje potępienie, jak często sobie życzysz. — Axel mówił tonem zimnym niby lód, leciutki odcień pogardy dźwięczał w każdym wyrazie. — Możesz wzywać Boga przez całą wieczność, a nie zmienisz mojej decyzji. Kiedy wyjeżdżałem po śmierci ojca, zostało ustalone z kuratorami, że będziesz miał wszelkie możliwości, by zarządzać Haraldsdyke przez rok czy też dotąd, póki nie wypełnię warunków

testamentu. Niemal przez rok decydowałeś tu o wszystkim. I co się stało? Zaciągnąłeś nielegalnie długi, nie byłeś bowiem do ich robienia upoważniony; traciłeś pieniądze garściami, pozwalając sobie na rolnicze eksperymenty, które jak sędzę, nawet najbardziej zagorzały rzecznik postępu uznałby za nadzwyczajnie ryzykowne. Kuratorzy, o czym mieliśmy się okazję dzisiaj przekonać, są poważnie zaniepokojeni i trudno im się dziwić. Też bym był, gdybym się znajdował na ich miejscu i musiał zdać rachunek z finansowych wyników Haraldsdyke za miniony rok. Sądziłem, że mogę na tobie całkowicie polegać w kwestii zarządzania majątkiem, ale teraz widzę, że muszę zmienić zdanie. To oczywiste, pojęcie o sprawach finansowych masz nie większe niż Rodric, a Bóg jeden wie, jakie on miał słabe.

— Nie porównuj mnie z Rodrikiem! — Vere z wściekłości podniósł głos. — Boże święty, dość się wycierpiałem słuchając tych porównań, gdy żył, żebym je jeszcze znosił po jego śmierci! Zawsze to samo, zawsze! Byłem jedyną osobą, która dbała o Haraldsdyke i chciała jego rozwoju, ale czy mi dano szansę? Ojciec był zbyt głupi i uparty, żeby pozwolić na jakiegokolwiek zmiany. Nawet nie słuchał tego, co mówiłem! Nikt nie słuchał! Zawsze Rodric, Rodric, Rodric! I cóż takiego zrobił? Zaprzepaścił wszelkie możliwości, jakie miał, a pieniądze wyciekały strugą na jego głupkowate eskapady! Rodric ulubieniec! Rodric świętość! Jego ojciec słuchał, podczas gdy dla mnie nie miał czasu; jemu wybaczał każdą awanturę, w jaką się wplątał, mnie nie darował nawet małżeństwa; obsypywał go pieniędzmi, by miał na przyjemności, mnie zmuszał, bym błagał o środki na Haraldsdyke.

— Nie jestem w najmniejszym stopniu skłonny wysłuchiwać, jakich krzywd i urazów doznałeś w związku z osobą Rodrica — oświadczył Axel

kwaśno. — Interesuje mnie wyłącznie fakt, że straciłeś w zeszłym roku znaczną sumę.

— To się zwróci. To tymczasowe. Większą część będzie można odzyskać w przyszłym roku. Dalej twierdzę, że moje projekty są warte uwagi.

— Niestety, mam zupełnie inne zdanie.

— W imię Boga! — Krzyknął Vere tak donośnie, że jego głos chyba przetoczył się echem po całym domu. — Dlaczego zawsze muszę zebrać o to, czego potrzebuję?! Jestem chory z obrzydzenia z powodu tej zebrany! Gdybym miał fundusze, odwróciłbym się na pięcie, kupił ziemię i zbudował farmę, przysięgam!

— Przykro mi, że ojciec nie przewidział cię w testamencie, ale najwyraźniej miał jakieś powody...

— Niepotrzebne mi twoje współczucie! Pieniądze byłyby moje, gdyby ojciec wydziedziczając po kryjomu Rodrica nie uczynił zapisu na twoją korzyść! Ja bym je dostał.

— Proszę, rozmawiajmy o rzeczach realnych, zamiast rozważać, co mogłoby czy nie mogło się zdarzyć w innych okolicznościach. Pieniądze są moje, Haraldsdyke też, ale mam tyle dobrej woli, by dzielić je z tobą, oczywiście do pewnego stopnia, i pozwolić ci dalej administrować majątkiem. Niemniej jest oczywiste, że jeśli moje liberalne podejście ma doprowadzić do ciężkich strat finansowych...

— Nie możesz mnie sądzić po jednym złym roku! Nie miałem szczęścia!

— Nie sądzę, by przyczyną był tylko brak szczęścia.

— A skąd ty to możesz wiedzieć? Co ty w ogóle wiesz o majątkach ziemskich? Harowałem jak niewolnik wiele godzin w Haraldsdyke. Kocham to miejsce bardziej niż jakiegokolwiek inne na ziemi! A ty przyjeżdżasz i próbujesz dać do zrozumienia, że celowo sprzeniewierzyłem oddane mi do dyspozycji fundusze...

— Nonsens. Powiedziałem tylko, że nie życzę sobie dalszych eksperymentalnych upraw przez co najmniej trzy lata i nie wyłożę ogromnych sum na wdrażanie nie sprawdzonych, wręcz niebezpiecznych pomysłów.

— Nie tobie to sądzić. Wiesz coś w ogóle o rolnictwie? I właściwie kim ty jesteś, by podejmować decyzje, które mogą zaważyć na całej przyszłości Haraldsdyke?

— Drogi Vere — powiedział Axel na poły rozbawiony, na poły zirytowany. — Haraldsdyke jest moje. Pieniądze są moje. Jak sądzę, to mi daje prawo, by się wypowiadać.

— Tak, jest twoje! — wykrzyknął Vere. — Bo na szczęście dla ciebie ojciec ci je zapisał w chwili, gdy umysł mu się zmacił! I równie szczęśliwie zmarł, nim zdążył to zmienić!

Cisza dzwoniła w uszach. Po niedługiej chwili Axel spytał spokojnie:

— Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

— A nic! Tyle że ojciec umarł w dobrym dla ciebie momencie... a Rodric też zginął, zanim przedstawiono mu oskarżenie.

— Czy przypadkiem nie usiłujesz sugerować, że...

— Chciałem powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem. Ani więcej, ani mniej.

— W takim razie postaraj się znacznie bardziej uważać na to, co chcesz powiedzieć, Vere, ponieważ jak wszyscy dżentelmeni, nie znoszę, by mnie zniesławiano, a z racji mojej pozycji mogę ci się bardzo nieprzyjemnie odplacić.

Cisza nabrzmiewała, rosła, stawała się nie do zniesienia.

— Po prostu pamiętaj — odezwał się Axel i jednocześnie usłyszałam, jak naciska klamkę drzwi — że mieszkasz tu z rodziną, dopóki ja sobie tego życzę... i ani sekundy dłużej.

Drzwi wydały leciutki trzask, gdy je zamykał; jego kroki wkrótce ucichły na schodach. Zapadła całkowita cisza i już miałam wstać z ławeczki w wykuszu i rozchylić zasłony, kiedy drzwi łączące salon z biblioteką zostały gwałtownie otwarte i pojawił się Vere.

Długie kotary w oknie, zasłaniające mnie przed jego wzrokiem, zadrżały od przeciągu, gdy zatrzasnął za sobą drzwi. Bałam się poruszyć, a tym bardziej wyjść, byłam niemal jak sparaliżowana, a jednak znalazłam małą szparkę i zaczęłam go obserwować.

Wziął karafkę i nalał sobie wina. Opróżnił od razu cały kieliszek, nalał następną porcję, a potem osunął się na krzesło z wysokim oparciem stojące przy kominku i podparł głowę ręką. Czekałam, ledwie śmiać odetchnąć, z nadzieją że w końcu odejdzie, ale on siedział nieporuszony przed kominkiem. Zaczęłam się martwić, jak długo jeszcze zostanie. Jeśli Axel wrócił do naszego apartamentu, odkrył już, że mnie nie ma, i zaczął się zastanawiać dlaczego.

Vere skończył drugi kieliszek wina i ku mojej rozpaczycy miał zamiar nalać trzeci, gdy mu przeszkodzono. Drzwi się otworzyły i przez szparę zobaczyłam Alice.

— Co się stało? — zapytała, a jej głos brzmiał w jakiś nieokreślony sposób bardziej zdecydowanie i stanowczo niż zazwyczaj. — Co ci powiedział?

Vere usiadł z powrotem na krześle; wyglądał na załamane. W nagłym przeblysku intuicji pojęłam patrząc na nich, że z obydwójga silniejsza jest Alice.

— Niedobrze. — Napił się znowu, a ona usiadła na poręczy krzesła i objęła ramionami jego barki. — Popłacił długi, ale odmówił wyasygnowania czegoś więcej ponad konieczne wydatki. Wygląda na to, że zostałem sprowadzony do roli rządcy.

— Powtórz mi dokładnie, co mówił. — Alice miała wyraz niezwykłego skupienia na twarzy.

Nie opuścił niczego. Kiedy skończył, spojrzał w kierunku karafki na kredensie i chciał się podnieść, by nalać sobie wina, ale wzięła od niego kieliszek i napełniła go sama. Odwrócony do niej nie widział tak jak ja, że rozcieńczyła trunek wodą.

— No ale jednak wciąż mamy dach nad głową — stwierdziła wręczając mu kieliszek.

— Do czasu. — Pod wpływem wina zrobił się ponury i apatyczny. Skulony niezgrabnie na krześle, wyglądał, jakby był cieniem samego siebie.

— Wielka szkoda, że straciłeś cierpliwość i oskarżyłeś go o morderstwo.

— Nie oskarżyłem! Powiedziałem tylko...

— Tak to przyjął, prawda?

— No...

— Naprawdę powinieneś być ostrożniejszy, kochanie. Naprawdę. Nie budź upiorów. Uznali, że to Rodric zabił ojca, i niech tak zostanie. Wskrzeszanie starych uraz i złości może być dla nas niebezpieczne, a jeśli obrazisz George'a znowu...

— Miał romans z matką. Przysięgam ci. Kiedy ona patrzy na mężczyznę jak na niego w zeszłym roku... Wiem swoje. Przypuśćmy, że ojciec to odkrył, groził...

— Lepiej tego nie roztrząsaj, kochanie. Nawet jeśli twoja matka chciała go sobie wziąć za kochanka, nie masz żadnych dowodów ani na to, że tak się stało, ani na to, że zabił ojca, i nigdy ich nie zdobędziesz. Nie roztrząsaj tego, najdroższy! Kto wie, co się stanie, gdy zaczniesz wskrzeszać przeszłość... A jeżeli ktoś wie, że tamtego wieczoru wróciłeś do Haraldsdyke wcześniej, niż twierdzisz? Mówiłeś mi, że poszedłeś prosto do naszego pokoju i położyłeś się na chwilę, bo źle się czułeś, ale przecież cię nie widziałam, kochanie, prawda? Ani ja, ani nikt inny. Ale założmy, że ktoś widział, jak wślizgujesz się do domu... ojciec jeszcze wtedy żył... przypuśćmy, że ktoś szepnie o tym to tu, to tam, jeśli ty zaczniesz oskarżać George'a...

— Któż mógłby mnie widzieć? — spytał nerwowo; wino chlapnęło z kieliszka robiąc plamę na dywanie. — Nikt!

— Mary na przykład.

— Do tej pory by już to wyznała.

— Powiedzmy.

— Poza tym — uśmiechnął się z trudem — nie miałem powodu zabijać ojca.

— Nie, kochanie? Ludzie mogą myśleć inaczej. Wiedział, że to nie Rodric, tylko ty byłeś uwikłany w szmuglerkę z Francuzami.

Kieliszek wypadł z jego ręki i rozbił się na kawałeczki. Twarz Vere'a nie była już kredowobiała; przybrała kolor popiołu.

— Do końca o tym nie wiedział!

— Rodric go poinformował. Ojciec odkrył w stodole...

— Wiem! Ale podejrzewał Rodrica! Na pewno nie mnie! Myślał, że to kolejna awantura Rodrica... nie przyszłoby mu do głowy, że to przez jego skapstwo musiałem zajmować się szmuglem, żeby zdobyć pieniądze na zrealizowanie swoich planów.

— Tak, kochanie, podejrzewał Rodrica, ale on zaprzeczył. Inaczej nie kłóciliby się tak gwałtownie. Ojciec mu w końcu uwierzył, choć może niezupełnie. „Żaden z was niczego nie odziedziczy zgodnie z moim nowym testamentem!”, krzyczał. A Rodric: „Do cholery z tobą, zmieniaj sobie ten swój testament, jak ci się podoba! Nie dbam już o to!” Nie wiedział oczywiście, że dzień przedtem to się stało i wszystko należy do George'a... Sądzę, że ojciec nabrał podejrzeń od razu, gdy odkrył kontrabandę w stodole.

— Ale, mój Boże! — wykrzyknął Vere drżącym głosem. — Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?!

— Nie chciałam cię martwić, kochanie. Nie widziałam potrzeby, byś się zadręczał. Poza tym, im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Nie mam zamiaru nikomu podsuwać pomysłów, dawać powody, by cię podejrzewano o Bóg wie jakie straszliwe rzeczy, kiedy to prawie pewne, że Rodric zabił.

— Naprawdę wierzysz w jego winę?

— Był winny, kochanie. Miał motyw, znajdowali się obaj na miejscu zbrodni i kłócili zażarcie.

— Bóg jeden wie, nie kochałem zbytnio Rodrica, ale nie uważam, że był na tyle głupi, by zabić kogoś, kto stanowił dla niego źródło pieniędzy.

— Nie wiedział, że ojciec spełnił groźbę. Myślał, że wszystko odziedziczy.

— To prawda... Ale przypuśćmy, że George wiedział. On jeden zyskiwał na śmierci ojca.

— Ty także, kochanie. Gdyby żył, wydałby cię strażnikom z Rye.

— Ależ, mój Boże...

— Zostaw to, kochanie. Zrób, jak ci radzę, zostaw to, jak jest. Cokolwiek zdarzyło się w przeszłości, nie zmieni teraźniejszości... tego, że mieszkamy tu z łaski George'a i jeśli go obrazisz, ockniemy się bez dachu nad głową.

— Och Alice, Alice...! — Odwrócił się do niej w rozpacz; zobaczyłam, jak zamyka go w swoich szerokich ramionach, jakby tuliła małe dziecko, i gładzi po włosach, a on skrywa twarz na jej piersi.

— Moje drogie kochanie — powiedziała, zupełnie tak jak dziś rano do dziecka. — Moje drogie kochanie...

— Jestem zrozpaczony... czuję się niepotrzebny...

— Sz-sz-sz, nie mów takich rzeczy...

Ucichli; On wciąż do niej przytulony, ona trzymająca go w kojącym uścisku. Uniósł twarz i pocałował ją w usta. Nastrój zmienił się całkowicie; gorączkowe gesty, namiętność, jakiej nigdy dotąd nie byłam świadkiem między mężem i żoną. Odwróciłam oczy, czując się jak intruz, i w tym samym momencie doznałam uczucia straszliwego osamotnienia, zdawszy

sobie sprawę z chłodnej pustki mojego małżeństwa. Przygnębiające odkrycie; pożałowałam z całego serca, że nie umknęłam z salonu...

— Nie mogę znieść tej niepewności — odezwał się nagle Vere. — Co się stanie z dziećmi? Ty za darmo prowadzisz całe gospodarstwo, ja jestem ledwie rządcą... nie ma dla nich przyszłości, nawet jeśli tu zostaniemy. Haraldsdyke odziedziczą dzieci George'a.

— Jeśli je będzie miał — odparła Alice. — Jeśli nie, wszystko dostanie się naszym.

— Dlaczego miałyby nie mieć? Jest w dobrej formie, ma temperament, dziewczyna młoda i zdrowa. Kto wie, może nawet już jest w ciąży.

— Nie — zapewniła Alice — na pewno nie w tej chwili.

— No to będzie niedługo. — Skrył twarz w dłoniach. — Co robić? — spytał stłumionym głosem i gwałtownie, ze złością uniósł głowę. — Dlaczego przyjął spadek? Ma pieniądze i posiadłości... w Wiedniu! Czy kiedykolwiek obchodziło go Haraldsdyke? Gdyby nie szukał angielskiej dziewczyny, Haraldsdyke przesłoby na Stephena, a ja bym nim administrował aż do pełnoletności mego syna!

— Nie ma sensu teraz o tym mówić, kochanie, teraz gdy George wypełnił warunki testamentu i ogłosił, że przyjmuje spadek.

— Jeśli dziewczyna zajdzie w ciążę, to koniec naszych nadziei... Niech piekło pochłonie George'a Brandsona, życzę mu...

— Nie rozpaczaj, kochanie. Tak łatwo tracisz nadzieję... Cóż, milion rzeczy może się zdarzyć. Nawet jeśli zajdzie w ciążę, dziecko może być słabowite i umrzeć. Albo ona może poronić. Być bezpłodna. Umrzeć.

Lodowaty dreszcz zmroził mnie w ciepłym pokoju. Krew zakrzepła mi w żyłach, usta wyschły.

— Nigdy nie tracisz spokoju — powiedział Vere, a ja usłyszałam jego głos, jakby dobiegał z wielkiej odległości. — I taka jesteś rozsądna. Nie wiem, co bym bez ciebie począł, Alice. Mówię to szczerze, nie wiem, co bym począł, gdybyś nie stała przy mnie w takich chwilach jak ta...

Zaczęli się całować i na moment zapadła cisza. Spojrzałam w okno i zobaczyłam w szybie odbicie rozszerzonych oczu, niezwykle ciemnych w bladej twarzy.

— Chodźmy na górę, kochany. Czas do łóżka. Nie ma co tu dłużej siedzieć.

Wstał posłusznie. Światło padało wprost na jego twarz, wyostrowając rysy i nadając jej wymizerowany, nędzny wygląd; odwrócił się i w cieniu widziałam już tylko połyskujące jasne włosy, gdy zmierzał wraz z Alice w kierunku drzwi.

Wyszli; wreszcie zostałam sama.

Odrętwiała z napięcia, odarta z wszelkiej śmiałości po tym, co usłyszałam, usiadłam na chwilę przy kominku, by się napić wina. Ale nie powstrzymało to drżenia rąk. Zdołałam się w końcu jednak trochę pozbierać, wysliznęłam ostrożnie do holu i ukradkiem wspięłam po schodach. Korytarz na górze tonął w ciemnościach i potykając się niepewnie, dotarłam wreszcie do drzwi naszego prywatnego salonu. Otworzywszy je, doznałam ogromnej ulgi, choć byłabym się przewróciła w progu, ale niemal natychmiast zamarłam w miejscu: Esther siedziała z Axelem przy kominku i nawet mimo ogromnego zdenerwowania od razu dostrzegłam, że jest rozgniewana.

— ...takiej dzierlatki... — mówiła Esther, kiedy pojawiłam się w drzwiach.

Odwrócili się obydwójce i spojrzeli na mnie. Stałam dalej w progu i wszyscy przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

— Jesteś wreszcie, moja droga — odezwał się w końcu Axel i podszedł do mnie. — Zastanawiałem się, gdzie się podziałas. — Przyciągnął mnie do siebie i ucałował lekko w czoło.

Spoza jego pleców zobaczyłam, jak Esther przygryza wargi.

— Proszę, wybaczcie mi, ale muszę już iść — powiedziała ostrym tonem. — Dobrej nocy obojgu.

— Dobranoc, Esther — odpowiedział Axel grzecznie i przytrzymał przed nią otwarte drzwi.

Powiedziałam „dobranoc” słabym głosem, kiedy prześlizgiwała się obok nas, i nie dodałam ani słowa poza tym. Axel zamknął drzwi i zostaliśmy sami.

— Dobrze się czujesz? — zapytał natychmiast, bez wątpienia zastanawiając się, dlaczego zdecydowałam się na wędrowkę po domu, ubrana w szlafrok, z włosami luźno spływającymi na ramiona. — Wyglądasz trochę blado.

— Ja... nie mogłam zasnąć. — Wyminęłam go i poszłam do sypialni. — Postanowiłam więc zejść na dół i napić się wina, w nadziei że potem zrobię się senna.

— Znalazłaś wino?

— W jadalni stała karafka.

— Ach tak, rzeczywiście, zawsze tam stoi. Zostawiają też jedną w salonie na wypadek, gdyby ktoś miał ochotę się napić. Bliżej tam niż do jadalni — mówił idąc za mną. — Cieszę się, że przyszedł. Akurat w porę, bo czas nie płynął mi przyjemnie z Esther.

Nie śmiałam na niego spojrzeć; bałam się, by nie wyczytał z moich oczu, że wiem, co ich łączyło w przeszłości. Zdjęłam szlafrok, odwiesiłam go i po raz drugi dzisiaj wśliznęłam się do łóżka, natychmiast zamykając powieki.

— Czego chciała? — ośmieliłam się zapytać.

— Przyszło jej do głowy, że nie jest tu mile widziana i byłoby lepiej, gdyby zamieszkała w Rye. Zapewniłem ją oczywiście, że się myli.

Intuicja podpowiadała mi, że kłamie. Zresztą nadto dobrze wiedziałam, dlaczego przyszła porozmawiać z nim do naszych prywatnych pokoi i dlaczego wyszła natychmiast, gdy tylko się pojawiłam. Była zła, ale nie z tego powodu, że nie chciano jej w Haraldsdyke; nie chciał jej w sypialni. Tylko głupiec podgrzewałby w takich okolicznościach wygasły romans, a cokolwiek dałoby się powiedzieć o Axelu, głupcem nie był.

— Moim zdaniem, znudziło ją życie na wsi. Vere prawie nigdzie nie bywał zeszłego roku, a żywiołem Esther są prozione obiady i wszelkiego rodzaju towarzyskie spotkania. Mówiąc szczerze, chce zamieszkać w Rye nie dlatego, jak sądzę, że czuje się tu niemile widziana, ale marzy o tym, by wreszcie zmienić styl życia, teraz, gdy nic już jej nie stoi na przeszkodzie.

— Dlaczego miałyby się czuć niemile widziana w Haraldsdyke? — Obserwowałam go spoza rzęs. Rozbierał się powoli, uważnie przyglądając delikatnemu płótnu koszuli, czy nie nosi śladu zabrudzenia.

— Była tu panią przez ponad dwadzieścia pięć lat. Niektóre kobiety nie lubią ustępować pola młodym dziewczynom.

Sprytna wymówka. Wyjaśniała jej gniew i pośpieszne wyjście na mój widok.

— Ale dlaczego przyszła do naszego apartamentu? Wiedziała przecież, że już leżę w łóżku.

— Zorientowałem się, że cię nie ma, i stałem zastanawiając się na podeście schodów, kiedy Esther wyszła z salonu. Zapytałem ją, gdzie jesteś. Oświadczyła, że musi ze mną coś omówić na osobności, więc zaprosiłem ją tutaj. — Zdjął wreszcie koszulę i zaniósł ją do swojej ubieralni.

Leżałam całkiem nieruchomo, oczy miałam półprzymknięte, ręce i nogi zaczęły mi znów drętwieć z napięcia i sprawiać ból. Zatrważające, jak łatwo przychodziło mu wymyślanie gładkich kłamstw.

Po jakimś czasie wyszedł z ubieralni, zduślił świece i wsunął się do łóżka. Jego nogi leciutko dotknęły moich.

— Ależ jesteś zimna — powiedział przyciągając mnie do swego ciepłego ciała. — Mam nadzieję, że się nie przeziębiałaś.

— Nie... — Zapragnęłam wtulić się w niego, poczuć wreszcie bezpiecznie, świadoma, jak jestem zdenerwowana i że ogarnia mnie panika. — Axel...

— Tak, pamiętam, że nie jesteś zupełnie zdrowa.

Nie był zadowolony. Raczej wyczułam to instynktownie, niż dał mi po sobie poznać.

— Ja... przepraszam — wymamrotałam, czując się jak niezdarne, przerażone dziecko, osaczone przez nieuchwytnie nocne widziadła. — Przepraszam cię, Axel...

— Za co? — spytał. — Nie zrobiłaś przecież nic złego. Dobranoc, kochanie, śpij dobrze.

— Dziękuję — wyszeptałam, czując się ogromnie nieszczęśliwa. — Dobranoc.

Ale sen nie nadchodził. Leżałam w wielkim łożu, chłód ogarniał moje członki, stopy mi zlodowaciały; mój umysł nie był jednak odrętwiały, tak jak ciało, i im dłużej leżałam w ciszy po ciemku, tym żywiej krążyły moje myśli. Zaczęłam się wiercić, w końcu przysunęłam powolutku bliżej Axela, by się ogrzać, a wtedy on odwrócił się gwałtownie i przestraszył mnie, ponieważ myślałam, że śpi.

— Co się stało?

— Nic, zmarzłam trochę.

— Zmarzłaś! Chyba zamarzłaś! Chodź tutaj.

Poczułam się lepiej, leżąc w jego ramionach. Zaczęłam odpływać w sen, ale przebudziłam się od razu w panice; Vere, Alice i Esther przyszli do mnie we śnie, mówiąc: „Naprawdę musisz umrzeć, przecież wiesz”.

— Drogie dziecko — powiedział Axel zdumiony, gdy usiadłam w łóżku, chwytając z przestachu powietrze. — Co cię, na miły Bóg, opętało dzisiejszej nocy? — Po czym zapalił świecę i skonsternowany, przyciągnął mnie do siebie.

Miałam nerwy w takim stanie, że nie mogłam milczeć dłużej.

— Ja... ja podsłuchiłam na dole rozmowę Vere'a i Alice — wyszeptałam zdesperowana. — Oni nie chcą, żebym zaszła w ciążę... chcieliby, żebym umarła bezdzietna, a wtedy ich dzieci wszystko odziedziczą... oni chcą, żebym umarła!

— Poczekaj, poczekaj! W życiu nie słyszałem czegoś tak zagmatwanego! Moja droga, Vere i Alice mogą, co rozumiały, pragnąc Haraldsdyke dla swego potomstwa, zapewniam cię jednak, że twoja śmierć im tego nie gwarantuje. Nic nie stoi na przeszkodzie, bym ożenił się ponownie i jeszcze raz, aż do skutku... Boże święty, przebacz... W każdym

razie, gdyby mieli mordercze instynkty, w co wątpię, jedyną osobą, której chcieliby się pozbyć, jestem ja. Bo tylko ja stoję im na drodze.

Brzmiało to rozsądnie, mówił zrównoważonym tonem i poczułam wstyd, że wpadłam tak głupio w panikę.

— Ale oni nie chcą, żebym miała dzieci, Axelu...

— Pewnie nie. Nikt w ich sytuacji by nie chciał. Skoro jednak zajdziesz w ciążę, pozostanie im tylko jedno: przekląć zły los po raz kolejny.

— Ale...

— Tak? Co cię jeszcze trapi?

— Przypuśćmy... to chyba możliwe... to znaczy, myślę... czy jest konieczne, bym od razu miała dzieci? Czemu nie miałabym poczekać troszeczkę i urodzić je później?

Zapadła cisza. Na jego twarzy powoli gasł wyraz tolerancji i rozbawienia, oczy przybrały swój zwykły nieprzenikniony wyraz. Odezwał się w końcu sucho:

— W jaki sposób chciałabyś to przeprowadzić, ośmielę się spytać.

— Ja... — Twarz mnie paliła z zażenowania. — Z pewnością... są sposoby...

— Dla dziwek. Nie dla dam z twoją pozycją. Zabrakło mi słów. Leżałam sparaliżowana wstydem, żałując, że w ogóle się odezwałam.

— Nie jesteś przecież na serio przerażona tymi stwierdzeniami, które przypadkiem podsłuchałaś, prawda?

Potrząsnęłam głową bezradnie.

— Więc dlaczego nie pragniesz mieć dzieci teraz? Jest oczywiste, że dopilnuję, byś miała najlepszą opiekę medyczną i była otoczona największą troską w czasie porodu.

Wciąż nie mogłam wydobyć głosu, wzrok utkwiłam w prześcieradle.

— Pragnę dzieci — powiedział. — Wcale nie dlatego, żeby zagnieździć się w Haraldsdyke.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Użyłam całej siły woli, by nad nimi zapanować. Wreszcie byłam zdolna odezwać się, a mój głos brzmiał zimno i oficjalnie:

— Proszę, wybacz mi. Nagle poczułam się nie przygotowana do tych spraw i zbyt młoda, ale teraz rozumiem, jakie to głupie i dziecinne. Żałuję, że ci w ogóle o tym wspomniałam.

— Nie przygotowana i zbyt młoda? Powiedziałbym coś wręcz przeciwnego. Wkrótce skończysz osiemnaście lat, jesteś inteligentna, uzdolniona i zdumiewająco dorosła jak na swój wiek. Będziesz wspaniałą matką, w to nie wątpię, poza tym sądzę, że macierzyństwo to dla ciebie najlepsza rzecz. Z pewnością czujesz się od paru tygodni straszliwie samotna, a dziecko w pewnym stopniu złagodzi to uczucie.

Milczałam.

— Nie mów więc już więcej o nieprzygotowaniu i młodości. — Pocałował mnie leciutko.

Nie odpowiedziałam.

Zdusił świecę i znów zapadła ciemność. Chciał ponownie wziąć mnie w ramiona, ale odsunęłam się od niego, a on mi w tym nie przeszkodził.

Poproszę Dame Joan, czarownicę, o odpowiedni napój, a ona z pewnością powie córce i w ten sposób Vere i Alice przekonają się, że na razie nie ma powodu bać się wydziedziczenia ich potomstwa.

Będę bezpieczna, gdy tylko się o tym dowiedzą; to była ostatnia świadoma myśl, jaka przyszła mi do głowy, nim zapadłam w sen.

Rozdział 5

Zamierzałam wymknąć się niepostrzeżenie do wsi w ciągu dnia, ale okazało się to niemożliwe: zapomniałam, że Axel zaprosił Shermanów na obiad. Spędziłam cały ranek z Alice, ustalając menu, omawiając je z kucharzem, nadzorując robienie porządków i czyszczenie sreber. To wszystko kosztowało mnie sporo wysiłku, choć miałam zawsze Alice pod ręką i mogłam zapytać o radę. Kiedy minęło południe, czułam się dość znużona i ucieszyłam się, że mogę wreszcie pójść do swego pokoju i posiedzieć w samotności, nim przyjdzie czas, by zacząć się ubierać do obiadu.

Goście zjawili się punktualnie i zostałam przedstawiona panu Jamesowi Shermanowi, prawnikowi rodziny Brandsonów, mężczyźnie około czterdziestoletniemu, dżentelmenowi w każdym calu; jego żonie, pani Jamesowej; ich dwóm córkom, Evelinie i Annabelli, które patrzyły na mnie z jawną zazdrością, prawdopodobnie dlatego, że to ja, a nie one poślubiły pana na Haraldsdyke. Poznawszy je, przestałam się dziwić, dlaczego Axel szukał gdzie indziej, i z uczuciem ulgi zwróciłam się do ostatniej prezentowanej osoby, pana Charlesa Shermana, młodszego brata prawnika, niemalże rówieśnika Axela. Wkrótce nadeszli również Vere i Alice; Vere wyraźnie starał się sprawiać wrażenie spokojnego i odprężonego, Alice skromnie usuwała się w cień. Zdenerwowana Mary siedziała zapomniana w kącie. Ned wkradł się po cichutku, w nadziei że nikt nie zwróci na niego uwagi, i znikł równie niepostrzeżenie. Wielkie wejście przypadło w udziale Esther i zrobiła to wspaniale: sunąc przez pokój w blasku brylantów, spowita w czarne koronki, wylewnie witała wszystkich gości po kolei.

Mężczyźni wstali, młodszy pan Sherman prężąc się jak paw i umizgując do niej, odprowadził ją do kanapy, by zasiąść u jej boku.

— Droga Esther — odezwał się pan Sherman, a mimo uprzejmego tonu każde słowo brzmiało ostro — wyglądasz wspaniale, choć od tragedii nie minął nawet rok. Do twarzy ci w żałobie.

— W ciemnych kolorach zawsze wyglądałam dobrze — odparła Esther z olśniewającym uśmiechem. — Poza tym, nie sądzisz, że tylko młodym kobietom przystoją pastelowe kolory?

Pani Jamesowa nosiła bladożółtą suknię.

— Bardzo przepraszam, pani Brandson — odezwała się siedząca obok mnie Annabella — czy znała pani męża na długo przed ślubem?

Spróbowałam się skoncentrować na wymianie konwencjonalnych zdań, charakterystycznych dla formalnej konwersacji.

Wieczór rozwijał się w nieunikniony sposób: bezlitośnie nudno. Goście nie byli interesujący, wyglądali prowincjonalnie, rozmawiali na tematy, które w ogóle mnie nie ciekawiły — zupełnie inaczej niż na kameralnych obiadach, jakie zwykła wydawać od czasu do czasu moja matka. Perspektywa, że reszta życia upłynie mi na równie jałowych wieczorach, spędzanych w imię gościnności i rzekomo dla rozrywki, przygnębiła mnie nad wyraz.

Wreszcie wyszli, ich powóz turkocząc zjechał na drogę wiodącą przez mokradła, a ja najprędzej jak mogłam umknęłam do siebie, zrzuciłam kopnięciem wytworne satynowe pantofelki na obcasach i z irytacją krzyknęłam na Marie-Claire, by mi pomogła wyzwolić się od męczarni ciasno zasznurowanego gorsetu. Zwolniłam ją i zasiadłam w ponurym nastroju przed lustrem, by wyszczotkować włosy, gdy pojawił się Axel.

— Mam nadzieję, że wieczór przeszedł ku twemu zadowoleniu, Axelu — powiedziałam, próbując się uśmiechnąć.

— Tak, rzeczywiście — odparł spontanicznie, czego się zupełnie po nim nie spodziewałam. — Byłaś wspaniała, zrobiłaś na Shermanach ogromne wrażenie. Jestem nadzwyczaj zadowolony.

— Ja... cieszę się. — I naprawdę cieszyłam się, że udało mi się skryć znużenie. A jednak, kiedy wynurzył się wreszcie z ubieralni, zauważył niedbale:

— Bez wątpienia to musiał być bardzo nużący dla ciebie wieczór, zwłaszcza w porównaniu z olśniewającymi londyńskimi przyjęciami.

Poczułam, że się czerwienię.

— Z pewnością inny, ale nie całkiem nużący — odparłam.

— Dla mnie był. Ale po Wiedniu nawet Londyn nudzi — stwierdził i popatrzył na mnie.

Leżałam w łóżku, podparta poduszkami, nasze spojrzenia się spotkały i przez krótki moment wydało mi się, że zrodził się między nami cień porozumienia. Uśmiechnął się i ja też się uśmiechnęłam niepewnie. Przez chwilę sądziłam, że wypowie komplement, może nawet jakąś bardziej osobistą uwagę, ale on oznajmił tylko:

— Spodoba ci się Wiedeń. Z pewnością kiedyś tam wreszcie pojedziemy.

Być może sprawiło to uczucie ulgi, że nuda się skończyła, a może ów szczególny moment, gdy uśmiechając się do siebie wymieniliśmy spojrzenia, ale pożądałam go; pragnęłam ucieczki od samotności, chciałam zaznać tego, co czasem niesie małżeństwo. Dzięki obiadowi to co znane i normalne przemieszało się z koszmarami, myśli niosące obawę odpłynęły w

niebyt; nie chciałam dopuścić, by powróciły i w poszukiwaniu zapomnienia, próbując oddalić poczucie samotności, zwróciłam się bez reszty ku niemu, skryłam w jego objęciach z żarem, który musiał go zaskoczyć. Namiętność rozpala namiętność, płomień wzbudza pożar. Wiedziałam instynktownie, że zdumienie minie i nie będzie już na nic zważał, tylko na to, by nie zgasić płomienia i rozkręcić spiralę bolesnego pożądania.

Sen, gdy przyszedł, był głęboki i niezmacony; noc miała się ku końcowi i zbliżał się świt, kiedy zduszone przez długie godziny strachy, wątpliwości i obawy zakołatały do mojego umysłu. Przebudziłam się o siódmej, udręczona męczącym koszmarem, i leżałam jakiś czas, drżąc pod prześcieradłem. Czekałam, by dzień się przebudził, ale wraz z nim napłynęła znad morza mgła i osłoniła lodowym całunem mury Haraldsdyke.

Była niedziela. Brandsonowie zazwyczaj brali udział w porannej mszy w kościele w Haraldsford, więc po śniadaniu, które zjedliśmy z Axelem w naszym apartamencie, ubrałam się w stosowną do okoliczności ciemnoniebieską wełnianą suknię podróżną, chroniącą przed wilgotnym chłodem mgły.

Pogoda nie była zachęcająca. Z naszych okien ledwie mogliśmy dostrzec koniec krótkiego podjazdu, a widok na Rye i morze, który roztaczał się poza murami otaczającymi posiadłość po południowej stronie, przejmująca wilgocią biel zamazała całkowicie.

— Typowy listopadowy dzień — powiedział Axel kwaśno, spojrzawszy przez szyby, gdy zasiadał do śniadania.

Choć nie umiałabym tego jasno określić, z jakiegoś powodu czułam wobec niego skrępowanie. Wraz z koszmarem sennym, który mnie przebudził, odżyły wszystkie strachy, a poczucie jakiegokolwiek wspólnoty z

Axelem znikło; pamięć podsuwała tylko wspomnienie normalności scenerii proszonego obiadu. Byłam osobliwie zawstydzona wylewnością uczuć, jaką okazałam zeszłej nocy, a wstyd wyraziłam odrzuceniem. Wstał z łóżka ożywiony i w świetnym humorze; nigdy dotąd go takiego nie widziałam. Nie uczyniłam jednak najmniejszego wysiłku, by podtrzymać rozmowę, nie dlatego bym chciała zignorować jego względy — po prostu nie byłam w stanie odpowiedzieć tym samym. Wyczuł wreszcie mój nastrój i zamilkł.

— Dobrze się czujesz? — zapytał po pewnym czasie. — Zapomniałem, że ostatnio nie byłeś zdrowa.

— Dziękuję ci, to już minęło.

Nic więcej nie powiedział, ale wyczułam, że obserwuje mnie uważnie i w końcu, niemal zirytowana, podniosłam wzrok i spojrzałam mu prosto w oczy. Uśmiechnął się, ale odwróciłam spojrzenie. Gdy popatrzyłam na niego znowu, nie zobaczyłam na jego twarzy ożywienia; z nieprzeniknionych oczu jak zwykle nie dawało się nic wyczytać.

Kiedy skończyliśmy śniadanie, zszedł od razu na dół, ponieważ był już gotowy, a ja wezwałam Marie–Claire. Po jakimś czasie z mufką, czepkiem i redingotem w rękach, tak by nie musieć wracać przed wyjściem do kościoła, udałam się do salonu, chcąc sprawdzić, którą godzinę wskazuje szafkowy zegar.

W kominku rozpalono ogień, ale mimo to w pokoju panował chłód i czuło się wilgoć. Myślałam z początku, że jestem sama, ale potem zobaczyłam skuloną na krześle przy palenisku Mary. Wyciągnęła ręce w kierunku ciepła i gdy podeszłam bliżej, dostrzegłam ślady odmrożeń na jej dłoniach. Uśmiechnąwszy się, wymamrotała nerwowo na poły niezrozumiałe powitanie.

— Niezwykle nieprzyjemny poranek, prawda? — spytałam z roztargnieniem, siadając naprzeciwko niej. — Gdzie pozostali? Czy nie czas wychodzić do kościoła?

— Myślę, że my pierwsze jesteśmy gotowe — skonstatowała rzecz oczywistą. — Może przyszyliśmy odrobinę za wcześnie.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, każda skrepowana towarzystwem drugiej. Z oddali doszedł mnie głos Alice, usłyszałam niewyraźną odpowiedź Vere'a i gdzieś całkiem blisko rozległo się pytanie Axela:

— Polecieś, by powóz zajechał pod drzwi, Vere?

— Posłałem Neda do stajni z wiadomością.

— Chyba wszyscy się już zebrali — powiedziałam cicho do Mary i ku swemu zdumieniu zobaczyłam w jej oczach łzy.

Zorientowała się, że je dostrzegłam, poczerwieniała i otarła powieki niezręcznym gestem ręki.

— W niedzielne poranki zawsze przychodzi mi na myśl Rodric — wytłumaczyła zawstydzona. — Tak bardzo lubiłam jeździć z nim do kościoła. Nie ma... nie miał zbyt wiele uszanowania dla pastora i zawsze mnie rozśmieszył, choćym nie wiem jak była przeciwna jego żartom.

Przyjrzałam się jej z zaciekawieniem. Znowu mówiła o Rodricu w czasie teraźniejszym. Raz — zupełnie naturalne: drugi — wciąż wybaczalne; byłam jednak pewna, że nie jest to ani pierwsza, ani druga omyłka. Zastanawiając się, czy wynika to z chęci podkreślenia żalu, czy też ma zupełnie inne znaczenie, zapytałam bezceremonialnie:

— Dlaczego tak często mówisz o Rodricu, jakby nie umarł? Stale zapominasz, że należy o nim mówić w czasie przeszłym! Czy uważasz, że wciąż żyje?

Oczy jej się zrobiły okrągłe. Otworzyła ze zdumienia usta i widać było, że ma jeden ząb zepsuty. Obserwowałam ją z wzrastającym zainteresowaniem. Twarz jej poczerwieniała, oblizwała wargi i rozejrzała się gwałtownie po pokoju, jakby w obawie, że ktoś mógł się wśliznąć, gdy siedziała odwrócona do kominka, i teraz podsłuchuje. Rozejrzałam się również, ale oczywiście nikogo nie było. Spoza lekko uchylonych drzwi, sama je tak zostawiłam, dobiegały z holu słabe odgłosy stapania i urywki rozmów.

— ...najlepsze futro — mówiła Esther — całkiem zniszczone przez mole. Vere, chyba nie bierzesz dziecka...

— Stephen nie sprawia kłopotu w kościele — odparła Alice — a potem wezmę go do matki. Daj mi go, Vere. Mały skarbie...

— Gdzie twoja żona, George?

— I Mary! — podkreśliła Esther z lekką przesadą. — To dziecko zawsze się...

— Mary? — przynagliłam cichym głosem.

— On nie żyje — ledwie wymamrotała podnosząc się z trudem z krzesła. Nigdy nie słyszałam kłamstwa wypowiedzanego tak nieprzekonująco. — Nie żyje. — Stała ze spuszczoneymi oczami i niezdarnie szarpała rękawiczki.

— Nie wierzę ci — oświadczyłam, a mój głos brzmiał osobliwie twardo i ostro. — Kłamiesz. Powiedz mi prawdę.

Biedna dziewczyna, tak ją zdenerwowałam, że upuściła rękawiczki. Schyliła się po nie niezdarnie, zrozpaczona, ale ja nie miałam litości.

— A więc on żyje! — Starłam się pokonać jej wolę i widziałam, jak kruszy się pod presją mojej własnej. — Skąd wiesz? Odpowiedz! Skąd

wiesz, że tamtego dnia nie pochłonięło go bagno?! — Podniosłam głos, zdecydowana wydobyć z niej prawdę.

Przycisnęła palec do ust, konając ze strachu, że ktoś może nas usłyszeć.

— Szy... och, proszę...

— Skąd wiesz, że on nie...

— Widziałam go — prawie wyszeptała, jednocześnie dając mi znaki, żebym mówiła ciszej. — Wrócił do domu już po tym, jak George nam powiedział, że znalazł jego kapelusz i konia niedaleko mokradła.

Patrzyłam na nią uporczywie.

— Ja... czułam się taka roztrzęsiona, kiedy usłyszałam o jego śmierci... Poszłam prosto do Neda, ale on sam był zbyt zdenerwowany, by mnie pocieszyć. Usiadłam więc w pokoju Rodrica, pośród tych wszystkich rzeczy, które do niego należały, i nie mogłam uwierzyć, że umarł...

— I wtedy wrócił.

— Tak. Usłyszałam kroki i skryłam się za zasłoną, ponieważ nie chciałam, by ktokolwiek mnie zobaczył. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. I wtedy... wtedy... się zjawił. Z początku pomyślałam, że to duch... i... i... ja omal nie zemdlałam. Wszedł do pokoju, wyjął trochę pieniędzy z szuflady, spojrzął na zegarek i wyszedł. Był w środku ledwie parę sekund.

— Nie odezwałaś się do niego? Nie krzyknęłaś?

— Ja... osłupiałam... prawie straciłam przytomność z powodu szoku.

— Rzeczywiście możliwe. I co potem zrobiłaś?

— Czekałam na jego powrót.

— Przecież nie wrócił.

— To jest właśnie najdziwniejsze. Czekałam i czekałam, i czekałam, a on nie wracał. Od tamtej pory go nie widziałam.

— I nie powiedziałaś nikomu o tym, co widziałaś? Nikomu?

— Tylko George'owi.

— Axelowi? — Poczulałam, jak kolana się pode mną uginają. — Dlaczego Axelowi?

— No... wciąż myślałam i myślałam, co mam zrobić, a ponieważ to George zakomunikował nam wiadomość o jego śmierci, zdecydowałam, że jemu powiem. Ale nie uwierzył mi. Stwierdził, że to... halucynacja wywołana szokiem, i doradził, bym nikomu o Cym nie wspominała, inaczej ludzie zaczną się zastanawiać, jak te wydarzenia wpłynęły na mój rozum... Wobec tego przestałam mówić. Ale nie straciłam nadziei. Każdego dnia czekam w jego pokoju, na wypadek gdyby...

— Ale widziałaś go naprawdę, tak? — spytałam powoli. — Nie wyobraziłaś sobie tego. Widziałaś go.

Uwierzyłam w jej historię i od razu poczuła się pewniej.

— Tak. Przysięgam, że tak. Naprawdę go widziałam. Wiem, że żył wtedy, gdy George powiedział mi o jego śmierci.

Świeże powietrze wpadło do salonu; drzwi otworzyły się szerzej.

— Cóż za nonsens! — Głos Esther brzmiał szorstko. — Jakie to niegodziwe opowiadać podobne bajki, Mary Moore! Powinnaś się wstydzić!

Wzdrygnęłam się i odwróciłam, a wtedy zobaczyłam, że Esther drży na całym ciele.

— Rodric nie żyje — powiedziała i jej głos również zaczął drżeć. — Kochałam go, ale umarł i pogodziłam się z jego śmiercią, a ty... głupie, nierozsądne dziecko... wymyślasz fantastyczne bajki, że żyje, tylko po to, by

zaspokoić potrzebę doznawania dramatycznych wrażeń! — Płakała; łzy tryskały jej z oczu, dłonie przycisnęła do policzków. — Jak śmiesz mnie tak rozdrażniać...!

Nagle tuż koło niej znaleźli się Alice i Vere.

— Mamo, co się stało? O co chodzi? — dopytywał się Vere.

— Esther? — odezwał się ostro Axel zza pleców Alice. Ale Esther go nie słyszała. Schroniwszy się w ramionach Vere'a, szlochała wdzięcznie w wykwintną koronkową chusteczkę, podczas gdy biedactwo Mary, zalana łzami, zanosząc się, zapewniała, że tak wcale nie myśli, Rodric nie żyje, nie widziała, by wchodził do swego pokoju w dzień wigilijny, dała po prostu upust swym pobożnym życzeniom...

— Dosyć! — wykrzyknął Axel surowo nieprzyjemnie ostrym tonem i od razu zapadła cisza, przerywana tylko przez pociągającą nosem Mary. — Powinnaś już do tej pory zapamiętać, Mary, że nie wolno ci narzucać innym swojego wyimaginowanego świata. Ostrzegałem cię, prawda? Śnienie na jawie to egoizm, mówiąc najłagodniej... niebezpiecznie jest pobłażać samemu sobie. Esther, to dziecko nie chciało cię rozdrażnić. Wybacz jej... nie miała złej woli. Czy wszyscy są gotowi do wyjścia? Jeśli będziemy jeszcze dłużej zwlekać, straszliwie się spóźnimy.

Byliśmy wszyscy gotowi. Minęły ledwie dwie minuty i wyjechaliśmy do kościoła w Haraldsford, a podczas całego nabożeństwa nie myślałam o niczym innym, jak o tym, czy Mary kłamała czy też nie. Ostatecznie doszłam do podobnego wniosku co Axel: obraz Rodriga musiał być wytworem halucynacji zrodzonej pod wpływem przeżytego szoku. Przed wszystkim, dowodziłam samej sobie, jeśli Rodric rzeczywiście sfingował własną śmierć, nie wracałby do domu, ryzykując, że wszystko się wykryje.

Ale założmy, że wrócił; nie rozpląnął się przecież w powietrzu po tym, jak go Mary zobaczyła. A skoro żył, gdzie się podziewał? Rozum przeczył zdecydowanie romantycznym mrzonkom, że żyje. Nie, jest na pewno martwy, powiedziałam sobie. Cała ta sytuacja nie miałaby przecież najmniejszego sensu.

A jednak... minęło ledwie parę godzin i znów zaczęłam wątpić.

Moja matka była wyznania rzymskokatolickiego, ale zmienne koleje losu, gdy po ucieczce z Francji przyszło jej toczyć walkę o przetrwanie w Anglii, poważnie nadwątlily jej wiarę, nie protestowała więc, kiedy liczne niańki, guwernantki i guwernerzy, wreszcie szkoła zaszczepili mnie i Alexandrowi anglikanizm. Wyszło to nam na dobre: w tamtych czasach żywiono silne uprzedzenia wobec katolików, nawet mój ojciec, jakkolwiek nie kierował się przecież ani moralnością, ani religią, usilnie popierał Kościół anglikański i występował przeciwko temu, co określał mianem „przeklętych papistowskich głupstw”.

Mały kościół w Haraldsford należał, jak wszystkie parafialne kościoły, do protestantów, a pastor konsekwentnie kierował się zasadami anglikanizmu. Kiedy weszliśmy do środka ze starożytnego przedsionka, przylgnęły do nas oczy wszystkich z tłumu szczelnie wypełniającego wnętrze, jakby wieśniacy przybyli tu *en masse* tylko po to, by rzucić okiem na nowego pana Haraldsdyke i jego żonę. Axel prowadził nas nawą do ławki Brandsonów, patrząc prosto przed siebie, ale ja rzucałam szybkie spojrzenia na zagapione twarze, zastanawiając się, co też ci ludzie myślą. Minał niespełna rok, od kiedy Robert Brandson i Rodric przestali tutaj przychodzić. Usiadłam obok Axela i zdałam sobie wyraźniej niż kiedykolwiek sprawę, jaki skandal musiał wybuchnąć po ich śmierci: nie

kończące się plotki, spekulacje, pogłoski, powtarzane szeptem, wracające jak rykoszetem, krążące wśród całej społeczności.

W czasie mszy wydawało mi się, że czuję niemal namacalnie całe tuziny bezlitosnych oczu wpatrzonych w moje plecy, ale było to oczywiście wytworem fantazji i kiedy rzuciłam ukradkowe spojrzenie przez ramię, stwierdziłam, że nikt na mnie nie patrzy.

Zaczął się kazanie. Stephen wiercił się niezmordowanie między rodzicami i uspokoił na jakiś czas dopiero, gdy Alice wzięła go na kolana. Przypomniało mi się, że Alice zamierza go zabrać do matki po mszy, i zaczęłam się zastanawiać, czy zdołam również odwiedzić Dame Joan dzisiejszego dnia. Może po południu nadarzy się okazja, aby wyśliznąć się niepostrzeżenie z domu i wrócić do wsi. W końcu to zaledwie mila. Nie powinno to potrwać długo. A jeśli ktoś mnie zauważy, zacznie wypytywać, gdy wrócę... Powinnam przygotować jakąś wymówkę, po co wróciłam do wsi w takie zimne, mgliste popołudnie.

W czasie końcowych modlitw i błogosławieństw wsunęłam potajemnie mufkę pod ławkę. Nikt nie zauważył.

Po nabożeństwie zostaliśmy chwilę, by wymienić pozdrowienia z pastorem, a potem zasiedliśmy w powozie, nie licząc Alice, która z dzieckiem na ręku poszła do matki, i Neda; zniknął dyskretnie, kierując się do „Pod Czarnym Baranem” na kufel *ale*. Po dziesięciu minutach byliśmy w Haraldsdyke. Udało mi się skryć gołe dłonie w szerokich rękawach płaszcza, tak że nikt nie zwrócił uwagi na brak mufki, a w domu pośpiesznie podążyłam do naszych pokoi, by zmienić suknię.

Obiad podano wcześniej, po części dla pokrzepienia po mszy, po części ze względu na służących, by mieli więcej wolnego czasu. Tuż po

drugiej zasiedliśmy wszyscy w jadalni, oprócz Alice, która najwyraźniej postanowiła zostać trochę dłużej z matką.

Ned wśliznął się wkrótce potem. Sądziłam, że Axel go zgani, ale nie zwrócił na niego uwagi, nie powiedział nawet ani jednego słowa, gdy Ned przeprosił. Po raz pierwszy uderzyło mnie, jak całkowicie Esther ignoruje syna. Rozmawiała podczas obiadu z Vere'em, zmusiła nawet Axela do zamienienia paru zdań, zadała sobie trud, by się do mnie raz czy dwa odezwać, ale nie do Neda. Dołożyłam starań, by się uśmiechnąć i odpowiedzieć słodkim głosem, tłumiąc niechęć, jaką do niej czułam. Pod koniec posiłku zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście jest jakaś szansa, by się przeniosła do Rye. Była wreszcie wolna, żałoba wkrótce się kończyła, może znajdzie sobie odpowiedniego kandydata i wyjdzie za mąż powtórnie.

Obserwując ją, przypominałam sobie, co mi powiedział Ned: mąż odsunął się od niej dwadzieścia lat temu, choć nie przestali żyć pod jednym dachem. Musiała go nienawidzić. Cóż to za ulga, zostać w tej sytuacji wdową...

Alice wróciła, gdy obiad się kończył, i powiedziała, że zje z dziećmi. Esther, Mary i ja przeszłyśmy do salonu i po dziesięciu minutach opuściłam je pod pretekstem, że chciałabym godzinkę odpocząć. Schroniwszy się w swoim pokoju, zmieniłam suknię na tę, którą nosiłam rano, i na palcach zesłam schodami dla służby na dwór.

Nikt mnie nie widział.

Mgła zgęstniała tak bardzo, że szybko straciłam zarysy domu z oczu. Panowała nienaturalna cisza; mgła tłumiała wszelkie dźwięki. Bezruch otoczenia, zapadające ciemności, aura przedziwnego opuszczenia emanująca z mokradeł wkrótce wzięły we władanie moją wyobraźnię. Prawdopodobnie

dlatego wydało mi się, że słyszę za sobą czyjeś kroki. Przystanąwszy zaczęłam nasłuchiwać, ale wokół trwała głucha cisza, doszłam więc do wniosku, że to odgłos moich własnych stóp odbijał się echem w spowijającym wszystko białym całunie.

Odczułam niewymowną ulgę, gdy po kilkunastu minutach różnego marszu zobaczyłam zarysy pierwszych chat na skraju wsi, a po chwili wyłoniła się z mgły wieża kościoła w Haraldsford, przywodząc na myśl tajemniczy upiorny zamek z baśni. Poszłam pośpiesznie dalej pustą wioskową drogą; ani śladu życia, czasem smuga światła spoza zamkniętych okiennic i zapalona przed drzwiami gospody lampa. Dwie minuty później stanęłam przed chałupą Dame Joan i zapukałam nerwowo w zniszczone ze starości drzwi.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Zastukałam ponownie, czując, jak wzbiera we mnie bezrozumna panika. Drzwi się nagle otworzyły i stanęła przede mną: szeroka, mocno zbudowana, zadziwiająco oczy patrzyły z zainteresowaniem, ale nie było w nich zdumienia. Ponad jej ramieniem w słabym płomieniu tłącego się torfu dostrzegłam czyszczącego łapy czarnego kota.

— Proszę wejść, pani George'owa Brandson — powiedziała rzeczowo, jakby w fakcie, że pani na Haraldsdyke składała jej w listopadowych ciemnościach towarzyską wizytę o czwartej po południu, nie było nic dziwnego. Przez chwilę fantazja podsuwała mi przerażającą myśl, że wręcz na mnie czekała, ale zdołałam ją zdusić, zdawszy sobie sprawę z jej śmieszności.

— Dziękuję — odparłam przekraczając próg. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Ależ ani trochę. — Przysunęła do ognia drewniane krzesło, odpędzając kota. Zamiast zasyczeć i parsknąć ze złości na to lekceważenie, jak się tego na poły spodziewałam, otarł się o jej spódnicę i zamruczał rozkosznie, a gdy zasiadła naprzeciwko mnie, wskoczył jej na kolana. — Może napije się pani ziołowej herbaty, pani George'owa? — spytała głaszcząc kota szerokimi płaskimi palcami. — Rozgrzeje po spacerze.

— Nie... nie, dziękuję bardzo.

Uśmiechnęła się, a ja ze zdumieniem spostrzegłam, że źrenice tych osobliwych oczu są jak dwa czarne małe punkciki. Miała rzeczywiście dziwaczne oczy...

Odebrało mi to wszelką odwagę, poczułam, jak zalewa mnie strach i pożałowałam, że się tu w ogóle zjawiłam. Zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób stąd wyjść, by nie wyglądało to na paniczną ucieczkę, gdy się odezwała:

— Alice była jakiś czas temu razem z moim wnukiem. Śliczne dziecko.

— Tak — powiedziałam. — Istotnie.

— Wkrótce sama pani będzie miała dzieci. Bez wątpienia.

— Ja... — Słowa uwieżyły mi w gardle.

Skinęła głową dyskretnie i czekała.

Zacisnęłam gorące wilgotne dłonie na materiale sukni.

— Ciężko chorowałam latem tego roku — zmyśliłam, mając nieprzyjemne wrażenie, że doskonale wyczuwa to kłamstwo. — Wciąż jeszcze nie cieszę się najlepszym zdrowiem, a lekarze twierdzą, że powinnam na siebie uważać. Chciałabym przez krótki czas unikać ciąży.

Znowu kiwnęła głową. Blask płomienia odbił się w jej oczach, nadając im dziwny czerwony odcień. Skrzywiła usta w uśmiechu, zęby miała ostre jak u drapieżnika. Odebrało mi mowę. Przez chwilę trwała cisza, przerywana tylko mruczeniem kota na jej podółku.

— Jest pewne ziele — odezwała się wreszcie ta czarownica. — Bardzo pomocne, jeśli się wie, jak stosować. Mam akurat sporą porcję.

— Porcję?

— Przygotowałam słoiczek dla Mary Oaks z farmy Tansedge. Czternaścioro przez szesnaście lat i nie może sobie pozwolić na więcej. Robię dla niej ten wywar od trzech lat.

— I nie... i w ciągu tego czasu...

— Najmniejszego strachu, pani George'owa. Już trzy lata.

— Ja... ja rozumiem...

— Proszę wziąć ten słoiczek, a dla Mary Oaks przygotuję następny na jutro.

— Jeśli... jeśli to możliwe... Ja... mam tutaj suwerena...

— Boże panią błogosław, pani George'owa, ale cóż ja pocznę ze złotym suwerenem? Alice pilnuje, czy mi czego trzeba, a zresztą nigdy nie chodzę do Rye wydawać pieniędzy. Niech mi pani przyśle jakiś podarunek, jeśli takie pani życzenie, ale nie suwerena.

Tak więc właściwie okazało się to niesłuchanie proste. Wręczyła mi miksturę, a ja zmusiłam się, by posiedzieć jeszcze moment, jak tego wymagała grzeczność, po czym umknęłam. Kiedy znalazłam się na powietrzu, odczułam niemal fizyczną ulgę, choć nogi mi drżały, a wewnątrz dłoni miałam wciąż mokre od potu.

Poczucie winy zaczęło dręczyć mnie natychmiast po wyjściu z jej chaty. Szłam przez wieś do kościoła, czując wstyd, porażona tym, co uczyniłam. Zniżyłam się do poziomu upadłych kobiet, starając się zdobyć lekarstwo, którego użycie było niewątpliwie czymś niegodziwym i grzesznym w oczach Kościoła. Gdyby Axel to odkrył...

Zanim doszłam do świątyni, drżałam z nerwów i od wyrzutów sumienia. Zwolniłam zamek ciężkich dębowych drzwi i poszłam z ociąganiem ciemną nawą; łzy wypełniły mi oczy i potknęłam się wchodząc w ławkę Brandsonów, gdzie skryłam mufkę. Usiadłam na chwilę, by zebrać myśli. Błagałam o przebaczenie za swoją niegodziwość i z gorliwością, jakże odmienną od mej zwykłej pasywnej postawy wobec religii, prosiłam Boga o zrozumienie dla mego braku wstydu, przysięgałam, że w późniejszym okresie życia nie będę unikała dzieci, kiedy już zniknie przerażenie i niepewność, jakie żywię wobec męża.

Poczucie winy złagodniało wreszcie na tyle, że mogłam otrzeć łzy, pozbierałam się, wstałam i pomaszerowałam szybko do wyjścia. Niecierpliwym szarpnięciem ręki otworzyłam ciężkie drzwi.

Doznałam szoku, jakby ktoś wymierzył mi cios w samo serce.

W przedsionku oczekiwał na mnie nie kto inny jak mój mąż, Axel Brandson.

Mufka skrywała słoiczek od Dame Joan, ale poczułam uderzenie gorąca i moja skóra przybrała kolor jasno świadczący o nieczystym sumieniu. Krzyknęłam głośno, a potem gwałtownie zaczęłam okazywać przesadne zdumienie w nadziei, że zamaskuję tym wyraz winy na twarzy.

— Ależ mnie przestraszyłeś! — Złapałam powietrze ustami i oparłam się o framugę. — Szedłeś tu za mną?

Miał niezwykle spokojną twarz i przyglądał mi się uważnie.

— Zobaczyłem, jak wchodzisz do kościoła. Wyszedłem z domu, żeby cię poszukać.

— Och... a skąd wiedziałeś, że wyszłam?

— Esther powiedziała, że udałaś się do naszego apartamentu, ale tam zastałem tylko służącą, zdumioną, że znowu zmieniałaś suknię na wyjściową.

— Zgubiłam mufkę. Pomyślałam, że musiałam ją zostawić rano w kościele.

— Dlaczego nie wysłałaś służącego, by ją przyniósł? Odważyć się na opuszczenie murów Haraldsdyke w takie popołudnie... to nadzwyczaj niemądry pomysł, nie tylko ze względu na zimno i mgłę, ale i możliwość natknięcia się na zabłąkanego włóczęgę na drodze.

— Ja... nie pomyślałam o tym.

— Byłem straszliwie zaniepokojony.

— Przepraszam — powiedziała ulegle. — Bardzo przepraszam, Axelu.

— Dobrze, nie wracajmy już do tego. Ufam, że będziesz rozsądniejsza na przyszłość.

Sprawił, że poczułam się jak sześciolatnie dziecko. Ale nie widział, jak wychodziłam od Dame Joan, co mnie nappełniło taką ulgą, że byłam gotowa znieść bez szemrania wszelkie wymówki. Stałam więc przed nim potulnie, ze spuszczonego wzrokiem i przyznawałam, że tak, zachowałam się głupio i będę rozsądniejsza w przyszłości. W końcu opuściliśmy kościół i ruszyliśmy z powrotem wśród gęstej mgły do Haraldsdyke.

Nie wiem, czy wypowiedział choćby tuzin słów, gdy wracaliśmy, i po tym poznałam, że wciąż jest zły. Miałam też nieprzyjemne odczucie, że

jednak nie pozbył się podejrzeń, choć niczym nie dał do zrozumienia, że mi nie uwierzył. Szliśmy tak szybko, jak tylko byłam w stanie nadażyć, zmrok zdawał się skrywać nawet mgłę przed naszymi oczami i ciemność robiła wrażenie całkowicie nieprzeniknionej. Kiedy dotarliśmy do Haraldsdyke, nie było nic widać ocale od nas. Drzwi frontowych nie zamknięto jeszcze na klucz, Axel otworzył je i znaleźliśmy się w holu.

Dom był dziwnie wymarły. Zaczęłam się zastanawiać, z jakiego powodu spowija go tak nienormalna cisza, kiedy przerwało ją trzaśnięcie drzwi na górze, na podeście pojawił się Vere i zaczął pośpiesznie schodzić na dół. Nosił ubranie podróżne, twarz miał jeszcze bledszą niż zazwyczaj.

— Mary zachorowała — powiedział. — Jadę do Winchelsea po doktora Saltera.

Alice była bardzo zmartwiona.

— Wyszłam z pokoju dziecinnego po zjedzeniu obiadu z dziećmi — zwróciła się do mnie — i udałam się do salonu. Zaraz po tym, jak poszłaś do waszych pokoi. Mary siedziała skulona przy kominku, a w pokoju czuło się wilgoć, mimo że ogień płonął, zaproponowałam więc wypicie herbaty na rozgrzewkę. Sama zeszłam do kuchni, żeby polecić ją przygotować, ponieważ w niedziele staram się jak mogę oszczędzić służbie zajęć. George i Vere skończyli porto i zamierzali właśnie dołączyć do pań w salonie, kiedy spotkali w holu dziewczynę niosącą herbatę na tacy. Vere odebrał ją od niej i zaniósł na górę. George zamarudził z nami chwilę, ja nalewalam herbatę, a on wręczał każdemu filiżankę, ale zaraz potem poszedł cię poszukać. Wszyscy pozostali, poza Nedom, który zawieruszył się gdzieś jak zwykle, siedzieli dalej, pijąc herbatę.

Staliśmy przed drzwiami pokoju Mary w ciemnym korytarzu, ja wciąż w swojej ciemnej sukni podróżnej, Alice trzymała w jednej ręce migoczącą świecę, drugą położyła na klamce. Axel był w stajni; zamierzał wyperswadować Vere'owi jazdę konno do Winchelsea w tak gęstej mgle.

— Ale kiedy Mary zachorowała? — spytałam niespokojnie.

— Jakieś pół godziny później. Służąca zabrała zastawę do herbaty, żeby ją znieść na dół, i ledwie zdążyła wyjść, gdy Mary źle się poczuła i zebrało jej się na wymioty.

— I...?

— I zwymiotowała, biedne dziecko. Na dywan. Esther... matka Vere'a zdenerwowała się, jak sądzę z powodu dywanu, kiedy jednak stwierdziła, że z Mary jest naprawdę niedobrze, przeraziła się. Położyłyśmy Mary do łóżka, czuła się wciąż źle i skarżyła na ból, więc Vere zdecydował, że zaraz pojedzie po doktora Saltera.

— Mgła jest niezwykle gęsta — powiedziałam niepewnie. — A teraz, gdy noc zapadła, nie sposób cokolwiek zobaczyć.

— Tak, wiem... Wolałabym, żeby nie jechał, ale obawiam się, że musi. Biedna mała jest naprawdę chora.

— Sądzisz, że to zaraźliwe? — Od czasu gdy przyjaciel z lat dzieciennych zmarł na cholere, czułam paniczny lęk przed chorobami.

— Nie, ona często cierpi z powodu żołądka. Na pewno zjadła coś nieodpowiedniego.

Zadrzałam leciutko. Przypomniały mi się opowieści o ludziach, którzy zmarli w ciągu dwudziestu czterech godzin po gwałtownym ataku choroby objawiającej się bólem po prawej stronie ciała.

— Zmarzłaś — powiedziała Alice, fałszywie domyślając się powodu, dla którego zadrżałam. — Nie powinnaś tu stać dłużej. Idź lepiej szybko do siebie i włóż coś suchego, zanim się zaziębisz.

Posłuchałam jej rady, przyklekłam przy kominku i wyciągnawszy ręce grzałam się chwilę w ciepłe bijącym od ognia. Po pewnym czasie, gdy już zmieniłam suknię i siedziałam na krześle przy palenisku, wrócił Axel.

— Vere uparł się, że jednak pojedzie do Winchelsea — odezwał się oschle. — Wolałbym, by nie jechał, ale to chyba jedyna słuszna rzecz do zrobienia. Nie powinno mu się nic stać, jeśli będzie się trzymał drogi, a trudno z niej zboczyć, ponieważ wznosi się ponad poziom bagien. Nie przyjdzie mu przecież do głowy, tak jak Rodricowi, by przeciąć mokradła.

Umysł mi się zaćmił od nagłego żgnięcia niepokoju. Być może na wspomnienie sposobu, w jaki zginął, być może na sam dźwięk jego imienia. Zupełnie jakby to on był sprawcą dziwnego dysonansu, niewidzialną przyczyną nieszczęścia zakłętego pod dachem Haraldsdyke. Jakby wszystko zaczynało się od niego i na nim kończyło. Myślałam o nim przez ubiegły tydzień, ale dopiero ta dzisiejsza refleksja objawiła mi, jak realna wydaje się jego bujna osobowość, jak dobrze znam jego buntowniczy charakter, czar, jakim wszystkich olśniewał.

— Mary uwielbiała Rodrica — powiedziałam na głos, ale właściwie mówiłam do siebie.

— Tak, idealizowała jego osobę — stwierdził Axel z roztargnieniem. — Sądzę, że każda dziewczyna w jej wieku przechodzi taki okres.

Nagle przeżyłam to wszystko jeszcze raz. „Naprawdę go widziałam. Wiem, że żył wtedy, gdy George powiedział mi o jego śmierci”. Wszyscy stali w drzwiach, słuchając jej, a Axel ze zniecierpliwioną miną pomniejszał

znaczenie wspomnień Mary, określając je mianem halucynacji. „Tak. Przysięgam, że tak. Naprawdę go widziałam”. I nikt, nawet ja, jej nie wierzył... oprócz jednej osoby, która od razu zrozumiała, że dziewczynka zna niebezpieczną prawdę.

Wstałam na równe nogi.

— Co się stało? — Axel spojrzał zdumiony.

— Nic. Trochę się niepokoję. — Podeszłam do okna. Usta miałam spieczone. — Zastanawiam się, jak się Mary czuje — wydusiłam wreszcie, a mój głos brzmiał, jakby gardło całkiem mi wyschło.

— Chyba powinniśmy pójść i sprawdzić. — Ruszył natychmiast ku drzwiom, jakby był zadowolony, że może w ogóle coś zrobić.

Poszłam za nim, a serce tłukło mi się w klatce piersiowej.

Zbliżyliśmy się do pokoju Mary, kiedy wyszła z niego Esther. Wyglądała na niezwykle zmartwioną, była zdenerwowana.

— George — odezwała się, zignorowawszy mnie całkowicie — chyba dam jej trochę laudanum... dostałam je od doktora Saltera po śmierci Roberta, żebym mogła zasnąć. Sądzisz, że to rozsądny pomysł? Normalnie byłabym przeciwko dawaniu dziecku laudanum, ale ona ma bóle i Alice uważa, że powinniśmy złagodzić jej cierpienia...

— Pozwól, niech zobaczę to laudanum. — Skierował się za nią do sypialni, w drzwiach odwrócił się i ku mej ogromnej uldze powiedział: — Lepiej wróć do siebie, moja droga. Dam ci znać, gdybyś mogła coś pomóc.

Oddaliłam się bez słowa, obawiając się jednak, że długo nie wysiedzę w naszym saloniku. Rozmyślałam o tym, kto pił herbatę. Nie było tam tylko Neda. Vere zaniósł tacę na górę. Axel wręczał filiżanki...

Zaczęłam przemierzać niespokojnym krokiem pokój. Absurdalny, histeryczny nadmiar wyobraźni. Mary trapi lekka niestrawność. Coś jej zaszkodziło.

Tylko że Alice trzyma truciznę z muchomora na myszy w piwnicy. Być może w jakimś słoju w spiżarni. Ktoś mógł wejść i wziąć sobie tyle, ile mu było trzeba. Ktoś mógł...

Wyszłam na korytarz, w domu panowały spokój i cisza, zupełnie jak w grobowcu. Wróciłam do salonu.

Gdybym tylko nie była tak rozdrażniona, mogłabym odsunąć te melodramatyczne myśli. Ale byłam, mój umysł nie chciał się nagiąć, nie kierowałam się rozsądkiem, nawet powtarzanie sobie, że Vere przyjedzie z lekarzem, Mary dostanie coś na złagodzenie niestrawności, jutro będzie wprawdzie jeszcze słaba, ale częściowo wydobrzeje — nie pomagało.

Wieczór ciągnął się bez końca.

Poszłam wreszcie do pokoju dziewczynki, nie mogąc dłużej znieść tego stanu zawieszenia, ale nie usłyszałam nic ponad to, że jest bardzo chora. Esther przy niej siedziała. Nie odważyłam się wejść do środka. Zapukałam do drzwi, a Alice wyszła do mnie i rozmawiała przyciszonym głosem.

– George czeka na Vere'a na dole — zakończyła. — Modłę się do Boga, by lekarz niedługo przyjechał.

Minęła jeszcze godzina, nim się pojawił.

Przyjechał za późno. Mary umarła o pierwszej w nocy.

Rozdział 6

Przez kilka godzin, miotana trwogą, nie byłam w stanie nic robić. Jak odrętwiała słuchałam diagnozy lekarza: choroba, o której już przedtem mi mówiono, objawiająca się wymiotami i bólami po prawej stronie brzucha. Oszołomiona słuchałam Esther mówiącej o istnieniu jakichś bardzo dalekich krewnych Mary, o konieczności poczynienia przygotowań do pogrzebu. Axela, troszczącego się o nocleg dla lekarza, by nie musiał wracać do Winchelsea, nim mgła się podniesie. Słyszałam zegar wybijający kuranty, odgłosy zamykania drzwi, zbliżających się i oddalających kroków, a koszmar brał mnie w swoje władanie; jedyne, o czym mogłam myśleć, to że Mary zginęła, kiedy odsłoniła się przed wszystkimi, nie tylko Axelem, kiedy ujawniła, że widziała Rodrica żywego już po jego domniemanej śmierci w wieczór wigilijny na mokradłach.

O trzeciej Axel wysłał mnie do łóżka, żebym przespała się choć trochę, nim nadejdzie świt, ale nie zasnąłam nawet wtedy, gdy godzinę później on sam się położył i zapadł w niespokojny sen. Moje ciało nie chciało się odprężyć, a umysł zapaść w nieświadomość. O czwartej wstałam z łóżka, otuliłam się grubym wełnianym szalem w obawie przed zimnem i przeszłam do saloniku. Udało mi się w końcu zapalić pośród smolistych ciemności świecę i szcękając zębami usiadłam przy sekretarzyku, by napisać do Alexandra.

Jeśli dotąd nie wyjechałeś z Harrow, proszę uczynić to teraz. Nie wiem, co mam myśleć o wszystkich dziejących się tu wydarzeniach, i jestem doprawdy przestraszona. Dzisiejszej nocy umarła Mary Moore, wychowanka Roberta Brandsona, i choć lekarz stwierdził zgon z powodu

zapalenia dolnego odcinka jelita, mam powody, by przypuszczać, że ją otruto. Sądzę, że wiedziała o czymś, co się wiąże ze śmiercią zarówno Roberta, jak i Rodrica Brandsonów, coś ważnego na tyle, że ją zgładzono, nim zdołała powtórzyć swoją historię wystarczająco wiele razy, by zaczęto ją brać na serio. A jeśli tak, wówczas zabójcą Roberta Brandsona nie był wcale Rodric, tylko ktoś zupełnie inny... i nie jest to bynajmniej tak nieprawdopodobne, jak wygląda. Wszyscy mogli być winni jego śmierci, prócz może Neda, najmłodszego syna Roberta Brandsona, który w rzeczywistości nie jest jego synem; jest owocem niewierności Esther. Wszyscy bowiem mieli powód, by go zabić. Vere wplątał się w szmugiel, ponieważ potrzebował pieniędzy, by popłacić długi; jego ojciec to odkrył i zagroził mu, że doniesie strażnikom w Rye, co już samo w sobie mogło się skończyć poważnie, a co jeszcze groźniejsze, Vere zadawał się z Francuzem Delanceyem, a więc mogli mu to poczytać za zdradę stanu, skoro znajdujemy się w stanie wojny z Francją. Powszechnie uważa się, że to Rodric sprzymierzył się z Delanceyem, ale z rozmowy między Vere'em i Alice, którą podsłuchałam, jasno wynika coś przeciwnego: to Vere, nie Rodric się zaangażował.

Rodric na dobrą sprawę nie miał powodu, by dokonać morderstwa, poza jednym: ojciec, uważając, że zawinił w sprawie z Delanceyem, groził mu wydziedziczeniem. W rzeczywistości Robert Brandson już tego dokonał, zostawiając na mocy nowego testamentu wszystko Axelowi, niemniej fakt ten nie był znany ogółowi i można domniemywać, że Rodric zamordował ojca, by ten nie zdążył zmienić swej ostatniej woli. Nie sądzą jednak, by Rodric Brandson był z rodzaju mężczyzn, którzy ważą się na takie czyny. A przede wszystkim nie uważam, by wziął groźby ojca na serio. Z tego, co

wiem, Robert Brandson wrzeszczał i grzmiał straszliwie, gdy ogarnęła go furia, ale rzadko spełniał swe groźby. Nie myślę, by Rodric wierzył w realność wydziedziczenia.

Jeśli natomiast Vere wiedział, że ojciec uznał go za winnego szmuglu i zdrady, niewątpliwie miał poważny motyw: nawet gdyby Robert Brandson nie doniósł na niego w Rye (jak to zapowiadał), z pewnością pozbawiłby go wszelkich praw w testamencie. Bardzo poważny motyw dla mężczyzny obciążonego żoną i trójką dzieci, nie posiadającego ziemi ani jakiegokolwiek innego źródła dochodu.

Esther Brandson również miała motyw. Mąż odsunął się od niej przed dwudziestoma laty, jeszcze zanim urodził się Ned. To prawie pewne, że musiała go nienawidzić, tym bardziej, im mocniej ciążył jej pobyt w odizolowanym wiejskim zaciszu Haraldsdyke. Gdy go zabito, miała romans z innym mężczyzną i jest zarówno prawdopodobne, że Robert Brandson to wykrył, jak i że ona sama pomyślała o rozpoczęciu nowego życia u boku nowego kochanka po śmierci męża. Zdaję sobie sprawę z niewielkiego prawdopodobieństwa tezy, jakoby kobieta zdolna była dzierżąc kolbę karabinu zdzielić Roberta Brandsona ze skutkiem śmiertelnym, niemniej Esther jest bardzo wysoka i wygląda na niezwykle silną. Wiedziona furią mogłaby zadać cios nawet dwakroć silniejszy niż zwyczajnie.

Axel też miał motyw. Był kochankiem Esther. Poza tym dziedziczył, zgodnie z ostatnim rozporządzeniem swego ojca; fakt, który mógł być mu znany lub nie, ale jeśli tak, to z pewnością nie pragnął zmiany testamentu, ojciec zaś, dowiedziawszy się o romansie, naturalną kolejną rzeczą wyeliminowałby go jako spadkobiercę.

Każdy z nich miał również możliwość, by dokonać owego czynu. Przyjęto do powszechnej wiadomości, że Vere przebywał tego dnia do późna poza domem, tymczasem według słów Alice wrócił wcześniej, ale nikt go nie widział. Esther odkryła ciało, ale zgodnie z tym, co twierdzi Ned, który ich widział, minęło całkiem sporo czasu od momentu, gdy razem z Axelem opuścili jej pokoje i zeszli do holu, do chwili gdy rozległy się jej krzyki sygnalizujące, że zobaczyła zwłoki.

Posłuchaj jednak, co się przytrafiło Mary. Kiedy Axel wrócił tamtego dnia z wiadomością, że Rodrica musiało pochłonąć bagno, Mary w rozpacz poszła do jego, czyli Rodrica, pokoju, by posiedzieć wśród rzeczy, które go otaczały, i tam właśnie zobaczyła go we własnej osobie, wślizgującego się do wnętrza, by zabrać pieniądze, i wymykającego z powrotem. A przecież miał już wtedy nie żyć! Powiedziała o tym Axelowi, który pomniejszył znaczenie całej historii, potraktowawszy ją jako fantazję dziecka, a ona była zbyt nieśmiała, aby powtórzyć to komuś jeszcze, choć mój mąż wcale nie przekonał jej, że wszystko sobie wymyśliła. Ujawniła mi to w dniu swej śmierci, a podsluchali nas Esther, Vere, Alice i Axel, który znów przedstawił jej opowiadanie w takim świetle, że nawet ja potraktowałam je jako wytwór fantazji. Zaraz potem umarła. Sądzę, że ją otruto. Alice przechowuje gdzieś w kuchni truciznę na myszy i każdy ma do niej dostęp.

Jeśli Mary naprawdę widziała Rodrica, a teraz tak sądzą, czy oznacza to, że on wciąż żyje? Jedno jest pewne: ona go rzeczywiście widziała, nie utonął przypadkiem na bagnach, jak się uważa. A morderca najwyraźniej pragnie, by nie kwestionowano przypadkowości tej śmierci, by wina za zamordowanie ojca wciąż obarczała Rodrica. Bo gdyby uznano, że i on

został zamordowany, władze musiałyby zupełnie inaczej spojrzeć na sprawę zabójstwa Roberta Brandsona. Ale skoro tak, gdzie znajduje się ciało Rodriga Brandsona? A jeśli żyje, dlaczego nie ogłosi swej niewinności, dlaczego nie zdradza, kto jest prawdziwym mordercą? Naprawdę nie wiem, co myśleć. Nie wiem nawet na pewno, czy Axel jest mordercą, co gorsza, nie wiem na pewno, czy nie jest. Jednego tylko jestem pewna: pod tym dachem żyje zabójca i niczego bardziej nie pragnę, jak stąd uciec.

Proszę, przyjedź. Nigdy nie byłeś mi tak potrzebny i mam Cię tylko jednego.

Przeczytawszy list dwukrotnie, złożyłam go, zapieczętowałam i napisałam na wierzchu dużymi literami: "Alexander Fleury, Szkoła w Harrow, Harrow, Middlesex". Poczułam dziwną ulgę, przelawszy na papier moje najstraszliwsze obawy i najczarniejsze myśli, zostawiłam list na bibularzu, wróciłam do łóżka i wyczerpana, zapadłam niemal natychmiast w sen bez majaków.

Musiałam spać długo, bo kiedy się obudziłam, mgła znikła, a przez szparę w zasłonach wdzierało się słońce. Axela nie było.

Usiadłam. Zegar na obramowaniu kominka wskazywał jedenastą. Zapatrzyłam się w niedowierzaniu z przerażeniem na wskazówki, gdy doszły mnie głosy z sąsiedniego pokoju. Ześliznęłam się z łoża, nakryłam ciężkim wełnianym szalem i podeszłam do drzwi. Axel mówił coś do Esther. Słyszałam jego zrównoważony głos, a potem jej, wzniesiony w gniewie. Zrozumiałam, że musiało się wydarzyć coś, co ją mocno rozgniewało. Otworzyłam drzwi i zamarłam ze zdumienia, ledwie wierząc własnym oczom.

Esther trzymała w dłoni mój list do Alexandra i ku swemu przestrachowi, ale i pełna furii, zobaczyłam, że pieczęć jest złamana.

Gniew przeważył nad strachem. Niepomna na nic prócz wściekłości, wpadłam jak burza do pokoju i trzęsąc się z furii, wyszarpnęłam list z palców Esther, zanim nawet zdołała wziąć oddech, by coś powiedzieć.

— Jak śmiałaś! — Dławiło mnie w gardle, z trudem wypowiadałam słowa, złość zaślepiła mi wzrok. — Jak śmiałaś otworzyć mój list!

Otrząsnęła się z zaskoczenia w ciągu paru sekund.

— A ty?! Jak śmiałaś! — odparowała. — Jak śmiałaś wypisywać te oszczercze brudy na mój temat i to do kogo? Do ucznia! Nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził!

— Cnota to najlepsza obrona przed oszczerstwem — odparłam. — Kobieta zdolna zmieniać kochanków jak przebiegła ulicznica, zdolna jest również poniżyć się do tego stopnia, by otwierać cudze listy...

— Przestańcie, proszę... — powiedział Axel lodowato, ale Esther nie zwróciła na to uwagi. — Esther, posłuchaj mnie! Mówię ci, posłuchaj! — przemawiał do niej podniesionym głosem, dopóki nie umilkła. — Bez wątplenia moja żona źle się zachowała przekazując plotki bratu, ale twoje zachowanie było równie naganne: otworzyłaś zapieczętowaną korespondencję, nie dla ciebie przeznaczoną.

— Stale rozpisuje się do tego swojego brata! Zawsze taka skryta, tajemnicza.... nigdy jej nie ufałam. Bo kim ona jest? Córką z nieprawego łoża rozpustnika z Lancashire i podupadłej francuskiej emigrantki żyjącej jako płatna kochanka.

— Najmocniej przepraszam — odezwał się Axel — ale uwagi o nieprawym pochodzeniu i moralności brzmią w twoich ustach osobliwie nieodpowiednio, pani.

— Ja... — zaczęłam, ale przerwał mi szorstko:

— Bądź cicho.

Więc byłam.

— Udaje taką damę! — rzuciła Esther z furją. — Bez przerwy usiłuje sprawiać wrażenie, że jest dobrze wychowana!

— Bo jest, pani, lepiej niż ty kiedykolwiek byłaś, w końcu tylko osobie źle wychowanej mogłoby się zamarzyć otwieranie cudzych listów... nie, pozwól, że skończę! Jej ojciec był angielskim dżentelmenem, należącym do tej samej klasy społecznej, co twój mąż, a nie sądzę, byś kiedykolwiek kwestionowała jego wychowanie czy pochodzenie. Jej matka wywodziła się z jednej z najstarszych arystokratycznych rodzin we Francji, postawionej znacznie wyżej niż twoi przodkowie... pani. I wybacz mi, proszę, że wypowiadam się bez osłonek o kwestiach tak szczególnie delikatnych, jak pochodzenie, lecz to ty wznieciłaś dyskusję. Co się zaś tyczy nieprawego łoża, William Zdobywca, król Anglii, był bastarden, dynastia Tudorów również wywodzi się od bastarda Johna z Gaunt. Oszczędź mi więc rozmów o niższej pozycji mojej żony względem ciebie, bo w rzeczywistości jest odwrotnie i ty doskonale o tym wiesz.

Coś się we mnie otworzyło: jakaś mroczna część mego mózgu, której istnienie kryłam nawet przed sobą; otwarta rana, nigdy nie zagojona; ból, którego się zapierałam. Dokuczliwe poczucie niesprawiedliwości życia i urażona duma kogoś, kto czuje się gorszy. Coś się we mnie otworzyło i zobaczyłam stojącego przede mną mężczyznę w innym świetle — już nie

obcego sobie człowieka; wspierał mnie, bronił przed całym światem, dbał o mnie. Rana się zablizniła, mroczne cząstki mózgu, których bałam się analizować, przestały istnieć, poczucie godności i duma wróciły, silne i niezachwiane jak w czasach, gdy jeszcze niewiele wiedziałam o tym, ile dla świata znaczy pochodzenie. Ozdrowienie było tyleż całkowite, co niespodziewane, i gorące łzy napłynęły mi do oczu, odbierając mowę. Patrzyłam na niego zamglonymi oczami i czułam miłość.

Esther miała pobladłą twarz; wciąż rozgniewana, lecz jej wściekłość powściągnięto, chęć obrażenia mnie zniweczono.

— Proszę, zostaw nas samych — powiedział Axel.

Zamamrotała coś niezrozumiale, odwróciła się gwałtownie i poszła szybkim krokiem do drzwi, wyprostowana, trzymając głowę wysoko uniesioną. Drzwi się za nią zamknęły i byliśmy tylko we dwoje.

— Axelu — powiedziałam, wybuchając płaczem.

Wziął mnie w ramiona, przywarłam do jego piersi i szlochałam nie czując wstydu. Głaskał mnie po włosach, gładził palcami kark.

— No już. Cicho — odezwał się w końcu. — Sprawa nie jest aż tak tragiczna, by się pogrążyć w smutku. Wielka szkoda, że napisałaś ten list, ale Esther może podziękować sama sobie, skoro poczuła się obrażona. Nie miała prawa go otwierać, choćby nie wiem jak ci nie ufała czy nawet podejrzewała o wypisywanie głupstw.

Nie mogłam mu wyznać, że płakałam z całkiem innego powodu, ale chyba się domyślił, bo powiedział:

— Jej słowa mnie rozdrażniły. Niczego nie nienawidzę bardziej, jak dyskusji z jakimkolwiek Anglikiem lub Angielką na temat pochodzenia i pozycji. Zbyt często usiłowano mnie lekceważyć jako cudzoziemca, bym

miał okazywać cierpliwość tym, którzy chcą ustalać hierarchię ważności, kierując się ślepy m uprzedzeniem. — Pocałował mnie delikatnie w czoło i wziął do ręki otwarty list do Alexandra, który położyłam na sekretarzyku, wyrwawszy z palców Esther. — Muszę ci powiedzieć, że uważam go za szczególnie niefortunny.

Przypomniałam sobie w tym momencie, co zawarłam w liście, i groza znowu zawładnęła moim umysłem.

— Czytałeś go? — zapytałam, ledwie mogąc oddychać. — Cały?

— Esther pokazała mi partie, w których są wymienione nasze imiona. — Złożył papier i nie patrząc na mnie, schował go do portfela.

Strach i obawa ponownie mną zawładnęły. Muskuły rąk i nóg znów miałam boleśnie naprężone.

— Przepraszam, ale czy mogłabym dostać list z powrotem? — spytałam niespokojnie. — Chciałabym go jednak wysłać.

Unikał mego wzroku. Chyba pierwszy raz zobaczyłam go zażenowanego.

— Przykro mi, ale obawiam się, że nie mogę się na to zgodzić. Nie jest moim zamiarem cenzurowanie tego, co życzyłybyś sobie omówić z Alexandrem, ale w tym wypadku muszę.

Zapadła długa cisza. Krew odpłynęła mi z twarzy. Wreszcie zmusił się, by na mnie spojrzeć.

— Większość z tego, co piszesz, jest na nieszczęście prawdziwa — powiedział powoli — ale też sporo tam nieprawdy. Na przykład sądzisz, że Mary została otruta trucizną na szczury przechowywaną w kuchni. Mogę cię zapewnić, że Alice nie trzyma trucizny w kuchni. Owszem, było tak, ale gdy służąca wzięła jej trochę, by zgładzić kochankę, ojciec natychmiast rozkazał,

by przygotowywano ją na świeżo w razie potrzeby i zabronił przechowywać. Nie istnieją też niepodważalne dowody na to, że Mary rzeczywiście otruto. To prawda, można domniemywać, że ktoś uznał za konieczne ją zabić, ale nie stanowi to i nigdy nie będzie stanowiło dowodu morderstwa. I podobnie, prawdziwe jest twoje stwierdzenie, że każdy z nas miał motyw i sposobność, by pozbawić ojca życia, ale nie stanowi to dowodu... Nie możesz nawet udowodnić, że Rodric go nie zabił, a powinnaś dowieść jego niewinności, zanim zaczniesz oskarżać kogoś innego. Na razie wszelkie poszlaki wskazują na niego, a opowieść Mary, że widziała go żywego, po tym jak utonął na mokradłach, jest jednak w moim przekonaniu wytworem wyobraźni. I wreszcie, jeśli ktoś ma obowiązek wykryć mordercę mego ojca, to z pewnością nie ty, toteż z całą stanowczością nalegam, byś zaprzestała tego skrajnie niebezpiecznego śledztwa. Skoro Mary otruto, choć ani przez moment nie jestem skłonny tego przyznać, a pod naszym dachem żyje morderca, to przede wszystkim tobie samej grozi niebezpieczeństwo, jeśli nie porzucisz tych ryzykownych dociekań. Jeszcze raz stanowczo nalegam, żebyś zostawiła tę sprawę.

Nie odezwałam się. Zbyt niepewnie się czułam, zbyt zdenerwowana, za dużo wątpliwości.

— Jeśli wyślesz to do Alexandra — przekonywał — rozpalisz rzecz na nowo. Jest tylko siedemnastoletnim chłopcem, dziecinnym jak na swój wiek, i Bóg jeden wie, jakich może narobić kłopotów, gdy wpadnie w panikę i zacznie działać na oślep po otrzymaniu twojego listu. Nie ma zresztą powodu, by wcześniej wyjeżdżał ze szkoły. Przyjedzie za trzy tygodnie na Gwiazdkę i wtedy go zobaczysz.

— Za cztery tygodnie — odezwałam się.

— Trzy czy cztery to naprawdę żadna różnica. Do tego czasu wszystko będzie wyglądało inaczej. Zdaję sobie sprawę, że doznałaś szoku po śmierci Mary, ale do świąt przygnębienie minie i zapomnisz o tych wszystkich zawiłościach, które jak mylnie sądzisz, wiążą się ze śmiercią Rodrica i ojca.

Milczałam. I nagle wypaliłam gwałtownie:

— Czy Esther musi zostać w Haraldsdyke?

— Porozmawiam z nią.

Niezręczna cisza przedłużała się. Wyciągnął wreszcie niepewnie rękę i dotknął palcami mojego ramienia.

— Jest mi przykro. Naprawdę bardzo przykro, że odkryłaś nasz związek. Miałem nadzieję, że nigdy się nie dowiesz.

Odwróciłam szybkim ruchem głowę, tak by nie mógł mi popatrzeć w oczy.

— To trwało bardzo krótko. Chwila głupoty i zaślepienia, za które drogo zapłaciłem. Wyobrażałem sobie, że będzie zawstydzona tym wspomnieniem, jak ja sam, ale najwyraźniej wstyd jest jej obcy. Spróbuję dopilnować, by nie przebywała pod dachem Haraldsdyke dłużej niż to konieczne, ale obawiam się, że będzie protestować, robić trudności, choćby mi na złość, musisz więc cierpliwie poczekać, może nawet parę tygodni.

— Rozumiem — powiedziałam.

Przycisnął palce do mego policzka i zmusił mnie, bym odwróciła ku niemu twarz.

— Cokolwiek czułem do niej w przeszłości to całkowicie skończone. Mam nadzieję, że to dostrzegasz.

Kiwnęłam głową nie patrząc na niego.

— Z tego powodu jesteś taki szorstki wobec Neda — stwierdziłam nagle. — On jeden wiedział, że byliście z Esther blisko, i zawstydzą cię, że wie.

— Ned jest młodym huncwotem — oświadczył Axel śmiejąc się niewesoło. — To pewnie nie jego wina, co zresztą niczego nie zmienia. Trochę w tym prawdy, co powiedziałaś, ale mimo to utrzymuję, że jest łobuzem, któremu potrzeba dyscypliny. — Odwrócił się. — Muszę cię opuścić — oznajmił nieoczekiwanie. — Powinienem sprawdzić, czy pastor poczynił przygotowania do pogrzebu. Vere pojechał do Rye do trumniarza. Spotkamy się na obiedzie, kochanie, i błagam cię, tymczasem żadnych melodramatycznych listów do Alexandra.

I wyszedł.

Wróciłam powolutku do sypialni i stałam przez chwilę przy oknie obserwując, jak zimowe słońce rzuca plamy światła na pokryte zielenią bagno. Rye i Winchelsea na bliźniaczych wzgórzach rysowały się zwodniczo blisko.

Tak bardzo chciałam mu wierzyć. Teraz nade wszystko pragnęłam wierzyć w każde jego słowo, nie zadrećzać się już dłużej nękającymi mnie wątpliwościami i lękami. Ale nie wyjaśnił mi, dlaczego tyle czasu upłynęło od momentu, kiedy zszedł do holu udając się na spotkanie z ojcem, do momentu zanim Esther odkryła ciało i zaczęła krzyczeć. I nie pozwolił mi wysłać listu do Alexandra. I odrzucił możliwość, że Mary otruto...

Wezwałam Marie-Claire, włożyłam czarną suknię i czekałam niespokojnie, aż ułoży mi włosy. Wreszcie byłam gotowa i natychmiast zesłałam do kuchni.

Mówił prawdę o truciznie. Kucharz potwierdził, że nie trzymają jej w spiżarni od czasu historii ze służącą.

Wróciłam na górę do apartamentu.

Być może Axel miał rację i Mary nie została otruta, a być może ją jednak otruto. Jeśli tak, to skąd morderca zdobył truciznę?

Pomyślałam o Dame Joan, oddaliłam tę myśl i przywołałam ją z powrotem. Wiedziała, jak sporządzić truciznę. Axel był wczoraj po południu we wsi... widział, jak wchodziłam do kościoła... Znalazł się w wiosce, bo mnie szukał, tak twierdził. A jeśli założyć, że poszedł po truciznę? Długo siedziałam w kościele, tocząc walkę z własnym sumieniem. A jeśli zobaczywszy, jak wchodzę do kościoła, przeszedł mimo i poszedł do Dame Joan...?

Nie wierzyłam jednak naprawdę, że mógł ją zamordować. Tylko on mnie rozumiał. Nie mogłam przecież kochać mordercy. Zniknęła gdzieś zdolność logicznego myślenia, została męka niepewności, katusze zwątpienia. Strach i miłość splotły się nierozzerwalnie i wiedziałam, że znalazłam się w jeszcze gorszym położeniu niż przedtem.

Usiadłam znowu przed sekretarzykiem i napisałam krótką notatkę do Alexandra, w której nie podając powodów, błagałam go, by bez zwłoki opuścił Harrow i natychmiast przyjechał do Haraldsdyke.

Ned stał z bronią w ręku przy stajniach. Najwyraźniej zamierzał iść na polowanie.

— Czy byłbyś skłonny przejść się aż do Rye? — spytałam.

Podługne czarne oczy spojrzały na mnie z zastanowieniem. Uśmiechnął się, jakby coś ważył w umyśle.

— Dla ciebie — powiedział — poszedłbym w każde miejsce w Anglii.

— Koszałki—opałki — odparłam. — Nie chodzi mi o każde miejsce w Anglii. Chodzi mi o drogę z Haraldsdyke do Rye.

— Skoro tobie, to i mnie.

— Mógłbyś zanieść ten list do Rye i dopilnować, by pojechał dylizanssem do Londynu? I zapłacić za zanieśnienie go w Londynie do karety pocztowej jadącej do Harrow w Middlesex? Jest do mojego brata.

— Masz pieniądze?

— To powinno wystarczyć. — Podałam mu monetę.

Wsunął ją zręcznym ruchem do kieszeni i schował list za koszulę.

— To sekret — ostrzegłam go.

— Dobrze — uśmiechnął się znowu.

— Oddasz mi tę przysługę?

— Nigdy bym nie odmówił twojej prośbie. — Zabrzmiało to trochę ironicznie, nie wiedziałam więc, czy mówi całkiem serio. — Jeśli tylko czegoś potrzebujesz, wystarczy, że mnie poprosisz, przecież wiesz o tym...

Dzień dłużył się niepomiernie. Vere, zamówiwszy trumnę, wrócił z Rye, Axel przyjechał do domu z pastorem, którego trzeba było poczęstować czymś do picia, Esther pisała listy do dalekich krewnych Mary, Alice omawiała z kucharzem menu, stosowne na obiad po pogrzebie. Mnie przypadło porozmawiać z guwernantką Mary i poinformowałam ją, że dopóki nie znajdzie sobie następnej posady, może, jeśli chce, zostać przez następny miesiąc w Haraldsdyke.

Przypomniałam sobie, jak mało brakowało, bym była zmuszona podjąć pracę guwernantki, i potem spędziłam dłuższy czas na rozmyślaniu, co by się wydarzyło, gdybym odrzuciła oświadczyń Axela. Być może Mary żyłaby jeszcze... Nie prowadziło to do niczego, postanowiłam więc nie

zastanawiać się nad tym dłużej. Właściwie to wolałam nad niczym się nie zastanawiać dłużej, a już zwłaszcza nad listem do Alexandra, napisanym wbrew woli Axela i w dodatku powierzonym Nedowi.

Zaczęłam wynajdywać sobie zajęcia i starałam się bez przerwy coś robić, aż wreszcie przyszła pora, by pójść do łóżka.

Następny dzień, wtorek, przebiegał bardzo podobnie: przyjmowałam wizyty, składano mi wyrazy współczucia, dziękowałam uprzejmie, starając się zachowywać tak, jak tego po mnie oczekiwano. Dostarczono trumnę i Mary leżała wśród ciężko pachnących kwiatów w małym żółtym nigdy nie używanym saloniku. Udałam się tam, jak tego wymagał obyczaj, ale z powodu panicznego lęku przed śmiercią, który zawsze czułam, nie byłam w stanie zmusić się do spojrzenia na trumnę i umknęłam z pokoju najszybciej, jak się dało.

Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia, poszłam więc wcześniej do łóżka, by należycie wypocząć. Miałam świadomość, że jutrzejszy dzień będzie dla mnie ciężką próbą.

Przebudziłam się w środku nocy, właściwie nie wiadomo dlaczego, i dopiero gdy usiadłam w pościeli, zobaczyłam, jak zamykają się drzwi za kimś, kto się właśnie wysliznął z sypialni. Rzut oka na poduszki upewnił mnie, że to Axel. Czekałam, zastanawiając się, dokąd poszedł, minuty mijały i nie zanosilo się na to, by wrócił, podniosłam się więc z łóżka i sięgnęłam po wełniany szal.

Nie było go w sąsiednim pokoju. Ostrożnie wyszłam na korytarz; ział czarną pustką. O mało co, a wróciłabym po świecę, ale zastanowiwszy się zrezygnowałam. Nie chciałam przecież, by zobaczył mnie natychmiast, jak tylko się pojawi.

Dobrzełam do podestu i spojrzałam w dół. W holu nie było nikogo i właśnie postanowiłam wrócić do siebie, gdy dosłyszałam stłumiony odgłos końskich kopyt w oddali. Stałam bez ruchu, sądząc, że się przesłyszałam, a potem przeszłam na drugi koniec podestu, rozchyliłam zasłony i wyjrzałam w ciemność.

Księżyc nie świecił. Noc była czarna jak smoła. Ale tym razem miałam pewność: słyszałam stłumiony odgłos kopyt; jakiś koń oddalał się od domu. Czas upływał, a ja wciąż stałam przy oknie nasłuchując. W końcu jednak odwróciłam się i powędrowałam po omacku do sypialni. Byłam zdumiona. To Axel ubrawszy się pośpiesznie, osiodłał konia i pogalopował w noc; nie myliłam się co do tego chyba zbyt.

Długo leżałam czuwając, ale nie wracał. Tuż przed świtem zaczęłam odpływać w sen, gdy zdałam sobie półświadomie sprawę, że słyszę z oddali słaby odgłos końskich kopyt. Czekałam, zbyt ospała, by podjąć po raz drugi próbę dotarcia do podestu, i wreszcie Axel wśliznął się do sypialni i starając się stapać cicho, poszedł do ubieralni.

Zapadł w sen, ledwie przyłożył głowę do poduszki, jakby był całkiem wyczerpany. Miał zimne ręce i nogi, ale wkrótce się rozgrzał; zmroziło go wprawdzie zimne powietrze nocy, lecz wysiłek związany z jazdą najwyraźniej sprawił, że dokuczliwy chłód nie przeniknął go do głębi. Leżałam rozbudzona, senność zniknęła bezpowrotnie, i zastanawiałam się, gdzie spędził tyle czasu późną nocą i czy kiedykolwiek dowiem się, co naprawdę robił.

Następnego ranka był bardzo zmęczony. Widziałam, z jakim wysiłkiem wstawał z łóżka, a kiedy się ubrał i ogolił, zauważyłam cienie pod oczami i grymas zmęczenia zastygły wokół ust. Ale prawdopodobnie te

oznaki znużenia dostrzegałam wyraźnie tylko ja, wiedząc, jak krótko spał w nocy; nikt inny nie zwrócił na nie uwagi. Zresztą wszyscy byli zaprzątnięci pogrzebem.

Mary została pochowana na cmentarzu w Haraldsford. Padał deszcz. Nienawidziłam każdej chwili ceremonii przypominającej mi o śmierci rodziców. Napięcie psychiczne i to, że też przecież niewiele spałam dzisiejszej nocy, kompletnie mnie wyczerpały. Nie było jednak ucieczki. Po powrocie do Haraldsdyke należało podjąć uroczystym obiadem grono żałobników i doprawdy musiałam zebrać wszystkie siły, by zachowywać się uprzejmie i udzielać grzecznych odpowiedzi dalekim krewnym Mary, którzy zdecydowali się przybyć na pogrzeb z Hastings. Ku memu przerażeniu postanowili zostać na noc, musiałam więc dopilnować, by odświeżono pokoje, wruszono materace w łóżkach, wyjęto świeżą pościel z szafy.

Ledwie się z tym uporałam, przyszedł czas na herbatę i znów nie dano mi wytchnienia. Spędziłam ponure pół godziny z filiżanką w ręce i wreszcie udało mi się wymknąć do naszych pokoi, gdzie opadłam bezsilnie na krzesło przy kominku w saloniku, modląc się w duchu, bym już do końca życia nie musiała uczestniczyć w żadnym pogrzebie.

Gdy w drzwiach pojawił się Axel, czułam się wciąż jeszcze tak znużona, że położenie się do łóżka przekraczało moje siły.

— Jak to, nie śpisz? — spytał uszczypliwie, jakby moje zachowanie mocno go rozdrażniło. — Wymówiłaś się od towarzystwa, zdaje się, zmęczeniem?

— Właśnie ze zmęczenia nie jestem w stanie się nawet rozebrać — powiedziałam, ale on nie słuchając poszedł do innego pokoju.

Wrócił po chwili.

— Tak dla porządku — odezwał się ostrym głosem — cóż to takiego?

Odwróciłam się. Trzymał w ręce słoik od Dame Joan, który ukryłam starannie za wysoką komodą. Zerwałam się na nogi, krew napłynęła mi do twarzy, a po wyrazie jego oczu zorientowałam się, że doskonale wie, co to takiego i czemu ma służyć. Staliśmy naprzeciw siebie, patrzył ironicznie, czekając, jakie kłamstwo wymyślę, by się usprawiedliwić. Przeklęłam ten straszny dzień — jak mi się zdawało, rozwijał się tylko po to, bym wpadła w przerażającą pułapkę — gdy nagle usłyszałam kroki na korytarzu; lekkie, szybkie kroki, które tak dobrze znałam i kochałam. Znajomy kochany głos wykrzykiwał moje imię.

Cud się zdarzył. Popędziłam bez słowa ku drzwiom, z rozmachem rozwarłam je szeroko i rzuciłam się na oślep w ramiona brata.

Rozdział 7

Alexander musiał opuścić Harrow po otrzymaniu pierwszego listu, w którym dawałam do zrozumienia, że nie wszystko jest w porządku; z pewnością nie dostał jeszcze mojej ostatniej, wysłanej przez Neda wiadomości. Podróżował najszybciej, jak to było możliwe, a gdy wreszcie dotarł do Rye, zostawił bagaże i przyszedł na piechotę do Haraldsdyke. W holu powitał go Vere i oddalił się, by powiadomić nas o przyjeździe brata, ale Alexander nie czekał: wyminął go niecierpliwie i wykrzykując moje imię, popędził korytarzem, jakby się obawiał, że dotknęło mnie jakieś nieszczęście.

— Jak to wspaniale widzieć cię znowu! — Łzy napłynęły mi do oczu.
— Jak to cudownie, że przyjechałeś!

Axel był wściekły. Alexander zupełnie nie zauważył, że szwagier nie wita go z entuzjazmem, ale dla mnie oznaki były czytelne: niezwykle chłód w głosie, rozmyślnie przesadnie wyszukane maniery, nieprzenikniony wyraz oczu.

— Proszę cię, Axelu — powiedziałam, starając się nie okazywać zdenerwowania — nie czuj się w obowiązku nam towarzyszyć, wiem, jak jesteś zmęczony.

— Ależ skądże — oświadczył głosem tak lodowatym, że nie pojmowałam, dlaczego Alexander nie zwraca na to uwagi. — Nie jestem poza tym bardziej zmęczony niż ty. Pozwól, Alexandrze, że ci zaproponuję coś na odświeżenie po podróży. Musisz być zziębnięty i głodny.

Od razu zrozumiałam, że nie ma zamiaru zostawić nas samych. Ogarnęła mnie złość pomieszana z gniewem, ale Alexander powiedział miłym głosem:

— Nie, rozgrzałem się idąc tutaj, ale mimo to napiłbym się herbaty, jeśli to możliwe. Bardzo lubię herbatę, zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy pomaga mi się obudzić, często też piję ją wieczorem.

Wypiliśmy więc herbatę. Rozmowa utykała, hamowana obecnością Axela. Alexander w końcu zrozumiał ku swemu zmieszaniu, że atmosfera nie jest tak swobodna, jak powinna być.

— Czy mogłabyś pokazać mi mój pokój? — spytał zdenerwowany.

— Ja ci wskażę — powiedział Axel. — To był długi wyczerpujący dzień i twoja siostra powinna już od godziny leżeć w łóżku.

— Nie, proszę...

— Ależ ja nalegam! Przepraszam, że nie będzie to szczególnie przyjemne pomieszczenie, ale nocuje tu dziś wiele osób i wszystkie lepsze pokoje gościnne zostały zajęte. Moja droga — zwrócił się do mnie — proszę, byś zadzwoniła na Marie-Claire i natychmiast udała się na spoczynek.

Nie śmiałam dłużej protestować. Zrozumiawszy, że dziś będzie to z pewnością niemożliwe, postanowiłam porozmawiać z Alexandrem sam na sam jutrzejszego poranka; w końcu Axel nie mógł nas nadzorować w nieskończoność. Zrezygnowana, nie zadałam sobie trudu wezwania pokojówki, położyłam się jak najszybciej i gdy Axel wrócił, udawałam, że śpię; zacisnęłam powieki akurat w momencie, kiedy drzwi się otwierały.

— No dobrze, porozmawiamy o tym jutro rano — oświadczył, ignorując moje wysiłki, by wyglądać na uspioną. — Teraz chciałbym tylko

powiedzieć, że jestem nadzwyczaj niezadowolony z przyjazdu Alexandra i zamierzam odesłać go do Harrow, by jednak ukończył ten semestr... o ile oczywiście władze szkolne jeszcze go nie wydalą za samowolny wyjazd.

— Przecież mówił, że dostał pozwolenie! — Uniosłam się, ale zaraz opadłam z powrotem na poduszki. — Powiedział przełożonemu internatu, że jestem chora...

— Nie mam najmniejszego zamiaru uczestniczyć w jego kłamstwach. Jutro opuści Haraldsdyke. Opłacę mu podróż do Harrow i pozostanie tam, dopóki semestr się nie skończy.

— On nie wyjedzie!

— Obawiam się, że tak, moja droga. To ja dzierzę sakiewkę. Jeśli chce dokończyć nauki w Harrow, a potem studiować w Oxfordzie, zrobi dokładnie to, co każę.

— Ale ja tak bardzo chciałam się z nim zobaczyć... — Głos mi się załamał, nie powstrzymałam tym razem łez; zbyt byłam zmęczona i rozczarowana.

— I zobaczysz go — stwierdził. — Na Gwiazdkę.

— Ja...

— Nie ma co dłużej już na ten temat rozmawiać. A teraz, proszę cię, postaraj się zasnąć, musisz wypocząć.

Przynajmniej nie wspomniał o wywarze. Starłam się nie usnąć, żeby wymknąć się z łóżka i ostrzec Alexandra, ale jak zauważyłam, Axel również czuwał i w końcu znużenie wzięło górę. Głęboki, pozbawiony majaków sen owładnął mną całkowicie i gdy się obudziłam, wskazówki zegara pokazywały ósmą, a deszcz bębnił o szyby.

Byłam sama.

Dostrzegłszy natychmiast okazję, by spotkać się z Alexandrem, nie marnowałam czasu na ubieranie; ledwie zdążyłam złapać szal, nim wybiegłam z pokoju. Upłynęło parę sekund, a już stałam pod drzwiami najmniejszego pokoju dla gości, który jak wiedziałam, przeznaczono dla mego brata.

— Alexandrze — powiedziałam. — Alexandrze!

Spał głęboko, rozciągnięty na brzuchu, prawy policzek miał przyciśnięty do poduszki, ramię opadło z łóżka na podłogę. Obok niego stała pusta filiżanka. Axel pamiętał, pomyślałam ze zdumieniem i wdzięcznością. Pamiętał, że Alexander lubi wypić wcześniej rano herbatę.

— Alexandrze! — powtórzyłam, potrząsając nim. — Obudź się!

Ale się nie obudził. Potrząsnęłam nim jeszcze raz, nie dowierzając, leżał jednak bezwładnie jak przedtem i oddychał głośno. Niedowierzenie przerodziło się w przerażenie; przerażenie w panikę.

— Alexandrze! — krzyczałam. — Alexandrze! Alexandrze!

Spał dalej. Potrąciłam ramieniem filiżankę i kiedy wyciągnęłam rękę, by ją ustawić pewnie na spodku, poczułam, że porcelana jest wciąż ciepła. Ktoś mu przyniósł poranną herbatę, by się orzeźwił, a on przebudziwszy się, wypił ją.

A teraz nie mogłam się go dobudzić.

Byłam śmiertelnie przestraszona.

Szlochając wybiegłam z pokoju gościnnego i potykając się wpadłam do naszego apartamentu w stanie kompletnego szoku. Znalazłszy się z powrotem w sypialni, zdołałam się w końcu jakimś nadludzkim wysiłkiem opanować i ubrałam się szybko, najlepiej jak to byłam w stanie uczynić bez pomocy. Nie było czasu na układanie fryzury. Zwinęłam włosy w węzeł z

tyłu głowy, by nie wyglądać już całkiem bezwstydnie, osłoniłam je szalem i wysliznęłam się z domu schodami dla służby.

Ale nie zastałam w stajni Neda. Zobaczyłam jednego ze stajennych.

— Znajdź pana Edwina — poleciłam mu bez wahania. — Być może jest w kuchni. Powiedz, że chcę go zobaczyć.

— Tak, psze pani — wymamrotał przestraszony i zemknął.

Po pięciu długich minutach otworzyły się tylne drzwi i Ned ruszył przez podwórze w kierunku stajni. Szedł spokojnie, nie przyśpieszając kroku, niepomny na deszcz i porywisty listopadowy wiatr.

— Dzień dobry — powiedział beztrząsco, wchodząc do środka, ale gdy zobaczył moją minę, zmienił ton. — Coś nie w porządku?

— Wczoraj przyjechał mój brat. Coś mu się stało — mówiłam niespokojnie. — Nie może się obudzić, dziwnie oddycha. Proszę, zabierz mnie do Rye po doktora. Natychmiast, proszę...

— Mówiłaś o tym komuś? — Ciemne oczy rozszerzyły się.

— Jestem naprawdę przerażona. Muszę pojechać do Rye przywieźć lekarza. Proszę... nie zadawaj pytań.

— Doktor Salter mieszka w Winchelsea.

— Nie chcę lekarza rodzinnego. Jest jakiś w Rye?

— Doktor Farrell... ale nie wiem dokładnie, gdzie mieszka. Gdzieś za St Mary, chyba... Pozwól, że osiodłam konia. — Przeszedł szybko obok mnie do boksu.

Z ulgą oparłam się o ścianę.

— Ktoś może nas zobaczyć — powiedział, gdy skończył. — Nie pozostaje nam nic innego, jak wyruszyć i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Możesz usiąść za mną? Radziłbym ci jechać okrakiem, chyba że

zdecydowanie sobie tego nie życzysz. Ale to znacznie bezpieczniejsze, gdybyśmy musieli puścić się galopem.

— Dobrze.

Wdrapał się na siodło, a potem niemal podniósł mnie do góry i posadził za sobą. Był bardzo silny.

— Dobrze siedzisz?

— Tak.

Wyruszyliśmy. Nikt się nie pojawił i chyba nikt nas nie widział. Jechaliśmy drogą przez bagna, deszcz wyraźnie zelżał, a niebo na zachodzie zaczęło się przejaśniać. Zanim dotarliśmy do murów Rye, przestało padać i w słabym jesiennym słońcu zaśniła brukowana droga i krople spadające z podstrzeszy.

— Posłuchaj — powiedział Ned — nie jestem pewien, gdzie mieszka ten lekarz. Pozwól, że cię zaprowadzę do „U George'a" i poczekaś u nich, aż go znajdę. Wydaje mi się, że mieszka naprzeciwko kościoła, ale nie jestem pewien.

— Dobrze.

Zajechaliśmy do „U George'a", oddał konia stajennemu i wprowadził mnie do pokoju pełniącego rolę saloniku. Poza nami nie było w nim nikogo.

— Mam pieniądze, gdyby okazało się, że są potrzebne — powiedziałam wręczając mu monety.

Wziął je, a potem zamknął moje ręce w swoich dłoniach w taki sposób, że spojrzałam zdumiona.

— Nie tylko monetami można się odplacić — oświadczył.

Patrzyłam na niego nie rozumiejąc; mój umysł zaćmiewała obawa o Alexandra, widziałam jego twarz niedokładnie, tak że nawet nie byłam pewna wyrazu jego oczu.

— Zajmę się tobą, jeśli porzucisz George'a — usłyszałam. — Znajdę pracę i zarobię na twoje utrzymanie. Od początku wyobrażałem sobie, że jestem w jego skórze, od momentu gdy cię do nas przywiózł i zobaczyłem, jaka jesteś młoda i ładna. — I nagle objął moją talię silnymi ramionami, nachylił się i pocałował mnie w usta, a potem w policzki i szyję.

Próbowałam się odsunąć, ale wykorzystał ten ruch, by przenieść dłonie z mojej talii na piersi ze zręcznością zrodzoną przez wprawę. Wydałam przenikliwy okrzyk i zaczęłam się wykręcać, nie miałam jednak dość siły, by się uwolnić z uścisku ramion, które na powrót ciasno otoczyły moją talię. Roześmiał się, zabłysły białe zęby, czarne oczy zamgliło podniecenie; jego zachłanność, wprawa, jego zręczny język sprawiły, że nagle wspomniałam Esther i znienawidziłam go.

— Wstrętny bastardzie! — parsknęłam, śmieszna i dziecinna w bezsilnej złości.

Odrzucił do tyłu głowę, rycząc ze śmiechu.

— Przyganiał kocioł garnkowi! — wykrzyknął, po czym przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej i przycisnął wilgotne usta do moich, a toporne paluchy spoczęły tam, gdzie przenigdy leżeć nie powinny.

Skamieniałam z szoku.

Następne, co zapamiętałam, to powiew świeżego powietrza od drzwi, czyjeś ręce na gardle Neda, jego konwulsyjne drgnięcie i nagłą ulgę uwolnienia. Otworzyłam oczy.

Na bladej twarzy Axela nie malowały się żadne uczucia, ale oczy nie miały nieprzeniknionego wyrazu człowieka zamkniętego w sobie, który tak dobrze znałam. Jego oczy płonęły. Opuścił ręce, dłonie zacisnął w pięści, aż mu pobieleły. Oddychał szybko.

— Widzę, że zjawiam się nie w porę.

Ned stał przyciśnięty plecami do ściany.

— George, ona mnie poprosiła, żeby ją zabrał do Rye poszukać lekarza...

— Wynocha!

— Jej brat zachorował...

— Wynocha, zanim cię zabiję!

Ruszył niepewnie ku drzwiom, nie próbując już powiedzieć ani słowa więcej. Axel powstrzymywał się ogromnym wysiłkiem woli, by go nie uderzyć; widziałam, że aż pot wystąpił mu na czoło. Nie był jednak w stanie zapanować nad sobą i gdy Ned usiłował się koło niego prześliznąć, złapał go za ramiona, potrząsnął nim, wymierzył mu dwukrotnie policzek otwartą dłonią i wyrzucił na korytarz.

Drzwi się za nim zamknęły.

Zostaliśmy sami. Drżałam tak gwałtownie, że musiałam usiąść.

— Mówiłem ci, żebyś nie jeździła do Rye z Nedem. Tylko tyle. A gdy nie odpowiadałam, dodał:

— Sądzę, że jesteś jeszcze zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę, jakie uczucia budzisz w mężczyznach. Podejrzewam, że nie miałaś pojęcia, jak bardzo Ned cię pożądał od pierwszego momentu, gdy cię ujrzał. Jesteś zbyt młoda, by to dostrzec. Prawdopodobnie nie dostrzegasz tego nawet patrząc na mnie. Jeszcze zbyt młoda, żeby zrozumieć.

Niejasno pojęłam, że chyba próbuje usprawiedliwić moje zachowanie.

— Myślałam tylko o Alexandrze — zdołałam wyjąkać. — Wiedziałam, że Ned może mnie zabrać do Rye...

— Alexandrowi nic nie grozi. Jeden ze stajennych pojechał do Winchelsea po doktora Saltera.

— Chciałam innego lekarza...

— Doktor Salter cieszy się doskonałą reputacją.

— Ale Alexander...

— Wygląda na to, że dostał dawkę laudanum, która nie spowoduje jego śmierci. Możemy już wyjść?

— Tak, ale...

— Więc proszę, byśmy wyszli bez zwłoki.

Poszłam za nim w milczeniu na podwórze, gdzie zostawił konia.

— Ale skąd... — wymamrotałam, lecz nie dał mi dokończyć.

— Nie powinniśmy raczej o tym dyskutować tutaj — powiedział sucho. — Możemy omówić to później.

Nie chciał jednak rozmawiać nawet po powrocie do Haraldsdyke.

— Zabieram cię do twego pokoju — oświadczył — i zostaniesz tam do końca dnia. Zmęczyło mnie pilnowanie, czy nie robisz czegoś nierozsądnego, a ponieważ twoje zachowanie trudno nazwać wzorowym, nie sądzę, byś uważała za niesprawiedliwe, jeśli będę nalegał, żebyś nie wychodziła z naszego apartamentu.

— Ale Alexander...

— Alexander dojdzie do siebie bez twojej pomocy. Może zostać jeszcze przez parę dni i będziesz miała okazję narozmawiać się z nim, ile tylko zechcesz. Nie dzisiaj jednak.

— Ale... — zaczęłam. Niestety, wszedł Vere i musiałam zamilknąć.

— Moją żonę bardzo zdenerwowała choroba brata — zwrócił się do Vere'a Axel. — Chciałaby wypoczywać przez resztę dnia. Poproś Alice, niech zarządzi, by służba jej nie przeszkadzała... Będzie spała w naszych apartamentach, a ja przeniosę się do dawnego pokoju Rodrica, by zapewnić jej maksymalny spokój i umożliwić nieprzerwany wypoczynek.

Zupełnie nie zwróciłam uwagi, co Vere odpowiedział, tak byłam zażenowana otwartością, z jaką Axel poinformował go o tym, że będziemy zajmować oddzielne pokoje.

Na górze skierowałam się do tej części korytarza, która wiodła do naszego apartamentu, ale Axel położył mi rękę na ramieniu i zwrócił w inną stronę.

— Zmieniłem zdanie — odezwał się cicho. — Ty zostaniesz w pokoju Rodrica. Przyniosę ci wszystko, czego potrzebujesz.

— Dlaczego nie mogę zostać u nas? — Patrzyłam na niego zdumiona.

— Zmieniłem zdanie — powtórzył. — Bardzo mi przykro.

— Ale...

— Proszę cię! — Spostrzegłam, że zaczyna wpadać w złość. — Tak często robiłaś sobie ostatnio kpiny z moich poleceń, że tym razem muszę nalegać, byś była posłuszna. — Otworzył drzwi pokoju Rodrica i gestem wskazał mi, bym weszła. — Będę do ciebie zaglądał co parę godzin zobaczyć, czy ci niczego nie brakuje. Tymczasem radziłbym ci odpocząć. Gdyby ktokolwiek zbliżył się do tych drzwi, nie odzywaj się pod żadnym pozorem. Zrozumiałaś?

— Tak, Axelu.

— Cóż, dobrze. Zajrzę za godzinę. — I nie zwlekając już dłużej, zamknął za sobą drzwi.

Usłyszałam, jak przekręca klucz w zamku, a potem echo jego szybkich kroków, gdy szedł po korytarzu.

Mgła podniosła się znad bagien i owinęła dom białymi mackami. W miarę upływu godzin cisza gęstniała i w końcu, gdy tak siedziałam w pokoju Rodrica obserwując, jak zmierzch zapada, wydało mi się, że mogę ją słyszeć. Axel zaszedł dwukrotnie, by spytać, czy niczego nie chcę, ale nie zabawił zbyt długo, a od ostatniej jego wizyty upłynęło całkiem sporo czasu. Wstałam niespokojnie i podeszłam do okna. Biel mgły zaczęła szarzeć w ciemnościach zmierzchu. Dotknęłam palcami wielkiego biurka Rodrica i przypomniała mi się Mary, to, jak go uwielbiała, w jaki sposób o nim mówiła.

Czas ciągnął się powoli i w końcu nie byłam w stanie ocenić, która może być godzina. Zirytowana niezmierną nudą i przymusowym uwięzieniem, zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, czy jest już bardzo późno, gdy usłyszałam na korytarzu kroki i wszedł Axel z tacą.

— Jak się czujesz? — zapytał. — Przepraszam, że tak długo zwlekałem z przyniesieniem ci czegoś do jedzenia. Naprawdę miałem zamiar zjawić się wcześniej.

— Nic nie szkodzi... nie jestem głodna. — Chciałam mu zadać mnóstwo pytań, ale instynktownie czułam, że mi nie odpowie. — Axelu...?

— Tak? — Przystanął z ręką na kłamce.

— Kiedy będę mogła wyjść?

— Nie wcześniej niż jutro.

— A Alexander?

— Wciąż senny, wypoczywa w swoim pokoju. Do jutra mu przejdzie. Nie musisz się o niego martwić.

Drzwi się zamknęły; kroki stopniowo umilkły. Usiadłam na brzegu łóżka, nie tknąwszy jedzenia ani picia, usiłując zachować się jak osoba cierpliwa, pogodzona z losem, ale szybko stwierdziłam, że nie sposób znieść tak straszliwej bezczynności. Podeszłam do biurka i zaczęłam na nowo układać zawartość szuflad.

Zamierzałam się rozebrać, spróbować, czy nie uda mi się usnąć, gdy nad moją głową zaskrzypiały deski podłogi. Spojrzałam w górę. Zaskrzypiały znowu. Przysłuchawszy się uważnie stłumionym dźwiękom, rozpoznałam odgłos kroków; ktoś przemierzał w tę i z powrotem pokój nade mną.

Ale na górze nie było żadnego pokoju, tylko strych, i nikt tam nie spał.

Wzięłam świecę i podeszłam do drzwi. Zamek okazał się solidny i nie uszkodzony. Rozejrzałam się wokół bez specjalnej nadziei, a potem po raz trzeci przeszukałam szuflady biurka; niestety, nie było zapasowych kluczy, pozostawionych uprzejmię po to, bym je znalazła. Moje spojrzenie padło na nóż leżący na tacy z obiadem. Schwyciłam go, wsunęłam ostrze między drzwi i framugę i zaczęłam piłować zamek.

Nic nie pomogło.

Odstąpiłam krok do tyłu i przyjrzałam się drzwiom z rozczarowaniem. Wzięłam świecę i trzymając ją pod odpowiednim kątem, zajrzałam do dziurki od klucza. Trudno mi było zyskać pewność, ale wydawało się, że klucz wciąż tkwi na zewnątrz, Axel nie zadał sobie trudu, by go wyjąć z zamka.

Podeszłam ponownie do biurka, wyciągnęłam z szuflady dwa arkusze papieru i wsunęłam je jeden tuż przy drugim pod drzwi. Wzięłam widelec i wepchnęłam go do dziurki.

Klucz spadł na podłogę nie stawiając większego oporu. Wstrzymując oddech, schyliłam się i ostrożnie przeciągnęłam papier przez szczelinę między podłogą a dolną krawędzią drzwi i wkrótce przekonałam się, że klucz szczęśliwie nie odskoczył gdzieś daleko spadając na podłogę; sunął grzecznie ku mnie wraz z kawałkiem papieru. W sekundę później byłam wolna.

Znalazłszy się na korytarzu, zdałam sobie sprawę, że już od kilku minut kroki ucichły, ale nie marnowałam czasu na zastanawianie się nad przyczyną. Ruszyłam cichutko naprzód, wiodąc ręką po ścianie, by odnaleźć kierunek w ciemnościach; zgaszona świeca leżała porzucona w pokoju.

Dom sprawiał wrażenie uspionego, ale gdy zbliżyłam się do podestu, dostrzegłam smużkę światła z holu, a z pobliskiego salonu dobiegał niewyraźny szmer rozmów. Zawahałam się w obawie, że ktoś może stanąć w drzwiach salonu, akurat gdy będę je mijała, nie znałam jednak innej drogi do kuchennych schodów, wzięłam więc głęboki oddech i przemknęłam cichutko przez podest do korytarza otwierającego się po jego drugiej stronie.

Nikt mnie nie zobaczył. Przystanęłam nasłuchując, a serce biło mi pośpiesznie. Wszędzie panowała cisza. Poruszając się w ciemnościach odnalazłam schody i ostrożnie, stopień po stopniu, zaczęłam się na nie wspinać.

Byłam przekonana, że siedząc w pokoju Rodrica, dosłyszałam kroki Alexandra i że Axel uwięził go z jakiegoś powodu na strychu. Bo kto inny chodziłby w tę i z powrotem jak zamknięte w klatce zwierzę? Błysk

przypomnienia przywiódł mi przed oczy wyryty diamentem przez Rodrica na szybie napis upamiętniający, że uwięziono go w tym samym miejscu, gdy był chłopcem. Strych służył już zatem kiedyś jako więzienie, a jeśli moje domysły na temat tego, co skrywały mury tego domu, są słuszne, dzisiejszego wieczoru także pełnił tę funkcję.

Dotarłam do szczytu schodów i przystanąłam, by zorientować się, gdzie jestem. Zdenerwowana i podniecona, dałam niezręcznie krok naprzód, wykręciłam kostkę i oparłam się o ścianę z głuchym odgłosem. Czekałam z duszą na ramieniu, wytyżając uszy, by złowić najlżejszy dźwięk, i w pewnym momencie przysięgłabym, że słyszę, jak gdzieś dalej otwierają się i zamykają drzwi, nic się jednak potem nie wydarzyło, uznałam więc to za wytwór mojej fantazji.

Wokół panowały smoliste ciemności i pożałowałam gorzko, że nie znając drogi, nie wzięłam świecy. Wreszcie, po cichutku, ruszyłam znowu korytarzem i doszłam do miejsca, w którym zakręcał pod kątem prostym, prowadząc do innego skrzydła. Kompletna ciemność niemal zupełnie odebrała mi odwagę, skręciłam jednak i wówczas zobaczyłam cienką smużkę światła sączącego się spod drzwi w końcu korytarza. Ruszyłam chyłkiem w tamtym kierunku, przesuając dłoń przyciśniętą do zimnej ściany; oddychałam płytko i ostrożnie.

Cisza była nieogarniona. Coś mnie w niej przerażało. Więzień najwyraźniej nie podjął swego marszu w tę i z powrotem. Czy Alexander byłby zdolny przyjąć tak spokojnie uwięzienie? Mogłam go sobie wyobrazić próbującego w furii rozwalić drzwi, wrzeszczącego, by go uwolniono, ale nie siedzącego i czekającego z rezygnacją, aż to się stanie.

Przypomniały mi się nagle historie o duchach. Poczułam mrowienie pod czaszką. Panika zaczęła podstępnie brać mnie we władanie, ale zdołałam się pozbierać i ruszyłam zdecydowanie w kierunku oddalonej już teraz ledwie o parę kroków smugi światła.

Moja wyciągnięta ręka, prowadząca mnie wzdłuż ściany w stronę jej źródła, natknęła się na czyjeś palce.

Próbowałam krzyknąć, ale moje płuca wołały o powietrze, a strach zacisnął mi gardło i żaden dźwięk się z niego nie wydostał. Ktoś przycisnął mi rękę do ust i szepnął prosto do ucha:

— Ani słowa, kimkolwiek jesteś!

Drzwi obok otworzyły się i zostałam wepchnięta w półmrok rozświetlany słabym blaskiem świecy. Odwróciłam się, drżąc na całym ciele, i z niedowierzaniem otworzyłam szeroko oczy.

Mój porywacz otworzył oczy równie szeroko, zdołał jednak w końcu wydusić:

— Pani Brandson! Cóż, przepraszam panią bardzo... Charles Sherman, nieżonaty brat Jamesa Shermana, prawnika z Rye.

— Wielkie nieba! — Wciąż nie mogąc oderwać od niego wzroku, osunęłam się na nie używany zydeł stojący w pobliżu.

— Wielkie nieba, w istocie — powiedział z niepewnym uśmiechem. Oboje powoli odzyskiwaliśmy równowagę. — Zastanawiam się, które z nas jest bardziej zdumione: pani czy ja.

— To prawdopodobnie niemożliwe, by był pan bardziej zdumiony — odparłam. — Proszę mi wybaczyć, jeśli nie zabrzmiało to zbyt gościnnie, ale chciałabym zapytać, co na Boga robi pan w tę ciemną noc skryty na strychu Haraldsdyke, panie Sherman?

— Boże mój — odparł, najwyraźniej rozdarty między chęcią udzielenia wyjaśnień a obowiązkiem zachowania spisku w sekrecie. — Boże mój. — Z zakłopotaną miną podrapał się niespokojnie po głowie.

Niewiele mi to wyjaśniło.

— Spodziewam się, że chodzi o jakąś intrygę — oświadczyłam motając moją własną, by odkryć, czemu rozłożył się obozem w Haraldsdyke. — Czy to mój mąż pana tu przyprowadził? Na co pan czeka? I jak długo zamierza pozostać?

Charles Sherman odchrząknął, wyjął z kieszonki kamizelki drogocenny zegarek i spojrzał na niego z nadzieją.

— Pani mąż powinien nadejść za parę minut, pani Brandson. Gdyby była pani na tyle uprzejma, by poczekać, z łatwością objaśni pani całą sytuację, jestem o tym całkowicie przekonany.

A ja miałam całkowitą pewność, że tego nie zrobi. Okaże złość, że wydostałam się z pokoju Rodrica, nie pobłażliwość, i nie będzie chciał się wdawać w długie wyjaśnienia dotyczące jego tajemniczych poczynań.

— Panie Sherman, czy nie mógłby pan przynajmniej uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć, dlaczego spędza pan tę noc przemierzając w tę i z powrotem podłogę strychu w oczekiwaniu na mego męża? — zapytałam. — Proszę! Zdaję sobie sprawę, że ciekawość to najgorsza, a zarazem najprzykrzejsza cecha kobiet, ale...

— Ależ, ależ, pani Brandson!

— Och tak! Wiem, że będzie pan mną pogardzał, ale...

— Skądże znowu, pani Brandson, ja...

— ...ale tak się niepokoję o męża i gdyby pomógł mi pan się uspokoić... panie Sherman, doprawdy byłabym panu bardzo wdzięczna...

Zatrzepotałam rzęsami. Wrodzona dobroduszość oraz uwielbienie dla kobiecych wdzięków przyśpieszyły kapitulację.

— Proszę mi pozwolić zacząć od początku, pani Brandson — powiedział uprzejmie, sadowiąc się na brzegu stojącego naprzeciwko mnie stołu tak naturalnie, jakbyśmy odpoczywali w salonie, zabijając czas pogawędką. — Znalazłem się tutaj, jak pani słusznie zauważyła, na zaproszenie pani męża. Chcemy raz na zawsze i poza wszelką wątpliwość ustalić, kto w wigilię Bożego Narodzenia zabił Roberta Brandsona. Pani mąż wiedział to od początku, ale z sobie wiadomych powodów powstrzymywał się przed ogłoszeniem tego światu. Wymogi delikatności nie pozwalają mi się nad tym dłużej rozwodzić, mogę jednak powiedzieć, że mąż pani widział Rodriga żywego już po tym, jak pokłócił się z ojcem i pogalopował na bagna. Stąd też miał świadomość, że to nie on jest odpowiedzialny za morderstwo i że dokonano go później....

Esther, pomyślałam, Esther. Robert Brandson musiał zdybać ją z Axelem w jej pokojach. Poszedł na górę po kłótni z Rodrikiem, żeby z nią porozmawiać, i zastał Axela... w sypialni...

— Jeśli pani pozwoli, opowiem, co pani mąż robił w dniu morderstwa. Otóż między Rodrikiem i Vere'em doszło do rękoczynów, Axel zabrał więc Rodriga na polowanie na mokradłach, ponieważ sądził, że odseparowanie ich obydwu od siebie na jakiś czas będzie najlepszym wyjściem z sytuacji. Kiedy wrócili, Robert Brandson wezwał Rodriga do biblioteki.

— Ponieważ podejrzewał go, że uwikłał się w szmugiel i sprzymierzył z Delanceyem.

— Właśnie tak. Rodric powiedział potem pani mężowi...

— Przecież nie widzieli się potem!

— Och tak, pani Brandson... Trochę cierpliwości, a wszystko pani wyjaśnię. Rodric powiedział potem pani mężowi, że oskarżenia były bezpodstawne, ale kiedy zaprzeczył i chciał rzucić podejrzenie na Vere'a, rozmowa nieoczekiwanie przerodziła się w kłótnię. Rodric wyszedł i pojechał skrótem przez mokradło, a Robert Brandson, bez wątpienia mocno zdenerwowany, popędził na górę omówić sprawę z...

Esther, pomyślałam.

— ...pani mężem George'em.

Esther, pomyślałam znowu, a Axel tam był. Robert Brandson zamierzał zapytać żonę, który z dwóch synów, jej zdaniem, był winny szmuglu i konspirowania z wrogiem.

— George na niewiele jednak mu się przydał. Niemniej po jakimś czasie postanowił zejść do biblioteki, przedyskutować sprawę z ojcem jeszcze raz...

Żeby go ułagodzić, znaleźć wyjście z niebezpiecznej sytuacji, błagać o przebaczenie.

— ...i to właśnie wtedy odkrył, że Robert Brandson nie żyje — dokończył poważnym głosem Charles Sherman. — Jego pierwszą reakcją... oczywiście po żalu i przerażeniu, był przestach, że on sam lub ktoś, o kim wiedział, że jest niewinny...

Znowu Esther.

— ...może zostać posądzony o morderstwo. Wahał się przez kilka minut, próbując zdecydować, co robić, gdy pojawiła się Esther... przepraszam za moją poufałość, mówię oczywiście o pani Brandson...

Kłamco, pomyślałam, była z nim cały czas; naradzali się, co mają zrobić.

— ...i jej krzyki postawiły na nogi całą służbę i wszystkich mieszkańców domu. Rodric nasuwał się jako oczywisty pierwszy podejrzany, ale Esther nie przyjęła tego do wiadomości, był bowiem jej najukochańszym synem, i aby ją uspokoić, George pojechał go poszukać. Miał zamiar ostrzec brata i skłonić, by się ukrył, dopóki nie zyska dowodów na tożsamość prawdziwego mordercy. Jak już pani wspomniałem, George doskonale wiedział, że Rodric jest niewinny, nie mógł jednak tego ogłosić dla pewnych, dość delikatnych powodów.

— W istocie — zgodziłam się.

Rzucił mi niepewne spojrzenie i szybko odwrócił wzrok.

— A zatem — odchrząknął — pani mąż spotkał się jednak z Rodrikiem, powiedział mu o zamordowaniu ojca i o tym, że wszelkie poszlaki wskazują na niego. Rodric był gotów natychmiast wracać do Haraldsdyke, dokonać konfrontacji z osobą, którą podejrzewał o zbrodnię, ale George błagał go o rozwagę i tamten w końcu przystał na to, że pozostanie jakiś czas w ukryciu. George zaproponował upozorowanie śmierci Rodrica, a to z dwóch powodów: po pierwsze, Rodricowi będzie łatwiej opuścić kraj, jeśli wszyscy uznają, że pochłonęło go bagno; po drugie, życzeniem jego matki było oczyścić go z zarzutów i dołożyłaby wszelkich wysiłków, by tego dokonać, gdyby wiedziała, że żyje i przebywa na wygnaniu, a to z pewnością wystawiłoby ją na ogromne niebezpieczeństwo. Pani mąż powiedział mu, że zdaje sobie sprawę z okrucieństwa takiego rozwiązania, ale jednocześnie uważa je za najbezpieczniejsze, tak dla matki, jak i dla niego samego. Mąż oddalił panią Brandson od siebie wiele lat temu, o czym pani zapewne wie, miała więc

motyw, by go zabić. Gdyby zatem odwrócono podejrzenia od Rodrica, padłyby właśnie na nią...

George zaproponował bratu wyjazd do Wiednia i zaofiarował mu mieszkanie i utrzymanie pod swoim dachem. Jednocześnie zapewnił, że wróci do Wiednia, by się z nim spotkać, gdy tylko śledztwo zostanie ukończone, i w istocie opuścił Haraldsdyke najszybciej, jak wzgląd na przyzwoitość tego dozwalał, i pośpieszył za morze, choć majątek należał już wtedy do niego, oczywiście pod pewnym warunkiem, który zresztą później wypełnił poślubiając panią. Robert Brandson zdecydował przekazać mu swoje bogactwo, najwyraźniej uznawszy Vere'a za niezdolnego do zachowania rodzinnej fortuny, Rodrica zaś za zdrajcę sprzymierzonego z Delanceyem.

George nie zastał jednak Rodrica w Wiedniu. Przeprowadził poszukiwania we wszystkich kręgach społecznych, zarządził śledztwo, ale nie zyskał nawet dowodu na to, że Rodric w ogóle opuścił Anglię. Wzbudziło w nim to oczywiście poważne podejrzenia, zwłaszcza gdy przypomniawszy sobie, jak Mary Moore, biedne dziecko, przyszła do niego tuż przed wyjazdem i opowiedziała nieprawdopodobną historię, że widziała Rodrica żywego już po ogłoszeniu jego śmierci na mokradłach. Wtedy zlekceważył jej opowieść, ale teraz nasunęły mu się wątpliwości. A jeśli Rodric wrócił jednak do Haraldsdyke po tym, jak się rozstali? Zostawił wprawdzie kapelusz i konia na bagnie pozorując własną śmierć, ale wśliznął się do domu i udał do pokoi osoby, którą podejrzewał o morderstwo, by rzucić jej w oczy prawdę? A jeśli ten ktoś zdołał go zabić, ukryć ciało i potem pochować je sekretnie? By nie burzyć wygodnej dla siebie hipotezy, że Rodric spotkał śmierć przypadkiem, uciekając z miejsca zbrodni...

— Ale, panie Sherman — przerwałam mu — któż jest ową osobą podejrzaną przez Rodrica... a teraz i przez mojego męża, o zamordowanie Roberta Brandsona?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, że dotąd tego nie odgadłam, i powiedział, podkreślając słowa gestem ręki:

— A któżby jak nie pani szwagier Vere?

Płomyk świecy rozjaśniającej ciemności zadrzał, jakby tchnienie przeciągu napłynęło od okiennej framugi, ale nie było słyhać, by ktoś nadchodził. Patrzyłam na Charlesa Shermana.

— George podejrzewał go od początku. Wróciwszy do Anglii natychmiast zaczął szukać dowodów i znalazł je dwa dni temu. Jeszcze tej samej nocy przyjechał konno do Rye prosić mnie o pomoc. Obaj uznaliśmy bezsporną winę Vere'a i obmyśliliśmy plan, jak go schwytać w pułapkę. Uznaliśmy, że Vere miał wystarczające powody, aby zabić ojca: nie tylko przyszłość, jego obecna egzystencja była zagrożona, gdyby pan Brandson spełnił groźbę i zadenuncjował go straży w Rye. Tak więc milczenie ojca było dla niego sprawą życia i śmierci. Miał także możliwość i środki, żeby otruć Mary; dysponował truciznami na chwasty i preparatami użyźniającymi glebę, składował je prawdopodobnie w wielu miejscach w majątku. Mógł nasycić nimi herbatę Mary... George mi powiedział, że to on przyniósł tacę na górę.

— Prawda... A zatem pan i mój mąż planujecie...

— Zastawić skuteczną pułapkę, jak mamy nadzieję. Postanowiliśmy, że przyjadę po zmierzchu, Axel będzie czekał na mnie przy bramie i przemyci tylnymi schodami na strych, by w stosownej chwili ostatecznie udowodnić prawdziwość swych podejrzeń. Stwierdziliśmy też, że wprowa-

dzimy nasz plan w czyn dopiero po pogrzebie, ponieważ w dniu pogrzebu czeka nas zbyt wiele zajęć, tymczasem któż to się zjawia w Haraldsdyke? Pani brat Alexander! Całe przedsięwzięcie skazane na klęskę. George dobrze wiedział, że nie omieszka pani natychmiast, gdy tylko uda jej się porozmawiać z bratem na osobności, podzielić się z nim wszystkimi podejrzeniami, jakie zawarła pani w swoim niefortunnym, nigdy nie wysłanym liście. Było też dla niego pewne, że Alexander natychmiast zrobi scenę, rujnując tym samym całkowicie nasze zamiary. Pani mąż potrzebował doby zwłoki i był zdecydowany nie pozwolić na zniweczenie jego planów, gdy doprowadził już całą rzecz tak daleko. Nie było trudno nie dopuścić, byście się zobaczyli w nocy, ale kiedy nadszedł ranek, George musiał coś zrobić. Zdesperowany wziął nieco laudanum pani Brandson, poszedł do kuchni i polecił przygotować herbatę. Dolał do filiżanki laudanum i kazał lokajowi zanieść napój pani bratu.

— A ja wpadłam w panikę — powiedziałam sucho — i nie bez powodu.

— Rzeczywiście — przyznał Charles Sherman. — Nie bez powodu. George pojechał za panią do Rye, ale przedtem zostawił ten pani nieszczęsny list w bibliotece, gdzie jak wiedział, Vere z pewnością go znajdzie; pani szwagier ma zwyczaj zasiadać na godzinę przed obiadem w bibliotece, by załatwić korespondencję związaną z prowadzeniem majątku lub poczytać gazetę. Przywiózłszy panią do domu, George pośpieszył powiedzieć Vere'owi, by poinformował Alice, że dzisiaj będzie pani spała sama. Umieściwszy panią dla jej własnego bezpieczeństwa w dawnym pokoju Rodrica, wrócił do biblioteki i przekonał się, że list nie leży dokładnie tam, gdzie go położył, nie ma też włosa, który na nim umieścił.

Zatem Vere go widział, to było oczywiste. Mieliśmy pewność, że skoro go przeczytał, uznał panią za osobę, która wie zbyt wiele, by on mógł spać spokojnie. Szczególnie niebezpieczny musiał mu się wydać fakt, że wie pani o jego związkach z Delanceyem, jak pani bowiem pamięta, nie jest to powszechnie znane. Uważa się Rodrica, nie Vere'a za szmuglera i zdrajcę. Sądzymy, że Vere będzie próbował panią zamordować i zrzucić winę na pani męża. Jeden ze służących widział panią odjeżdżającą z Nedom do Rye. Wkrótce stanie się to wszystkim wiadome, reputacja Neda jest znana; mąż zabił panią kierowany furją, tak się będzie uważać.

— To znaczy... — Otworzyłam szeroko oczy.

— Ale przecież nie śpi pani u siebie, jak się Vere spodziewa. Jest pani bezpieczna na strychu w moim towarzystwie, choć pani mąż zamierzał zapewnić jej bezpieczeństwo za zamkniętymi drzwiami pokoju Rodrica.

Już go nie słuchałam. Słyszać było czyjeś kroki na korytarzu, lekkie stłumione stąpanie, drzwi się otworzyły i Axel we własnej osobie wszedł do środka.

Wstałam, straszliwie zmieszana, i zaczęłam w myślach gorączkowo szukać usprawiedliwienia. Axel zobaczywszy mnie, pobladł ze zdumienia, a potem zrobił się biały z wściekłości, zanim jednak zdołał się odezwać, pośpieszył mi na odsiecz Charles Sherman.

— George, bardzo żałuję, ale to moja wina. Twoja żona mnie usłyszała i przyszła na górę sprawdzić kto to. Uznałem za stosowne opisać jej pokrótce sytuację, licząc na to, że zechce nam pomóc, zachowując się jak najbardziej dyskretnie i jak najciszej. Obawiałem się, że pozostawiając ją w nieświadomości, dam jej słuszne prawo do głośnego uskarżania się na moją niechcianą obecność w jej własnym domu.

Axel był zbyt inteligentny, by zadawać mi zgryźliwe pytania czy robić wymówki w obecności obcej osoby. Odwrócił wzrok i zobaczyłam, jak jego twarz przybiera całkowicie opanowany wyraz; odsunął włosy do tyłu, jakby tym krótkim gestem chciał dać ujście hamowanej furii.

— Przepraszam, że wyszłam z pokoju, Axelu — powiedziałam nerwowo — ale usłyszałam kroki i doszłam do wniosku... błędnego, teraz wiem, że to Alexander. Chciałam z nim porozmawiać...

— Niedobrze się stało — stwierdził nawet na mnie nie spojrzawszy — ale jesteś tutaj i nic nie mogę zrobić, by to zmienić czy naprawić. Wszystko przygotowane — zwrócił się do Charlesa Shermana — i wszyscy się już rozeszli do swoich pokoi. Powinniśmy bez zwłoki zająć nasze pozycje.

— Co proponujesz?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, byś zaczął się w naszym apartamencie i skrył w ubieralni sąsiadującej z sypialnią. Ja zaczekam u szczytu schodów i będę mógł zablokować mu drogę ucieczki do salonu. W ten sposób osaczymy go z obu stron.

— W Bogu nadzieja, George, że twój plan się powiedzie. Ale jeśli nie przeczytał listu? Albo nie zareaguje tak, jak się spodziewamy?

— Musi — oświadczył Axel dobitnie. — Zabił trzy razy; dwukrotnie po to, by nie przypisano mu pierwszego morderstwa. Nie przestanie teraz. Lepiej nie traćmy czasu.

— W istocie. Chodźmy natychmiast.

— Wygląda na to, że nie mogę ci ufać, jeśli nie mam cię w zasięgu wzroku — stwierdził Axel sarkastycznie, zwracając się do mnie. — Lepiej będzie, gdy pójdziesz ze mną.

Charles Sherman przystanął w drzwiach mocno zaniepokojony.

— Ależ George — zaczął, ale nie dano mu dokończyć.

— Wolę wiedzieć, co robi moja żona — oznajmił Axel, wciąż na mnie nie patrząc — niż ryzykować, że znów zaczniesz samotną wędrówkę po domu i zniweczy nasz starannie przygotowany plan.

Nic nie powiedziałam. Za bardzo czułam się upokorzona, by się sprzeczać, a poza tym jego brak zaufania był uzasadniony.

— Tylko pamiętaj — powiedział spokojnie, kiedy Sherman wyszedł już na korytarz — masz być zupełnie cicho i robić dokładnie, co ci powiem. Nie wiem, ile ci Charles wyjawiał, ale...

— Wszystko, co nie sprzeciwiało się, jak to określił, wymogom delikatności.

— W takim razie rozumiesz chyba, jak istotne jest, by nic nie przeszkodziło nam w zastawieniu pułapki. Mogę, jak sędzę, mieć nadzieję, że nie zaczniesz krzyczeć, cokolwiek by się zdarzyło.

Obiecałam pokornie pod żadnym pozorem nie wydać ani dźwięku.

Ruszyliśmy korytarzem. Axel szedł, osłaniając ręką płomyk świecy, tak że rozpoznawałam drogę bez kłopotu. U szczytu kuchennych schodów zgasił ją jednak i zostawił lichtarz na podłodze.

— Idź tuż za mną — wyszeptał. — Kierujemy się ku podestowi. Jeśli się obawiasz, że nie nadażysz albo się zgubisz w ciemności, złap połę mego fraka i nie puszczaj.

Uśmiechnęłam się, ale oczywiście nie mógł tego widzieć w mroku. Zaczęliśmy schodzić w dół; jedną rękę trzymałam na poręczy, drugą ścisnęłam połę fraka, jak to zasugerował, i wkrótce znaleźliśmy się w niżej położonym korytarzu. W chwilę później staliśmy na podeście i zrobiło się jakby trochę jaśniej, prawdopodobnie dlatego, że w holu było wiele okien,

mogliśmy więc rozróżnić, choć niewyraźnie, kształt klatki schodowej. Axel zaprowadził mnie do wysokiego okna przy końcu podestu i ukryliśmy się za obfitymi zasłonami.

Czekaliśmy długo. W pewnym momencie zachwiałam się na nogach. Axel zeszywniał.

— Chyba nie zamierzasz zemdleć?

Spojrzałam chłodno na niewyraźnie majaczący przede mną owal jego twarzy.

— Nigdy nie mdleję.

Ale przecież zaczęłam drżeć i zachwiałam się nie dlatego, że długo staliśmy w uciążliwej pozycji; byłam podekscytowana, zdenerwowana i przerażona. Oparłam się o okno, usiłując odzyskać panowanie nad sobą, a gdy wreszcie byłam zdolna stanąć prosto, znowu poczułam, że Axel sztywnieje u mego boku. Idąc za jego przykładem, zerknęłam przez niewielką szczelinę w zasłonie.

Zamarłam.

Niewyraźny kształt, osłonięty długą białawą szatą, wyłonił się bezszelestnie z ciemnego korytarza i przeciął podest kierując się ku schodom. Osiągnął hol i zniknął. Doszedł nas dźwięk otwierania i zamykania drzwi gdzieś w głębi domu.

Zastanawiałam się, w którym pokoju zniknęła ta zjawą, ale nie śmiałam zapytać w obawie złamania absolutnej ciszy. Wreszcie gdzieś w głębi domu drzwi znowu się otworzyły i zamknęły, białawy kształt pojawił się w holu i zaczął bezszelestnie kroczyć w naszym kierunku po schodach.

Stałam jak wykuta z kamienia. Wydawało mi się, że tylko serce porusza się w moim ciele, tłukąc o żebra z przerażającą gwałtownością.

Byłam świadoma jednego: oto morderca kroczący na spotkanie ofiary. A tym, kogo ma zabić, jestem ja.

Biaława postać dotarła do podestu. Oddychaliśmy oboje płytko, czekając w bezruchu za leciutko rozchyłonymi zasłonami. Postać przeszła obok i skierowała się korytarzem ku naszemu apartamentowi. Niosła broń, jedną ze strzelb używanych do polowań, taką samą, jak ta, którą zgładzono Roberta Brandsona.

— Idź za mną. — Axel wypowiedział to polecenie tak cicho, że wydało mi się ledwie myślą.

Ruszył naprzód bezszelestnie.

Drzwi do apartamentu stały otworem. Coś białawego zamajaczyło w drzwiach sypialni, zasłaniając na krótki moment lampę płonącą obok okna. Dawała niepewne światło, właściwie słaby poblask, ale wydało mi się, że ktoś śpi w łóżku. Patrzyłam, jak biaława postać unosi broń i zaczyna wymierzać ciosy bezkształtnej sylwetce.

Przycisnęłam dłoń do ust. Stałam, z przerażenia niezdolna, by się poruszyć. Axel wyminął mnie, a jednocześnie otworzyły się powoli drzwi ubieralni i Charles Sherman wyszedł mu naprzeciw.

Biała postać wymierzyła ostatni słaby cios, jakby zorientowała się, że ma przed sobą nie osobę, a zwodniczy kształt — pułapkę.

Przez chwilę czas płynął w zwolnionym tempie, zamarliśmy jak na tableau.

— Więc to ty zabiłaś mego ojca, Alice — odezwał się wreszcie Axel przerażony.

Nawet nie krzyknęła.

Zapamiętałam, że w całym domu panowała niezmierzona cisza, jakby wszelki dźwięk zdusiła otulająca go mgła. Alice upuściła broń i zaczęła iść, nie uczyniła jednak więcej hałasu niż gdyby była duchem uosabiającym zło; wydawało się, że z jakąś przedziwną gracją raczej sunie niż idzie po podłodze, a biała szata płynie wraz z nią. Nawet broń nie wydała stukotu, opuszczona miękko na łóżko.

Obaj mężczyźni postąpili ku niej równocześnie, ale okazała się szybsza; zobaczyłam, jak wyciąga rękę w kierunku komody, chwytając skwapliwie zapomniany wśród rzeźbień słoiczek, szybkim ruchem nadgarstka wykręca korek i unosi naczynko do ust.

Wywar, przygotowany przez Dame Joan, zapomniany zarówno przez Axela, jak i mnie w zamieszaniu wywołanym poprzedniego wieczoru przez przyjazd Alexandra.

Wypiła do ostatniej kropli. Axel wykrzyknął jej imię i rzucił się ku niej, ale odrzuciła już wtedy opróżnione naczynie. Nie można było nic więcej zrobić; staliśmy wstrząśnięci, zapatrzeni na nią z niedowierzaniem, a ona się uśmiechnęła. Trucizna wykręciła jej ciało jak w straszliwym imadle i krzyżąc przeraźliwie odeszła w śmierć, którą mi przeznaczyła... Nigdy w swym życiu nie słyszałam, by ludzka istota wydawała podobne okrzyki, ani nie widziałam, by jej ciałem targały tak straszne konwulsje. Patrzyłam na nią, niezdolna do ruchu, sparaliżowana grozą, i nagle świat się zakołysał, wpadłam w czarną przepaść i obraz Alice zniknął.

Zemdlałam. Pierwszy raz w życiu.

Rozdział 8

— Zamieniła je, to oczywiste — powiedział Axel. — Dame Joan dałaby ci truciznę tylko za namową Alice, a ona nie miała pojęcia, że akurat tego dnia odwiedzisz jej matkę. Ale później, gdy się o tym dowiedziała, dostrzegła szansę, by się ciebie pozbyć, i zamieniła naczynia. Ponieważ jednak najwyraźniej nie skorzystałaś z medykamentu i wciąż żyłaś, postanowiła zatłuc cię na śmierć, zwłaszcza usłyszawszy, jaka była zawartość twojego listu do Alexandra i zrozumiawszy, że wierzysz w historię Mary i niewinność Rodrica. Stanowiłaś ogromne niebezpieczeństwo, nie dla niej, lecz dla Vere'a, który stawał się najbardziej oczywistym podejrzanym. Musiała cię zatem zabić, i to szybko, nim zdołasz podjąć dalsze wysiłki, by ujawnić swe podejrzenia światu.

Rozmawialiśmy po południu następnego dnia. Siedzieliśmy w naszym prywatnym saloniku, za oknem blade jesienne słońce oświetlało rozległe obszary Marsh. Alice leżała na dole w żółtym saloniku, tym samym, w którym spoczywało przed pogrzebem ciało Mary, a Vere zamknął się z trupem żony, jakby jego nieszczęsna, żalсна boleść mogła przywrócić ją do życia.

— Powinnam była odgadnąć, że to ona, nie Vere — stwierdziłam. — Jeśli twój ojciec został zabity, ponieważ groził, że ujawni związki Vere'a ze szmuglerami Delanceya, to on nie mógł tego zrobić, gdyż nie wiedział o odkryciu prawdy. Podśluchałam przecież ich rozmowę: to Alice, nie Vere, wiedziała o tym, że Rodric zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z Delanceyem, i oskarżył jej męża o kontakty ze szmuglerami. Wiedziała też, że pan Brandson, przekonany o winie Rodrica, nie do końca mu uwierzył.

Wyciągnęła Mary z salonu, a sama, udając powrót do pokoju dzieci, znowu tam poszła, by podsłuchać całą kłótnię. Aby uchronić męża przed poważnymi kłopotami, postanowiła zabić pana Brandsona, nim jego podejrzenia się potwierdzą. A potem uczyniła kozła ofiarnego z Rodrica.

— Pod pewnymi względami niezwykle jej się poszczęściło — zauważył Axel z goryczą. — Rodric, wypadłszy po kłótni, zostawił broń w bibliotece... czekała tam na nią, wspaniały dowód, uwiarygodniający oskarżenie... Ojciec poszedł po wyjściu Rodrica na górę, by wypytać Esther, jak wiele wie o tej sprawie, a Alice musiała w tym czasie wejść do biblioteki, podnieść broń i zacząć się na niego. Najpewniej czekała za drzwiami i zadała cios, ledwie wszedł do środka... Trzeba było do tego nie lada siły i chyba dlatego uznałem tę zbrodnię za czyn mężczyzny. Nigdy nie zastanowiłem się nad tym, że Alice z jej szerokimi barkami i silnymi ramionami mogła być równie dobrze do tego zdolna.

Mój umysł połączył w całość wszystkie fragmenty informacji.

— Wkrótce potem przyszedł ze stajni Ned — zauważyłam. — Zapukał do drzwi biblioteki, ale nie było odpowiedzi. Mary też już musiała siedzieć w saloniku, wróciwszy z wyprawy do stajni, dokąd poszła za Rodrikiem... Esther znajdowała się na górze w swoich apartamentach i... — przerwałam, rumieniec wypłynął na moją twarz i odwróciłam wzrok.

— I mój ojciec nas odkrył, gdy wpadł do niej po kłótni z Rodrikiem. — Wyczułam, że mówiąc to też na mnie nie patrzył. Zamilkł, jakby całkowicie pochłoneńy go bolesne wspomnienia. — Nigdy w życiu nie przeżyłem takiego wstydu — odezwał się po chwili. — Przywróciło mi to całkowicie zdrowy rozsądek, ale nie zdołałem przeprosić ojca ani błagać o wybaczenie... zamordowano go.

Niezwykły smutek i gorycz dźwięczały w jego głosie, więc usiłując zwrócić rozmowę w innym kierunku, powiedziałam szybko:

— Axelu, ale co się właściwie stało z Rodrikiem? Czy to Alice go zabiła?

— Tak, oczywiście, że ona. Wyobrażam sobie, że wrócił jednak do domu... postąpił dokładnie wbrew temu, co mu radziłem, jak zawsze lekkomyślny... Wrócił i postanowił stanąć przed Vere'em, by go zmusić do wyznania prawdy. Poszedł przypuszczalnie do ich pokoi, ale zastał nie brata, jak się spodziewał, tylko Alice. Dostrzegła sposobność uprawdopodobnienia wersji, że morderca, czyli Rodric, znalazł śmierć na bagnach. Pokusa była zbyt silna, by się jej oparła... Poza tym, jakież to wygodne: wiedzieć, że kozioł ofiarny nie żyje, nie będzie protestować, dowodzić swej niewinności! Niczego się nie spodziewał, z pewnością go zaskoczyła, przecież nie oczekiwał, że go zaatakuje.

— Ale co zrobiła z ciałem?

— Myślałem o tym dość długo. W rezultacie przeprowadziłem drobiazgowo poszukiwania na strychu i znalazłem torbę, w której jak wiedziałem, Alice nosiła matce podarunki. Zastanowiło mnie, dlaczego już jej nie używa, i kiedy obejrzałem ją dokładniej, odkryłem zastarzałe plamy krwi we wnętrzu. Przeszukałem znowu strych i odkryłem pod obluzowaną deską w podłodze stary kuchenny topór rzeźniczy. Wtedy zacząłem się domyślać, co się wydarzyło. Ale nawet nie pomyślałem, że Alice poćwiartowała zwłoki i wyniosła je po kawałku do Haraldsford, aby zagrzebać na skrawku ziemi należącym do jej matki... Nigdy bym nie sądził, że kobieta może być zdolna do uczynienia czegoś tak straszliwego. Uznałem, że Vere znalazł torbę na strychu i wykorzystał do wyniesienia

poćwiartowanego ciała w jakieś odległe miejsce na mokradłach. Wczoraj pokazałem topór i torbę Charlesowi i on również natychmiast uznał, że nie kto inny, tylko Vere jest winny... Nie doceniliśmy Alice.

— Tak więc Rodric... — wróciłam jeszcze raz do tego.

— Możliwe, że nie spoczywa pod grządką z ziołami u Dame Joan, ale z pewnością zasugeruję władzom, by to sprawdzili, nim skierują się ku bagnetom. Alice mogła odwiedzać matkę, ile chciała, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Cóż bardziej naturalnego niż córka odwiedzająca matkę? Najprostsza rzecz dla niej.

Wzdrygnęłam się.

— Oczywiście ona również spowodowała śmierć Mary, nie mam co do tego wątpliwości. Można przyjąć, że otrzymała buteleczkę z trucizną od matki, gdy odwiedziła ją wraz z dzieckiem po mszy tego ranka, a potem wlała zawartość do herbaty. Powinienem był pamiętać, że to właśnie Alice zaproponowała wypicie herbaty po obiedzie i sama osobiście poszła do kuchni, by polecić ją przygotować, rzekomo chcąc oszczędzić służących. W rzeczywistości poszła do siebie przynieść truciznę. Powinienem też pamiętać, że nie kto inny, tylko ona nalewała herbatę. Ale nie wziąłem tego pod uwagę. Mój umysł zaprzętały podejrzenia w stosunku do Vere'a.

— Ciekawe, czy Vere przeczytał mój list, który zostawiłem w bibliotece, by zastawić na niego pułapkę — powiedziałam. — Ale chyba tak i od razu poszedł do Alice, zapytać, co ma robić.

— Z pewnością — zgodził się Axel. — Alice była prostą dziewczyną ze wsi, ledwie umiała czytać, a pisać wyłącznie proste słowa, niezbędne do prowadzenia rachunków domowych.

— Być może Vere zorientował się wtedy, że ona jest winna... może razem postanowili mnie zabić.

— Nie, nie był w to wplątany, mam co do tego pewność. Rozmawiałem z nim i jestem przekonany o jego niewinności. Alice nigdy go w nic nie wprowadziła, zresztą zbyt pochłaniało ją to, by go chronić... przed ojcem, Rodrikiem, Mary i wreszcie przed tobą. — Wstał i wyjrzał przez okno na Marsh, po czym nieoczekiwanie zmienił temat: — Nie myślałem, że może ci grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, gdy cię zabrałem do Haraldsdyke. — Odwrócił się i patrząc na mnie dodał: — I jestem przekonany, że nie groziłoby, gdybyś zwykła zachowywać się tak, jak się tego oczekuje od zwyczajnej młodej damy, ale ty z niezwykłym wprost talentem szukasz niebezpieczeństwa, pędzisz ku niemu na oślep... Przerwałam mu śmiechem.

— Nie, Axelu, to nie fair! To ciekawość, byłam po prostu zaintrygowana...

— I byłaś także źródłem nieustannego zmartwienia dla mnie, kochanie — odparł. — Ale zostawmy to... Nawiasem mówiąc, jak ci się udało wydostać z zamkniętego na klucz pokoju? Byłem tak zirytowany, kiedy cię zobaczyłem na strychu z Shermanem, że o mało, a to ja bym cię zabił.

Potulnie opisałam mu, w jaki sposób się uwolniłam.

— Zdumiewasz mnie — stwierdził i ku swej uldze zauważyłam, że wcale nie jest zły, raczej rozbawiony. — Nie zdołam ci zapewnić bezpieczeństwa, zamykając na klucz, jak widzę.

— Mam nadzieję — powiedziałam — że już nigdy nie będzie takiej potrzeby.

Roześmiał się, pogładził mnie palcami po policzku i pochylił się, by ucałować moje wargi.

— Zatem wybaczasz mi zwodzenie i wykręty, i to, że jak się obawiam, niejeden raz nabawiłaś się przeze mnie strachu?

— Cóż, nie mam innego wyjścia — odparłam poważnie, zdecydowana sprawić, by jak najdłużej odczuwał wyrzuty sumienia. — A właściwie dlaczego mi nie ufałaś?

— Czy ty mi ufałaś? — spytał tak samo poważnie, już bez śladu rozbawienia. — Czy nie byłem ci zupełnie obcy? Czy nie czułaś się ze mną związana wyłącznie koniecznością? Możesz uczciwie powiedzieć, że kochałaś mnie na tyle, bym ci mógł powierzyć sprawy takiej wagi?

Nie śmiałam na niego spojrzeć. Patrząc na dywan, przesuwałam palcami po wnętrzu jego dłoni, spoczywającej na mojej ręce.

— Nie spodziewałaś się przecież, że pokocham cię tak od razu — stwierdziłam z przykrością. — Ty też mnie nie kochałaś. Traktowałaś mnie jak dziecko. I dalej tak jest, bez wątpienia.

Jego dłoń szczelnie zamknęła moją.

— Jesteś rzeczywiście dziecinna, nie uświadamiając sobie pewnych rzeczy. Gdybyś była starsza, bez wątpienia od razu byś spostrzegła, jak ogromnie mnie pociągasz. Mimo to starałem się od ciebie trzymać jak najczęściej z daleka, ponieważ wyczułem, sądząc po pytaniach, jakie mi zadawałaś przed ślubem, że nie będzie ci miła zbytnia zażyłość. Było to w końcu małżeństwo z rozsądku i choć odnosiłaś pewne korzyści zgadzając się na nie, ja bez wątpienia odnosiłem większe, toteż chciałem ci je uczynić znośne, przynajmniej do pewnego stopnia.

Przypomniałam sobie łąy w Claybury Park, poczucie samotności, swoje strapienie.

— Sądziłam, że cię nie obchodzę.

— Obchodziłaś. I to tak, że nawet o czymś podobnym nie marzyłem. A potem stopniowo coraz więcej. Kiedy zobaczyłem cię z Nedem w Rye, zrozumiałem, że obchodzisz mnie bardziej niż ktokolwiek w życiu. Jak na ironię, doznając po raz pierwszy tak głębokich emocji, z wzrastającą goryczą przekonywałem się z każdym dniem, jak mało jestem dla ciebie pociągający. Zbyt często i na zbyt długo widywałaś się z Nedem, no i ta sprawa z wywarem...

Zalała mnie fala wstydu. Policzki mi płonęły.

— Widziałeś, jak wychodziłam z chaty Dame Joan?

— Tak i od razu zrozumiałem, po co tam poszłaś.

Zapatrzyłam się bezradnie w jego rękę ciasno oplatającą moją.

— Kochanie, jeśli naprawdę czujesz...

— Nie czuję — przerwałam gwałtownie, myśląc tylko, jak naprawić szkodę, którą wyrządziłam. — To przeszłość... nie chcę już żadnych wywarów.

Jak odgadywałam, zastanawiał się w milczeniu nad tym, czy moje słowa oznaczają, że on mnie choć trochę obchodzi, czy chcę po prostu odrzucić od siebie te ohydne wydarzenia, zapomnieć, że znalazłam się o włos od śmierci przez otrucie.

— Byłam przerażona, to dlatego — wyznałam. — Tobą, nieznanym, światem. Ale to minęło. Nie boję się już niczego.

Wciąż milczał, ale jego ręka nie ścisnęła już mojej tak kurczowo. Podniosłam wzrok i zobaczyłam jego twarz, twarz człowieka zamkniętego w sobie, i zapragnęłam, by z jego oczu znikła obcość.

— Żałuję, że nie możemy stąd wyjechać — powiedziałam impulsywnie. — Żałuję, że musimy tu tkwić. Nigdy nie będę tutaj spała

spokojnie, jestem tego pewna; zawsze będę się obawiała, że zobaczę w sypialni ducha Alice. Ten dom jest ponury, wprowadza w przygnębienie, zwłaszcza gdy nadejdzie zima i mgły kłębią się nad bagnem. Nienawidzę tego domu.

— I ja też — przyznał otwarcie ku memu zdumieniu. — Od dawna. Nie zamierzałem tu zresztą zostać... wróciłem tylko po to, by przywrócić dobre imię Rodricowi i by osądzono wreszcie zbrodnię dokonaną na moim ojcu. Chcę przekazać majątek w darowiźnie Stephenowi i ustanowić Vere'a i braci Shermanów kuratorami do czasu osiągnięcia przez niego pełnoletności. Vere będzie mógł w ten sposób żyć i pracować na ziemi, którą tak ukochał, a Shermanowie powściągną jego skłonność do ekstrawaganckich eksperymentów. Będzie poza tym szczęśliwy, wiedząc, że cały majątek w przyszłości przejdzie na syna. To chyba najlepsze rozwiązanie.

— Och, z pewnością. — Staralam się nie sprawiać wrażenia nadmiernie zadowolonej. Skrywając ogromną ulgę na myśl, że uniknę życia na wsi i uwolnię się od Haraldsdyke, zapytałam niepewnie: — Ale dokąd pojedziemy? Co my zrobimy?

Uśmiechnął się do mnie i zrozumiałam, że odczytał moje myśli.

— Doszedłem do wniosku — powiedział łagodnie — że jesteś zbyt piękna, by cię więzić na głuchej wsi, gdzie nikt cię nie może podziwiać. Zabiorę cię do Wiednia, skarbie, miasta, które kocham najbardziej na świecie... Olśnisz wiedeńskie towarzystwo.

— Wszystko pięknie — oświadczył Alexander żałośnie, kiedy przekazałam mu najświeższe wiadomości — ale co ze mną? Nie dam rady przyjechać do was z wizytą na święta.

— Nie zostało ci już wiele szkoły — zauważyłam. — Przyjedziesz do Wiednia, kiedy ją ukończysz.

— Ale Wiedeń... no wiesz, co chcę powiedzieć: cudzoziemskie miasto. Na pewno będzie ci tam dobrze?

— Jesteśmy w tym samym stopniu cudzoziemcami co Axel — przypomniałam mu z niezadowoleniem. — Stale zapominasz, że twoje dziedzictwo znajduje się także po drugiej stronie kanału. A zresztą, jeśli Axel zapragnie pojechać do Ameryki, ja też się tam udam. Jak zechce, pojedę z nim na koniec świata.

Spojrzał na mnie z namysłem.

— Dziwna jesteś — oznajmił i westchnął. — Trudno za tobą trafić. Zaraz mi powiesz, że go kochasz...

Vere rzeczywiście był wdzięczny Axelowi za darowiznę na rzecz Stephena, niemniej przez długie lata pozostawał jak odrętwiały po tym, co go dotknęło, tak że nasze rzadkie wizyty w Haraldsdyke mocno nas przygnębiały. Ożenił się w końcu powtórnie, gdy miał około trzydziestu pięciu lat, i atmosfera w Haraldsdyke natychmiast się zmieniła; wróciła normalność i mury domu witały nas już znacznie przyjaźniej. Druga żona Vere'a, parę lat od niego starsza miła kobieta, była wdową, a jej zmarły mąż pracował na rzecz legalnie prowadzonej firmy w Winchelsea; Vere najwyraźniej preferował kobiety o niższej od siebie pozycji społecznej, choć trudno porównać jego drugą żonę z Alice. Z trojga jego dzieci, Stephen ożenił się i dał nazwisko nowym członkom rodziny, najmłodszy syn zmarł na dyfteryt, córka zaś wyszła wprawdzie za mąż, ale w rok po ślubie nie przeżyła porożu. Najwyraźniej tej gałęzi rodziny pisane było doznawanie nieszczęść.

Co do Neda, wyjechał do Ameryki, dorobił się ogromnej fortuny, ale nie ożenił. Mieliśmy o nim wiadomości przez Vere'a, do którego regularnie pisywał. Dwukrotnie przyjechał do Anglii z wizytą, ale my akurat bawiliśmy w Wiedniu, tak że nigdy go już nie zobaczyłam.

Esther poślubiła kawalera stanowiącego naprawdę dobrą partię — Charlesa Shermana — i zamieszkała wreszcie w Rye, co prawdopodobnie dawało jej więcej zadowolenia niż życie w Haraldsdyke w charakterze tytularnej żony Roberta Brandsona. Nie sądzę jednak, by była naprawdę zadowolona. Należała do kobiet zrodzonych, by czuć się pokrzywdzonymi.

Szczałki Rodrica zostały wydobyte z poletka z ziołami Dame Joan i pochowane z należytych ceremoniałem w Haraldsford. Dame Joan zaprzeczyła, by było jej cokolwiek wiadome o śmierci Rodrica, ale naturalnie nikt jej nie uwierzył. Sądzę, że można by ją oskarżyć o współudział w ukrywaniu zbrodni, ale jak odkryłam, nie ja jedna kierowana zabobonnym strachem wołałam nie mieć z nią do czynienia. Mieszkańcy wioski zebrali się kiedyś na odwagę i zgromadzili tłumnie przed jej drzwiami, grożąc podpaleniem. Rozpędziła ich machając przysłowiowym kijem od miotły i jak jeden mąż podali tyły, obawiając się, że zostaną skazani na zgubę i przeklęci na wieki. Wkrótce po tych wydarzeniach Vere ostrzegł mieszkańców Haraldsford, by zostawili ją w spokoju, o ile nie chcą odpowiadać za swoje czyny przed sądem. Więc zostawiono ją, ku powszechnej uldze, w zwykłym dla niej osamotnieniu.

Jedynym moim żmartwieniem po naszym wyjeździe do Wiednia było to, że Alexander, choć pisywał często, nigdy jednak nas nie odwiedził. Zdecydował się na zrobienie kariery w polityce, a że w Anglii nie popłacały zagraniczne koneksje, strawił wiele czasu na ukrywaniu francuskiego

pochodzenia i austriackich krewnych. Niewiele mu to przyniosło pożytku, ponieważ Anglicy darzą jednakową estymą cudzoziemców, jak nieślubnych potomków o nieodpowiednim rodowodzie, ostatecznie więc pochodzenie mego brata i tak obróciło się przeciwko niemu. Pozbawiony złudzeń, osiadł w koloniach, na Jamajce, gdzie zaangażował się z powodzeniem w handel przyprawami. Myślałam czasem o nim i jego odległym domu, którego nigdy nie widziałam, ale w miarę upływu lat coraz rzadziej. Pochłaniało mnie moje własne życie, własna rodzina.

Mieszkaliśmy w Wiedniu już jakiś czas, gdy Axel odziedziczył tytuł i majątek po dalekim krewnym. Nabycie tytułu otworzyło przed nami drzwi we wszystkich kręgach austriackiego towarzystwa; stanęły przed nami otworem nawet te salony, które do tej pory były dla nas niedostępne. Wiedeń był nasz, a co można napisać o tym olśniewającym mieście, czego by w naszych czasach nie napisano? Wiedeń w najwspanialszym rozkwicie wielkiej epoki romantyzmu. Byłam w tym mieście, gdy rozlewne, piękne melodie przesycone nutą smutku i zmysłowej nostalgii zdobywały świat. To właśnie te walce bardziej niż cokolwiek innego zwiastowały starożytnemu miastu nadejście nowej epoki — i były to moje czasy; mogłam obserwować, jak się rodziły.

A jednak niekiedy, po wspaniałych balach Wiednia, śniłam o świecie odległym o wieki, o pokrytych zielonością bagiennych terenach i brukowanych ulicach Rye; nagle byłam znowu na drodze do Haraldsdyke, przerażona chwilą, w której będę zmuszona wstąpić w rodzące przygnębienie mury. I nieodmiennie w mych snach, ledwie mój wzrok padł na stary dom, nadpełzała od strony mokradeł mgła, otulając wszystko

długimi białymi mackami, i wiedziałam, że nigdy nie wróci owo Haraldsdyke ze złych wspomnień, że zniknęło na zawsze za zasłoną czasu.

RS